



IZABELA
ŻUKOWSKA

NAD MIASTEM
ANIOŁY



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

IZABELA ŻUKOWSKA

NAD MIASTEM
Anioły



OFICYNKA
WYDAWNICTWO



ROZDZIAŁ

1

Powietrze przeszył krzyk. Ale na ludzkie krzyki już nie reagował. Nie zrywał się ze snu, gdy wrzask przerywał ciszę lub przedzierał się przez głuche odgłosy niedalekich wybuchów. Nie odrywał się od własnych myśli, gdy krzyk rozlegał się obok, całkiem blisko. Po prostu przestał na niego reagować. Nawet nie był w stanie powiedzieć, kiedy stracił tę wrażliwość, która dana jest niemal każdemu. Ale tylko w czasach spokojnej codzienności. Bo kiedy rzeczywistość przestaje być znana, kiedy strach wydobywający się z głębi płuc zwielokrotnia się echem, odbijającym się od chrzęszczących przed zawaleniem stropów, od trzaskających płomieniami fasad, od przestrzelonych burt statków zatopionych w porcie, i staje się powszechny, równie niemożliwy do uniknięcia jak głód, który poprzez niezaspokojenie najbardziej podstawowej potrzeby sprowadza jednostkę ludzką do kierującego się instynktem zwierzęcia – wtedy krzyk jest już tylko towarzyszem.

W ciągu ostatnich tygodni krzyk trwał nieprzerwanie. Nie znikał nawet po zapadnięciu zmroku, przeciwnie – wówczas się wzmacniał, a nicość, z której dobiegał, tylko go potęgowała. Tym razem jednak był znajomy, prawie własny, choć zaskoczył go, bo wiedział, że Helena bała się zwykle w milczeniu. Zerwał się z wilgotnej podłogi. Pył unoszący się w powietrzu rozmywał nagle światło z karbidowej lampki, która żarzyła się słabo w przeciwnym końcu piwnicy. Chciał zobaczyć, co się stało, ale musiał precyzyjnie się między ciałami śpiących ludzi, którzy unosili teraz głowy znad zawiązanych w szmaty tobołków, okręconych sznurkiem walizek, zwiniętych ciasno płaszczy, w zatęchłym schronie służących za poduszki. Ludzie mówili coś do niego, rozdrażnieni, że przerywa chwilę spokoju, tak rzadką ostatnimi czasy, przecierali czerwone od pyłu, zapuchnięte oczy i pytali, co się stało.

Helena klęczała przy rzuconym na ziemię sienniku. Jej ciałem wstrząsały spazmy, choć płaczące zawrodozenie, które wydobywało się z jej gardła, tłumiły opadające na twarz włosy. Oblepione kurzem wydawały się jeszcze bardziej siwe niż w dniu, gdy weszli do piwnicy. Franz nie był w stanie określić, ile czasu minęło od tamtego momentu.

– Heleno, co się stało? – Ukląkł obok. – Heleno... – Dotknął jej ramienia, gdy nie odpowiedziała.

Nie patrzyła na niego. Zaciskała powieki, jakby to miało zahamować płynące po jej twarzy łzy. Ale one przeciskały się, osiadając na osmołonych rzęsach, i spływały po wychudzonych policzkach, znacząc na nich rozmyte smugi. Krew, przez którą musiały się przebijać, rozplywała się na poszarzałej skórze.

– Heleno! – Upuścił gwałtownie lampkę, która z brzękiem potoczyła się po podłodze i zgasła.

W ciemności słychać było dobiegające z góry dudnienie. Przy każdym wybuchu ściany drżały. Przy każdym wstrząsie w powietrzu unosiły się obłoki gryzącego pyłu. Ktoś wstał, ale przewrócił się o leżącego obok człowieka. Ktoś inny zaklął. Odezwały się głosy, by zapalić światło. W kącie trzasnęła zapałka i w mroku pojawił się jasny punkt, w którym zamajaczyły ludzkie twarze.

– Co się stało? Jesteś ranna? – zapytał Franz.

Helena potrząsnęła przecząco głową i osunęła się znowu na leżące na sienniku ciało. Próbował uchwycić ją za ramiona i podnieść, ale odepchnęła go i ukryła twarz w dłoniach.

– Cicho, cicho. Nie płacz. – Pomyślał, że znowu miała sen, ten, który dręczył ją od momentu, gdy Stefan stanął w drzwiach ich przedwojennego mieszkania, sen, w którym umierał, tonąc w wodach zatoki.

– Nie, nie. To nie sen. On nie żyje – powiedziała po długiej chwili. Przestała szlochać, wyprostowała się powoli i drżącą ręką dotknęła ramienia mężczyzny, który leżał na sienniku, odwrócony twarzą do ściany. – Nie żyje – powtórzyła.

– Proszę cię, uspokój się. On śpi. Zaraz obudzi go twój płacz. – Chciał, by jego głos nabrał lekkości, a pewny ton sprawił, że Helena uświadomi sobie, że to był tylko koszmar, zły sen, z którego już się obudziła. Ale ona gwałtownie odwróciła się w jego stronę i nie podnosząc wzroku, wcisnęła twarz w jego ramię. Franz Thiedtke poczuł, że Helena szlocha, nie usłyszał, ale właśnie poczuł, bo spazmy opanowały jej ciało i wstrząsały nim coraz mocniej. Kobieta, dzięki której przeżył ostatnie lata, kobieta, od której każdego dnia czerpał siłę, pozwalającą przetrwać kilka kolejnych godzin, stała się nagle bezbronna i słaba. Objął ją. Przycisnął mocno do siebie, bo był pewien, że jeśli tego nie zrobi, Helena osunie się bezwładnie na ziemię.

– Nie, sprawdź. On nie żyje. – Jej włosy były sztywne od wszechobecnego kurzu. Miał wrażenie, że to one, pozbawione światła i świeżego powietrza, zrobiły się martwe.

Nie wiedział, jak długo trzymał ją w ramionach, głaszcząc po głowie jak dziecko, które trzeba uspokoić. W końcu wzięła głęboki oddech i odsunęła się od niego.

– Nie żyje – powtórzyła. – Zobacz.

Nie chciał budzić Stefana. Wiedział, że mąż Heleny jest tak wyczerpany i chory, że bez lekarstw nie przeżyje dni spędzonych w piwnicy. Starał się tylko, by przed śmiercią przywrócić mu resztkę godności, której pozbawiono go w Stutthofie. Miał jednak nadzieję, że Stefan nie umrze przed końcem wojny. Uważał, że to mu się od życia, bo w Boga już nie wierzył, zwyczajnie należy.

– Uwierz mi – wyszeptła Helena, nachylając się w stronę Franza. – On nie żyje. Nie żyje. Dotarł tutaj i teraz nie żyje. – W nikłym świetle lampki dostrzegł jej pobielalą twarz i spierzchnięte usta. Nie patrzyła na niego, nie patrzyła też na Stefana. Jej wzrok zrobił się nieobecny i błędził w przestrzeni gdzieś ponad jego głową.

Pomyślał, że Helena traci zmysły. Ukłękł jednak i podniósł z podłogi lampkę. Przyniósł ją w stronę leżącego na sienniku mężczyzny i próbował go obejrzeć, nie budząc.

– Popatrz – chwyciła dłoń, w której trzymał lampkę, i przyciągnęła w swoją stronę.

Franz dotknął ramienia Stefana, najpierw delikatnie, a potem nieco mocniej. Mężczyzna bezwładnie opadł twarzą na siennik. Franz próbował zbadać mu puls, ale na zapadniętej szyi nic nie wyczuł.

– Stefan! Stefan! – Zaczął szarpać ciało, ale mężczyzna nie poruszył się. Helena wybuchła płaczem, tak głośnym, że jej szloch wypełnił całą piwnicę.

Wyprostował się i obejrzał dokładnie zwłoki. Dopiero po chwili w nikłym świetle dostrzegł niedużą, właściwie ledwie dostrzegalną, świeżą plamę krwi. Dotknął jej. Krew na plecach Stefana była ciepła. Helena miała rację, choć plamy chyba nie zauważyła.

– Wstawać! Wstawać wszyscy! – Zerwał się natychmiast z kolan. Karbidowa lampka znowu potoczyła się z brzękiem po podłodze. – Wstawać! Słyszycie? Już! – Zaczął szarpać leżących ludzi. – Kto to zrobił? No? Kto z was to zrobił?

– Spokój! Co się dzieje, człowieku? – Mężczyzna siedzący najbliżej podniósł lampkę i sapiąc, wstał.

– Bo Polak? Tak? Dlatego go ubiliście?!

– Franz, co ty mówisz? – Helena próbowała go powstrzymać. Wyszarpnął się z jej słabego uścisku. – Zostaw tych ludzi w spokoju!

Z gruzowiska cegieł, które dzień wcześniej wysypały się z uszkodzonej wybuchem ściany, zerwał się kolejny mężczyzna. Mimo braku dłoni, której kikut wyłaniał się spod rękawa brudnego puloweru, rzucił się na Franza.

– Zostaw tych ludzi! Czego od nich chcesz? – dyszał, szamocząc się z nim.

Mężczyzna z lampką próbował ich rozdzielić. Ale lampka znowu brzęknęła, uderzając o podłogę. I zgasła. W ciemności słychać było odgłosy szarpaniny i ciężki cios, który ją zakończył. W piwnicy obok rozległ się płacz dziecka.

– Franz! Co mu zrobiliście?! Franz! – Helena po omacku próbowała go odnaleźć.

– Światło. Zapalcie światło – odezwały się krzyki.

– Franz! Gdzie jesteście?!

Ktoś odnalazł lampę. Zapalił. W jej świetle ukazała się twarz kobiety, która w futrze z norek siedziała pod ścianą na walizce i drżącymi dłońmi malowała usta czerwoną szminką. Franz klęczał na podłodze i ocierał krew z rozbitej wargi.

– Franz! Nic ci nie jest? – Helena przywarła do niego. Znowu zaczęła szlochać.

Mężczyzna bez dłoni podszedł do niej. Wyjął z kieszeni pogniecioną chustkę.

– Jemu nic nie jest. A pani niech się wytrze. Ma pani na twarzy krew – powiedział.

Wzięła chustkę i wytarła nią zapadnięte policzki, ale czerwone smugi nie zniknęły, rozmazały się tylko po skórze.

– On nie żyje – powtórzyła, wskazując na Stefana, i oddała zakrwawioną chustkę.

Mężczyzna bez ręki pomógł jej podnieść się z kolan.

– Nic ci nie jest? – Pochyliła się nad Franzem, który z trudem łąpał powietrze.

– Czy ma ktoś wodę? – zapytał cicho.

– Woda! Woda! Dajcie wodę! – Mężczyzna bez dłoni krzyknął w stronę przyglądających się im ludzi. Nikt się nie poruszył. – Co sie tak gapicie? Wszyscy mamy już tego dosyć. No, dajcie wodę!

Ktoś wyciągnął z walizki obtłuczony porcelitowy kubek, ktoś podał termos, ktoś wahając się, sięgnął pod płaszcz i wyjął piersiówkę. Franz wypił i rozejrzał się wokół.

– Nikt nic nie widział? – zapytał cicho. – Ten człowiek – wskazał na ciało Stefana – przed chwilą stracił życie. Nikt nic nie wie?

Jego słowa odbiły się echem od pozbawionych tynku ścian i pozostały bez odpowiedzi. Wstał, oddał kubek Helenie i posadził ją na zwałowisku potłuczonych cegieł pod ścianą piwnicy. Siedzące obok kobiety napełniły kubek alkoholem z piersiówki, a gdy Helena, mrużąc oczy, przełknęła go, nałaly wody z termosu. Wypiła ją szybko i głośno westchnęła.

– Może jest tylko nieprzytomny? – powiedział mężczyzna bez dłoni, gdy Franz ponownie pochylił się nad ciałem na sienniku.

– Nie – odpowiedział Franz Thiedtke. Odwrócił zwłoki, szybkim ruchem domknął półotwarte powieki i ponownie ułożył martwe ciało na boku. Przyjrzał się plamie krwi na plecach i palcami odnalazł nieduże rozcięcie na środku. – Ten człowiek z pewnością nie żyje – stwierdził cicho, wskazując plamę na brudnej kurtce Stefana. – Widzi pan to? Ktoś zabił go cienkim długim nożem. To jest ślad.

Mężczyzna przyjrzał się krzepnącej już krwi i odsunął bez słowa. Franz w milczeniu obszedł piwnicę. Podnosił karbidową lampkę i przyglądał się krótko kolejnym twarzom. Mężczyźni, których było tylko kilku, cofali się ze złością, kobiety odwracały głowy, mrużąc odzwyczajone od światła oczy.

– Co? Myślisz, człowieku, że ktoś z nas mu w tym pomógł? – rzuciła któraś w jego stronę, ale nie odpowiedział. Zatrzymał się przy Helenie.

– Brakuje jednej osoby – powiedział, stawiając lampkę u jej stóp.

– Nie, nie! Nikt nie wychodził! – rozległy się gwałtowne protesty. – Kto by się pchał na zewnątrz?

Mężczyzna bez dłoni rozejrzał się po twarzach ludzi zgromadzonych w piwnicy i spojrzał na Franza.

– Nie ma tego człowieka, z którym się pan kłócił – powiedział cicho.

Franz skinął głową. Zdjął płaszcz i okrył nim ciało na sienniku.

– To był jej mąż – powiedział, patrząc na Helenę. Podszedł do niej i objął mocno.

Kilka kobiet uklękło i zaczęło się głośno modlić. Inni cofnęli się w głąb piwnicy.

– Musimy go stąd wynieść – powiedział cicho mężczyzna bez dłoni.

– Tak, pomoże mi pan? – Spostrzegłszy kalectwo mężczyzny, Franz poszukał wzrokiem drugiego, który siedział teraz na potłuczonych ceglach i przyglądał się im w milczeniu. – A pan?

Tamten bez słowa skinął głową.

– Chce pan stąd wyjść? – zapytał mężczyzna bez ręki, gdy owijali ciało płaszczem Franza.

– To szaleństwo. Zaraz was Ruscy przyważą. A jemu to i tak wszystko jedno – odezwał się drugi z nieznanym.

– Nie, wyniesiemy go tylko na korytarz. Nie może zostać tutaj. Nie wiadomo, jak długo będziemy tu siedzieć. – Franz jęknął cicho, gdy podnieśli zwłoki. Czuł, jak stawy, rozmiękłe w kaszubskich stodołach, powoli odmawiają mu posłuszeństwa.

Gdy wrócili do piwnicy, usiadł przy Helenie.

– Pochowamy go, gdy to się skończy – powiedział, obejmując ją. – Nie bój się, będzie miał porządną grob.

Helena, która siedziała w milczeniu, kiwając się tylko w przód i w tył ze wzrokiem wbitym w zakurzoną posadzkę, teraz znowu zaczęła szlochać, najpierw cicho, niemal niezauważalnie, z czasem jednak jej płacz stawał się coraz gwałtowniejszy. Franz przyciągnął ją mocno do siebie. Wcisnęła głowę w ramiona, twarz ukryła w jego koszuli. Gładził ją delikatnie, poddając się jednostajnemu ruchowi jej ciała.

Wiedział już, że jego prywatna wojna nie skończy się wraz z wejściem Armii Czerwonej do miasta. Wiedział, że spokój, który obiecywał Helenie, bezpieczeństwo, o którym marzyli przez ostatnie miesiące, nie nadejdzie, dopóki nie zamknie spraw z przeszłości, dopóki sam nie wymierzy sprawiedliwości temu, który uważał, że istnieje wina bez kary, że w życiu liczy się tylko zwycięzca, a cena zwycięstwa nie wymaga tłumaczeń.

– Znał go pan? – zapytał mężczyzna bez dłoni, gdy Helena uspokoiła się i Franz pomógł jej położyć się na sienniku, na którym zmarł Stefan. Wcisnęła się w ścianę, jakby ciało jej męża ciągle tam spoczywało, zajmując większą część miejsca.

– Kogo?

– Tego mężczyznę, który zniknął. Tego, z którym wcześniej się pan kłócił.

– Z nikim się nie kłóciłem. Coś pan pomylił.

– Widziałem w korytarzu... Sam pan przyznał...

– Myli się pan. Nie znałem go. Nie wiem, kto to był. – Franz odwrócił się do nieznanego plecami i usiadł koło Heleny. Zobaczył, jak spod paznokci, które wbijała sobie w skórę, wyciekają powoli cienkie strużki krwi. Znowu zaczęła szlochać. Ujął jej dłonie w swoje i ukrył w nich twarz. Gdy po długiej chwili podniósł wzrok, na jego policzkach rozmazała się jej krew.

– Przepraszam. – Zaczęła ścierać ją z jego skóry. – Przepraszam, Franz. Przepraszam.

– To ja przepraszam, Heleno. – Odsunął jej ręce od swojej twarzy. – To moja wina. Gdybym cię w to nie wciągnął, wszystko wyglądałoby inaczej.

– Nie, Franz. Nie. Nie mów tak. Bez ciebie nic nie miałyby już sensu.

ROZDZIAŁ

2

– To pani mąż był? – Koło Heleny usiadła kobieta o splekanych, pomarszczonych dłoniach. Jej palce poruszały się z trudem, zastygłe w nieruchomym przykurczeniu. W skupieniu dołała wody do kubka, który Helena wciąż trzymała.

– Tak. To był mój mąż – Helena odpowiedziała, nie patrząc na kobietę. – Stefan Kamiński, mój mąż.

– Kamiński? To on Polak był?

– Tak – teraz Helena podniosła wzrok i spojrzała w przystońnięte pyłem oczy. – Mój mąż był Polakiem i ja też jestem Polką.

Kobieta odsunęła się nieznacznie, po czym wolno zakręciła termos.

– *Verfluchten Polaken!* – Splanęła Helenie pod nogi, po czym powlokła się w najdalszy kąt piwnicy, tam, gdzie spał Franz, nim dopadł go krzyk Heleny.

Helena nie zareagowała. Wypiła wodę, którą nalała jej kobieta, i postawiła na podłodze pusty kubek. Znowu przywarła do zimnej wilgotnej ściany. Kiedyś, w innym życiu, nigdy tu nie schodziła. Wysyłała Stefana, bo bała się pustych ciemnych korytarzy ciągnących się poniżej Świętojańskiej.

– Niech się pani nią nie przejmuję. – Mężczyzna bez dłoni usiadł obok. – Poczęstowałbym panią papierosem, ale ostatniego zapaliłem przed zejściem tutaj – powiedział i uśmiechnął się przepaszająco. Nie miał więcej niż trzydzieści lat. Helena pomyślała, że musi być dezterem, ale kiedy spuściła głowę, dostrzegła kikut.

– Nie szkodzi – odpowiedziała.

W sąsiedniej piwnicy znowu zapłakało dziecko. Przez otwory po ceglach dobiegł cichy śpiew. Kobieta śpiewała kołysankę. Jej dźwięczny głos odbijał się od wyszczerbionych murów. Ludzie, słuchając, milkli. W końcu dziecko także ucichło.

– Mam nadzieję, że to się szybko skończy – odezwał się mężczyzna, gdy z sufitu posypały się drobne odłamki. Gdzieś w oddali zagrały organy Stalina. Budynek zadrżał.

– Odnalazłam męża po sześciu latach – powiedziała Helena, gdy zrobiło się cicho. – Tutaj, w naszym mieszkaniu. Przed wojną mieszkaliśmy na pierwszym piętrze w tym budynku. A potem wybuchła wojna i już go nie widziałam. Aż do teraz. Wiedziałam, że wróci do domu. Bo zawsze wracał. – Umilkła. Sekundy mijały, ale mężczyzna nie zadawał pytań. – Zabrali go w trzydziestym dziewiątym. Kiedy wrócił, zdążył mi tylko powiedzieć, że trafił do Stutthofu. Wie pan, co to Stutthof? – Nie czekała na odpowiedź. – Cudem przeżył głód, tyfus, pracę ponad siły. Uciekł z ostatniego transportu. Do domu. I tutaj skończyło się jego życie. A przecież zaraz będziemy wolni. – Oczy Heleny były szeroko otwarte. Choć w piwnicy było niemal zupełnie ciemno, rozszerzone źrenice sięgały prawie krańca tęczówek.

– Wolni? – Kobieta w futrze z nerek spojrzała na Helenę z nadzieją. – Jak moja Emilie. Wolna. Udało mi się wysłać ją z Gotenhafen. Na Gustloffie, zna pani? Piękny statek.

– Wolni? – Z głębi piwnicy dobiegł podniesiony głos. – Zaraz tu wejdą Ruscy, to będziesz miała swoją wolność, ty polska dziwko.

– Cicho, kobieto! – uciął głośnie mężczyzna bez dłoni. – Tutaj już nie ma Niemców i Polaków! Wszyscy jesteśmy już równi!

– I czeka nas to samo! – krzyknął ktoś z sąsiedniej piwnicy.

– Nie mam już łez – powiedziała Helena cicho, spuszczać głowę. – Nie mam już siły.

Budynek zadrżał. Ze stropu posypał się drobny gruz, ze ściany graniczącej z sąsiednią piwnicą wypadło kilka cegieł. Helena straciła równowagę i upadając, pociągnęła za sobą mężczyznę, który rozciął sobie policzek. Krew zalała mu twarz. Zaklął cicho. Wyjął z kieszeni brudną, moką jeszcze od krwi Heleny chustkę i przyłożył sobie do twarzy.

Kolejny wybuch rozkołysał karbidową lampkę, którą ktoś podwiesił na haku pod sufitem. Lampka spadła i uderzając o ziemię, zgasała. W ciemności odgłosy walk, które dobiegały z zewnątrz, tłumione grubymi murami piwnicy, stawały się bardziej realne i bliskie. Słyszać było krążące nad miastem samoloty. Ich miarowo pohukujące silniki były coraz niżej i niżej, aż rozlegały się kolejne wybuchy bomb, które samoloty zrzucały ze swoich ładowni. Potem odlatywały, ale nie mijało dużo czasu, gdy pojawiały się nowe. Całkiem blisko padały serie z karabinów maszynowych. Krótkie, ostre, bardziej piskliwe niż głębokie silniki bombowców.

– I usłyszałem inny głos z nieba mówiący: Ludu mój, wyjdźcie z niej, byście nie mieli udziału w jej grzechach i żadnej z jej plag nie ponieśli. – Głos kobiety klęczącej na zimnej podłodze piwnicy był tym donośniejszy, im większy huk ich otaczał. – Bo grzechy jej narosły aż do nieba, i wspomniawszy Bóg na jej zbrodni. Odpłaćcie jej tak, jak ona odpłacała, i za jej czyny oddajcie podwójnie. Ile się wślawiła i osiągnęła przepychu, tyle jej zadajcie katuszy i smutku! Dlatego w jednym dniu nadejdą jej plagi: śmierć i smutek, i głód, i będzie ogniem spalona, bo mocny jest Pan, Bóg, który ją osądził. Ludzie, módlcie się!

Gdy Helena usiłowała podnieść się z podłogi razem z mężczyzną, z którym upadła, ogłuszył ją wybuch bomby – pocisk musiał spaść bardzo blisko. Pogrążyła się w ciemnościach. W uszach miała wybuch, który wwiercał się w mózg. Wyciągnęła przed siebie ręce, w ataku panicznego lęku szukając oparcia w przestrzeni, ale nie mogła nic dostrzec mimo szeroko otwartych oczu.

– Franz! Franz! – krzyczała z całych sił, ale nie słyszała własnego głosu. Dlatego próbowała jeszcze mocniej: – Franz!

Ktoś złapał mocno jej dłonie i przyciągnął do siebie. Był blisko, czuła ciepło jego ciała, ale nie była pewna, czy to Franz. Wyszedł przecież na górę, żeby sprawdzić, co dzieje się na ulicy. Czuła, jak serce wali jej w piersiach na myśl, że mógłby już stamtąd nie wrócić. Łapczywie szukała w ciemnościach jego twarzy i kiedy wyczuła pod palcami znajome rysy, osunęła się na podłogę.

– Heleno, Heleno! – Głos Franza docierał do niej powoli. Razem z zawodzeniem kobiet, płaczem dziecka za ścianą, kaszlem mężczyzn, którzy wydobywali się spod sypiącego się ze ścian gruzu, i odgłosami niedalekich wybuchów. Przywarła do znanego ciała, złapała w dłonie poły marynarki, którą Franz miał na sobie.

– Franz, nie zostawiaj mnie! – mówiła drżącym głosem, tak cicho, że ledwie ją słyszał. – Nie zostawiaj mnie, proszę cię!

Objął ją, a ona jeszcze bardziej skuliła się, zmalęła. Czuł, jak jej wychudzone ciało drży, jak nie jest w stanie opanować dreszczy, które nią wstrząsają.

– To już naprawdę nie potrwa długo – powiedział. – Nie poddawaj się. Nie możemy teraz się poddać. Pamiętasz, co sobie przyrzekliśmy? Heleno, pamiętasz? Że jak wojna się skończy, wybierzemy się na spacer nad Motlau. Pamiętasz? Przejdziemy od Fischmarkt aż do samego Grünebrücke. Będziemy patrzeć na barki płynące po Motlau, na statki, które odbijają spod Krantor, a ty będziesz najpiękniejszą kobietą na całej Lange Brücke. Heleno, to już niedługo, słyszysz? Niedługo. Obiecuję ci to. Obiecuję.

Kolejny wybuch wstrząsnął budynkiem. Z głębi schronu dobiegały słowa modlitwy. Do monotonnej litanii dołączały nowe głosy.

– Nie bój się. Nie bój. To już się kończy – powtarzał Franz, ale Helena nadal nie mogła się uspokoić. Czuł, że płacze. – Pamiętasz, chciałeś pójść na niedzielny obiad do Zeughaus Restaurant, a w ciepły letni wieczór na wino do Martina Lautebachera na Jopengasse. Pamiętasz? A kiedy będzie piękna pogoda, najlepiej w maju, żeby nie było zbyt gorąco, zabiorę cię na spacer z Danzig do Langfuhr. Jest taki spacerowy szlak, Langfuhrer Höhenweg. Widać stamtąd panoramę całego miasta. Zobaczysz, będziesz zachwycona.

W znany świst spadających na miasto bomb, huk przeszywających powietrze pocisków, wypluwanych przez ustawione na wzgórzach katusze, salwy oddawane w spazmatycznej już bezsilności z pokładu zakotwiczonego na zatoce krążownika Prinz Eugen wdarł się nowy dźwięk, któremu towarzyszyło coraz większe drżenie stojących przy Adolf Hitler Strasse budynków. Dźwięk był monotony, miarowy i zbliżał się nieuchronnie. Modlące się kobiety umilkły. Skuleni w pogrążonym w ciemnościach schronie ludzie nasłuchiwali z coraz większym strachem.

– Co to jest? – Helena przestała szlochać.

– Czołgi – odpowiedział męski głos z głębi schronu. – To ruskie czołgi.

Wsluchiwali się w zbliżający się łoskot poruszających się po ulicy pojazdów. Czołgi taranowały ustawione w poprzek barykady, ciągnąc za sobą resztki worków, z których wysypywał się nadbałtycki piasek. Jednostajność pracy silników przerwał huk strzału oddanego przez jeden z czołgów, który nie zatrzymując się, pojechał dalej w stronę Adolf Hitler Platz. Za nim pojawiły się kolejne. Krótkie serie z broni maszynowej, które padały z dachów domów ciągnących się wzdłuż ulicy, milkły po kolejnych wystrzałach z luf umieszczonych na obrotowych wieżach czołgów. Wraz z hałaśliwym łoskotem ich gąsienic oddalał się artyleryjski ostrzał, jakby właśnie przez Adolf Hitler Strasse w Festungsring Gotenhafen przetaczał się sowiecki front, spychający broniących się resztkami sił w stronę portu, z którego nie mogli już uciec.

Nagle na schodach, które prowadziły do piwnicy, rozbłysło światło. Blask płomieni tańczących na pochodni, niesionej w wyciągniętej przed siebie dłoni, poruszały się szybko po ścianach obłupionych z tynku, po zwałowiskach gruzu, który utrudniał zejście. Ktoś próbował dostać się na dół. Ostrożnie stawiane kroki odbijały się echem od stropów w całej piwnicy. Odłupane kawałki tynku toczyły się z łoskotem, wypryskując spod butów, które zbliżały się do schronu. Kiedy pomarańczowe światło omiotło jego wnętrze, kiedy ukazały się zasypane pyłem twarze ludzi zebranych na kilkunastu metrach kwadratowych na wpół przywalonej cegłami piwnicy, młody żołnierz o dziecięcej twarzy, który niósł nad sobą pochodnię, zatrzymał się gwałtownie.

Helena nie wiedziała, jak długo trwała ta chwila, gdy stali tak naprzeciwko siebie, nagle nie abstrakcyjni, a całkiem realni, fizycznie obecni, wrogowie, których twarze nabrały rzeczywistego kształtu.

– Panie poruczniku! – krzyknął żołnierz nagle za siebie. – Tu są ludzie!

Helena ze zdumieniem stwierdziła, że żołnierz wypowiedział te słowa po polsku.

ROZDZIAŁ

3

Nazywam się Helena Kamieńska. Jestem Polką. Tak, wpisaną na volkslistę po zajęciu Gdyni przez Niemców. Dlaczego? Nie wiem, czy jesteście to w stanie zrozumieć. Myślicie, że jestem zdrażczynią. Bo lepiej by było, gdyby zabrali mnie do obozu, gdybym zniknęła na pięć lat, jak mój mąż. Stutthof – na pewno już wiecie, co to jest Stutthof. Tam trafił mój mąż. To dla niego podpisałam listę. Sama się zgłosiłam. Jestem lekarką, a oni potrzebowali fachowców. Swoich musieli ściągać tutaj z Rzeszy. To trwało. A ja byłam na miejscu. Chętnie przyjęli mnie do pracy. Właściwie wróciłam z powrotem do szpitala, w którym pracowałam wcześniej. Spędziłam tam część wojny. Aż do jesieni czterdziestego trzeciego. Listę podpisałam, bo miałam nadzieję, że mój mąż wróci, że to mu pomoże. Wpisali mnie na volkslistę z IV grupą.

Nie, nie jestem Niemką. Mówiłam już. Mój ojciec urodził się w Budapeszcie. Matka pochodziła ze Lwowa. Ja urodziłam się we Lwowie, potem mieszkałam w Krakowie. Wpisali mnie na volkslistę, bo moja siostra wyszła za mąż za obywatela Trzeciej Rzeszy. Po ślubie wyjechała do Berlina i tam spędziła wojnę. Nie wiem, czy żyje.

Mój mąż pracował w Instytucie Bałtyckim. Najpierw w Toruniu. Potem instytut przeniesiono do Gdyni. Mąż zajmował się zorganizowaniem pracy instytutu w nowym miejscu. Mieszkaliśmy w służbowym mieszkaniu na Świętojańskiej. W tej samej kamienicy, z której nas wyprowadziliście.

W tym mieszkaniu przebywałam jeszcze jakiś czas po wybuchu wojny. Dokwaterowali mi jednego Niemca, nazywał się von Plotzke, Oberleutnant von Plotzke. Potem Polakom, którzy zostali w Gdyni, kazali przenieść się ze śródmieścia na obrzeża miasta. Zabrali nam mieszkania, żeby zrobić miejsce dla swoich. W moim mieszkaniu został Oberleutnant von Plotzke. Nigdy więcej go nie spotkałam.

Mojego męża też nie widziałam przez całą wojnę. Nie wiedziałam, czy żyje. Nie wiedziałam, gdzie jest. Zostawiłam Oberleutnantowi mój adres na Witominie. Tam zorganizowano baraki, w których mieszkali Polacy. Ci, których nie wywieźli z Gdyni w głąb Generalnej Guberni. Dałam adres, żeby mój mąż wiedział, gdzie mnie szukać, gdyby wrócił. Ale nie wrócił.

Z Witomina zostałam przekwaterowana na Oksywie. Dostałam pokój. Po barakach na Witominie to był luksus. W budynku mieszkali sami Polacy. Tacy jak ja – volksdeutsche z IV grupy i eingedeutsche.

Kiedy sprowadziliśmy się z mężem do Gdyni, on, jak mówiłam, organizował pracę Instytutu Bałtyckiego. Ja dostałam pracę w szpitalu św. Wincentego przy placu Kaszubskim. Prowadziły go siostry ze Zgromadzenia Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo. Po wejściu Niemców siostry musiały opuścić szpital. Większość lekarzy zabrali Niemcy. Wywieźli do obozu. Część się później odnalazła. Tak, ja wróciłam do domu. Nie prosiłam o pomoc mojego szwagra, ale Niemcy powiedzieli mi, że interweniował.

Nie, nie był ważną figurą w Berlinie. Nazywa się Imre Horwath. To znaczy nazywał się. Nie wiem, czy żyje... W połowie lat trzydziestych wstąpił do NSDAP. Zapewne miał jakieś znajomości, skoro drugiego dnia po zajęciu Gdyni zostałam wypuszczona do domu. Ale mojemu mężowi nie pomógł.

Nie, moja rodzina nie popierała Hitlera.

Mój mąż nazywał się Stefan Kamieński. Zabrali go zaraz na początku wojny. Kiedy Niemcy weszli do Gdyni, mieli już listy Polaków do zatrzymania. *Sonderfahndungsbuch Polen*. Kiedy mnie przesłuchiwali, mieli ze sobą tę listę. Mój mąż był na niej. Byli chyba wszyscy pracownicy instytutu. Kazali im zgłosić się w wyznaczonym miejscu. Niemcy trzymali Polaków przy radiostacji na Witominie, na kortach, w kinie Polonia i w Gwieździe, także w kościołach w całym mieście. Sąsiadka widziała mojego męża w kawiarni Fangrata. Ja już go więcej nie

zobaczyłam. Przez całą wojnę nie wiedziałam, co się z nim dzieje. Nie wiedziałam, czy w ogóle żyje. Różne rzeczy ludzie mówili.

Tak koło świąt Bożego Narodzenia, pierwszych za Niemców, po mieście, znaczy wśród Polaków, którzy tu jeszcze zostali, poszła wiadomość, że coś dzieje się koło Wejherowa. W lasach piasnickenich. Podobno Niemcy zwozili tam Polaków, przesłuchiwali w więzieniu w Wejherowie, a potem ludzie znikali. Powiadano, że mordują ich tam masowo. Bałam się, że mój mąż też trafił do więzienia w Wejherowie.

Co stało się jesienią czterdziestego trzeciego? Do szpitala przywieziono niemieckiego więźnia Franza Thiedtkego. Niemcy przywieźli go z Prezydium Policji przy Hafenstrasse, to znaczy przy ulicy Portowej. W szpitalu szybko pojawiło się gestapo i mimo moich protestów, bo stan chorego więźnia na to nie pozwalał, zabrali go na Kamienną Górę. Kilka dni później zgłosił się do mnie pastor z Witomina – tak, Niemiec, bałtycki Niemiec z Rygi – zgłosił się do mnie w imieniu Franza Thiedtkego, któremu udało się uciec. Franz ukrywał się u tego pastora i chciał, żebym mu pomogła.

Nie, nie znałam go. Kiedy przywieziono go do mnie do szpitala, okazało się, że ma amnezję. Zanik pamięci. Nic nie pamiętał, nie wiedział, kim jest. Był oskarżony o morderstwo. Ale nie wiedział, czy je popełnił. Był emerytowanym policjantem z Gdańska. Chciał odzyskać pamięć, a przynajmniej dowiedzieć się, czy jest zabójcą. Albo kto nim jest. Do mnie zwrócił się, bo byłam jedyną przyjazną mu osobą. Tak uważał.

Tak, ukrywałam go. W swoim mieszkaniu na Oksywiu. Uwierzyłam, że jest niewinny. Dlaczego? Nie wiem. Przekonał mnie.

Okazało się, że został zrobiony w to morderstwo. Chodziło o wysokiego funkcjonariusza Einsatzkomando 16. Słyszeliście o nich? Brali udział w morderstwach w lasach piasnickenich. Niemcy wykorzystywali Einsatzkomando 16 do eksterminacji Polaków w rejonie Gdańska i Gdyni. Tego człowieka zamordowali sami Niemcy, to znaczy podstawiony agent. Podstawiony przez oficera SD z Gdańska. Chodziło o to, żeby wyeliminować Franza, ponieważ wiedział o morderstwie, które popełnił tamten oficer przed wojną. To było ostatnie śledztwo Franza.

Tak, Franz był policjantem w Gdańsku. Przeszedł na emeryturę pierwszego września trzydziestego dziewiątego.

Pan wybacz, ale na to pytanie nie będę odpowiadać. To moje osobiste sprawy. Pomogłam mu, ukrywał się u mnie. A potem tamten Niemiec z Gdańska wpadł na jego trop, przy okazji także na mój. Przez kolejne półtora roku musieliśmy się ukrywać.

W różnych miejscach. Zbyt długi pobyt w jednym miejscu był niebezpieczny. Ukrywaliśmy się na Kaszubach, ale dwa razy przebywaliśmy także w Gdańsku. Raz w Neufahrwasser, a raz na Bohnsackinsel. Nie, to byli nieznajomi. Polacy. Tacy z volkslisty.

Do Gdyni postanowiliśmy ruszyć, kiedy do Gdańska coraz szybciej zbliżał się front. To był początek lutego. Chciałam wrócić do Gdyni, bo miałam nadzieję, że jeśli mój mąż żyje, to prędzej czy później wróci do naszego mieszkania przy Świętojańskiej. Z Prus Wschodnich ciągnęły wtedy do portu w Gdyni tysiące uciekinierów. Nikt nie zwracał na nas uwagi. Wszystkie drogi były pełne ludzi. Na saniach, na wozach, wielu szło na własnych nogach. My także. Wszyscy chcieli dostać się do portu w Gdyni, bo tam zorganizowano akcję ewakuacji dla niemieckich uchodźców. Dostać się na Gustloff, Goyę albo na jakikolwiek inny statek, który może wywieźć na Zachód, to było marzenie wszystkich ludzi, których spotykaliśmy po drodze. My chcieliśmy tylko dostać się do Gdyni. Szliśmy pięć dni. Zima w tym roku była mroźna, sami wiecie. Wzdłuż alei Hitlera w Gdańsku na drzewach wisieli ludzie z zawieszonymi na szyi kartkami – zdrajca, dezterter. Niemcy w Gdańsku strasznie bali się Armii Radzieckiej, ale oficjalnie nie wolno było siał defetyzmu. Jak ktoś mówił głośno, że trzeba uciekać z Gdańska, mógł wylądować na najbliższym drzewie.

W Gdyni uchodźcy koczowali wszędzie. W porcie panował chaos, bo każdy chciał dostać się na statek, ale na początku Niemcy bardzo pilnowali, żeby na pokład nie wpuszczać zbyt wielu ludzi. Potem nie mogli już nad tym zapanować. Poza tym pierwszeństwo mieli ci ważniejsi, jak zawsze, prawda? Wielu hitlerowskich funkcjonariuszy z Gdańska dostało się na Gustloff. Takie wyróżnienie za wcześniejsze zasługi.

W naszym mieszkaniu nikogo nie było. Mogliśmy wejść, bo Niemcy wydali zarządzenie, że ci, którym udało się uciec, przed wyjazdem mieli zabrać tylko najpotrzebniejsze rzeczy, a w mieszkaniach, które zajmowali wcześniej,

mieli zostawić klucze w zamkach. Żeby kolejni uchodźcy mogli się w nich zatrzymać. Postanowiliśmy z Franzem ukrywać się w moim przedwojennym mieszkaniu aż do wyzwolenia.

Chyba po tygodniu w drzwiach stanął mój mąż, Stefan Kamieński. Był w takim stanie, że w pierwszym momencie go nie poznałam. Nie miałam żadnych lekarstw, nic, czym mogłabym mu pomóc. Był bardzo chory. Ale miałam nadzieję, że dojdzie do siebie. Po sześciu latach mógł położyć się we własnym łóżku, w ogóle w łóżku. To było dla niego jak najlepszy lek.

Mój mąż opowiedział mi, co działo się z nim przez te lata. Po tym, jak go zamknęli razem z innymi Polakami w restauracji Fangrata, został przetransportowany do Gdańska, a stamtąd szybko trafił do obozu w Stutthofie. Ale miał dużo szczęścia. Kiedy inni Polacy z Gdyni zostali prędko rozstrzelani, on trafił do bauera na Żuławy. Tam pracował fizycznie na roli, chociaż był człowiekiem wykształconym i zawsze pełnił ważne funkcje. Ale u bauera przynajmniej było spokojnie, a na święta ten Niemiec nawet zapraszał swoich przymusowych robotników do domu. Tak trwało do jesieni czterdziestego trzeciego. Wtedy do bauera przyjechali SS-mani i zabrali wszystkich przymusowych z powrotem do obozu. Resztę czasu mój mąż spędził w Stutthofie. Był silny, silniejszy niż ci, którzy byli tam dłużej. U bauera warunki były dużo lepsze niż w obozie. Miał więc siłę na przeżycie kolejnych miesięcy. A kiedy było już wiadomo, że zbliża się front, Niemcy zaczęli ewakuować więźniów, żebyście nie mogli się dowiedzieć, co działo się w obozie. Chcieli ich wywieźć. Pędzili do Gdyni. Po drodze pomagali Kaszubi. Przynosili jedzenie. Byli tacy, którzy pomogli uciec. Tak było z moim mężem. Pomógł mu gospodarz spod Gdyni, u którego przesiedział w piwnicy kilka dni, a potem ruszył do miasta, do naszego mieszkania na Świętojańskiej.

Kiedy zaczęło się natarcie na Gdynię, zesłaliśmy do piwnicy, żeby tam przeczekać najcięższe walki. Tak, mój mąż, Franz Thiedtke i ja. W piwnicy schronili się także niemieccy uciekinierzy, którym nie udało się dostać do portu.

Każdy chciał przeżyć. Niektórym nie podobało się, że ukrywają się z Polakami. Ale byli też tacy, dla których to nie miało znaczenia. W takiej chwili wiele rzeczy nie ma znaczenia. Chyba nauczyliśmy się tego przez ostatnie lata, prawda?

Nie, mój mąż nie przeżył. W wilgotnej piwnicy coraz bardziej opadał z sił i baliśmy się, że może nie przeżyć do wyzwolenia. Cały czas byłam przy nim. Ale nie udało mi się go uratować. Zmarł tuż przed wyzwoleniem.

Tak, w tej piwnicy siedzieliśmy głównie po ciemku. Nie było światła. Zapalaliśmy tylko od czasu do czasu małą lampkę gazową. Nie wiedzieliśmy, czy jest dzień, czy noc. Nasłuchiwalismy tylko tego, co działo się na zewnątrz. Słuchaliśmy, jak zbliża się front, jak wy się zbliżacie. Czasem Franz i inni mężczyźni wychodzili na parter kamienicy, do drzwi prowadzących na ulicę Świętojańską. Nie mogli wyjść na zewnątrz, bo cały czas trwał ostrzał. To było zbyt niebezpieczne. A skoro doczekaliśmy do tego momentu, to każdy miał nadzieję, że wojna wkrótce się skończy.

Tak, Niemcy bali się panicznie. Ale chcieli przeżyć. A potem przyszliście wy. Nie sądziłam, że Gdynię razem z Rosjanami wyzwolą Polacy.

Tak, chciałam zostać w Gdyni. Ciało mojego męża pozostało w piwnicy naszego domu. Chciałam go godnie pochować. Czekałam na niego prawie sześć lat. Teraz będę przynajmniej wiedziała, gdzie leżą jego szczątki.

Oczywiście, podpiszę zeznania.

ROZDZIAŁ

4

Franz Thiedtke. Komisarz policji w Danzigu. Na emeryturze. Odszedłem ze służby pierwszego września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego. Ostatni adres zamieszkania Danzig, Langfuhr, Hermanshöferweg. Ale nie byłem tam od października czterdziestego trzeciego.

Tak, byłem w partii. Byłem w NSDAP. Każdy w Prezydium Policji był. Ale pracowałem w policji kryminalnej i zajmowałem się zwykłymi morderstwami, a nie polityką. Polityka mnie nie interesowała.

Tak, wiem, że teraz każdy Niemiec tak mówi. Dlatego może pan zrobić z tą informacją, cokolwiek pan zechce.

Po przejściu na emeryturę przenieśliśmy się z żoną Waltraud z mieszkania przy Kohlenmarkt w Danzigu do mieszkania w Langfuhr. Chciałem resztę życia spędzić w spokoju. Udawało mi się to do czterdziestego trzeciego. Potem zostałem zamieszany w morderstwo. Ale to nie ja byłem mordercą. Moi dawni wrogowie chcieli się mnie pozbyć. Ale to chyba nie ma tutaj żadnego znaczenia.

Nie wiem kto. Przez całe życie pracowałem w policji, zamykałem w więzieniu różnych bandytów. Kiedy wychodzili, nie umawiali się ze mną w restauracji w hotelu Danziger Hof, jak się pan zapewne domyśla.

Skoro pan sobie życzy...

Jesienią czterdziestego trzeciego spotkałem dawnego znajomego. Zaprosił mnie do Adlershorst, gdzie zatrzymał się w hotelu koło mołu. Rano obudziłem się w pokoju hotelowym razem z trupem. Nie wiedziałem, kto to, nie pamiętałem, co się wydarzyło. Jedyne, co pozostało mi w pamięci, to moje własne nazwisko. Najwyraźniej człowiek nie może pozbyć się do końca swojej tożsamości... Potem zabrali mnie na policję w Gotenhafen. Ta sytuacja doprowadziła mnie do kryzysu, więc zawieźli mnie do szpitala.

Sądzę, że dostałem ataku szału. To chyba zrozumiałe w takiej sytuacji, prawda?

W szpitalu poznałem doktor Helenę Kamieńską. Zajęła się mną. To od niej dowiedziałem się, że cierpię na amnezję i że ten zanik pamięci może potrwać równie dobrze krótko, kilka godzin, kilka dni, ale może też pozostać na resztę życia. Tymczasem byłem oskarżony o morderstwo. Mimo protestów doktor Kamieńskiej, gestapo zabrało mnie na Steinberg. Kiedy przewozili mnie z Gotenhafen do Danzigu, samochód, którym jechaliśmy, miał wypadek. Udało mi się uciec. Wiedziałem, że muszę sam dowiedzieć się, kim jestem i czy rzeczywiście popełniłem zbrodnię. Bo ja całe życie tropiłem morderców.

Mówiłem, że polityka mnie nie interesuje. W policji zajmowałem się łapaniem morderców żon, sąsiadów, przypadkowych ofiar czy... prostytutek. Nie miało dla mnie znaczenia, kim była ofiara. Chodziło o to, by złapać winnego i wymierzyć mu karę.

Odnalazłem doktor Kamieńską, bo była jedyną osobą, którą znałem. Nie, nigdy wcześniej jej nie spotkałem. W tamtej chwili, kiedy nie pamiętałem nic sprzed poranka w Adlershorst, doktor Kamieńska była jedyną osobą, którą potrafiłem zidentyfikować. Musiałem jej zaufać. I nie pomyliłem się. Doktor Kamieńska mnie uratowała. Ukrywałem się u niej. Pomogła mi załatwić fałszywe dokumenty. Nie wiem u kogo. Dostałem je po prostu.

Kiedy poznałem mój adres zamieszkania, Helena, to znaczy doktor Kamieńska, pomogła mi w dotarciu do Langfuhr. Dowiedziałem się, że moja żona nie żyje. Chociaż w Gotenhafen wizytę złożyła mi kobieta, która podawała się za moją żonę. Do dziś nie wiem, kim była. Ale na pewno nie była moją Waltraud, bo ją przejechał wtedy samochód.

Tak, udało mi się dojść do rozwiązania. Odzyskałem też pamięć. W czasie nalotu aliantów na Gotenhafen. Oczywiście, zostałem wrobiony. Ktoś chciał się mnie pozbyć. Człowiek, którego rzekomo zamordowałem, był w Danzig ważną postacią. Słyszał pan o doktorze Trögerze i jego Einsatzkomando 16? Ten zamordowany był członkiem tej grupy. Tamtej nocy w hotelu opowiedział o tym, co robili w lasach pod Neustadt. Należała mu się ta śmierć, ale nie ja go zabiłem.

Szukało mnie gestapo. Dowiedzieli się o Helenie, to znaczy o doktor Kamińskiej. Nie mogła zostać w Gotenhafen. Ani w szpitalu, ani w mieszkaniu w Oxhöft. Postanowiłem, że zabiorę ją ze sobą. Inaczej wzięliby ją natychmiast do obozu. Nie mogłem na to pozwolić. Ona uratowała mi życie...

Od jesieni czterdziestego trzeciego ukrywaliśmy się w okolicach Danzig i Gotenhafen. Spaliśmy w lesie, po stodółach. Dwa razy spędziliśmy kilka tygodni w Danzig. Raz w Neufahrwasser, raz na Bohnsackinsel. To byli zniemczeni Polacy. Wie pan, z volkslisty. Dlatego nie wywieźli ich z Danzig. Bo tych, którzy nie chcieli zostać Niemcami, wywieźli. Chociaż Polacy zawsze byli w mieście. Tak jak wcześniej Żydzi, jesienią trzydziestego dziewiątego Polacy zniknęli z Danzig.

Tak, ma pan rację. Mogę papierosa?

Kiedy było wiadomo, że front zbliża się do Danzig, postanowiliśmy przedostać się do Gotenhafen. Wszyscy chcieli się tam wtedy przedostać, bo w Gotenhafen organizowano akcję ewakuacyjną. Ale my nie chcieliśmy dostać się na żaden ze statków w porcie. Doktor Kamińska została w mieście, bo czekała na męża, który został aresztowany zaraz po zajęciu Gotenhafen, to znaczy Gdingen jeszcze... Przez te wszystkie lata nie wiedziała, czy mąż żyje i gdzie jest, ale miała nadzieję, że wróci, kiedy skończy się wojna. Ja obiecałem sobie, że będę ją chronił, dopóki nie będę miał pewności, że jest bezpieczna. Wyruszyliśmy więc do Gotenhafen, do mieszkania, w którym doktor Kamińska mieszkała przed wojną. I wie pan co... Ona miała rację. Jej mąż wrócił. Wrócił do mieszkania przy Adolf Hitler Strasse. Uciekł z transportu, który wyprowadzono z obozu Stutthof. Był chory, ale żył.

Niestety, nie przeżył do waszego wejścia. Zmarł w piwnicy, w której schroniliśmy się w czasie najcięższych walk.

Nie zginął w czasie walk. Po sześciu latach w niewoli był wycieńczony. Nie miał sił. Helena bardzo to przeżyła. Czy będę mógł się z nią zobaczyć?

Nie, w piwnicy nie wydarzyło się nic niezwykłego. Nie wiem, o co pan pyta. Schronili się tam sami uchodźcy. Ci, którym nie udało się dostać na żaden statek. Uciekinierzy z Prus Wschodnich. Nie wiem, czy ktoś tam był z Danzig z wyjątkiem mnie. Ostatnie tygodnie były bardzo chaotyczne. W Danzig długo nie wierzono, że mieszkańcy powinni uciekać, więc kiedy ludzie zrozumieli, że Armia Radziecka niebawem wkroczy, wpadli w panikę. Uprzywilejowani, wysocy urzędnicy partyjni, SS-mani, gestapowcy z Danzig razem z rodzinami znaleźli się na Gustloffie już 30 stycznia. To, co się wtedy stało, nie zmniejszyło chęci ucieczki przez Bałtyk na zachód. Ale wszystko odbywało się w wielkim bałaganie. I strachu.

Chciałbym wrócić do Danzig. Do mojego mieszkania na Hermanshöferweg. Jeśli to będzie możliwe. Nie, nie chcę opuszczać Danzig. Tam się urodziłem, spędziłem całe życie, tam leży pochowana moja żona. Nie ma dla mnie znaczenia, czy w Danzig rządzą Niemcy, czy Polacy. Nie wyobrażam sobie, żebym mógł spędzić resztę życia gdziekolwiek indziej. Wie pan, mam już prawie sześćdziesiąt sześć lat. Chcę dożyć swojego końca tam, gdzie się urodziłem.

Tak, chciałbym zabrać doktor Kamińską ze sobą. Została zupełnie sama. A ja obiecałem sobie, że nie zostawię jej, dopóki nie będzie bezpieczna. Teraz, po śmierci męża, po tym wszystkim, co się stało, jest wolna, ale nie wiem, czy nic jej nie grozi. Czasy są niebezpieczne, prawda? Kiedy będę mógł się z nią zobaczyć?

ROZDZIAŁ

5

Nie drżał. Nie ruszał się. Gdyby mógł, przestałby oddychać. W jego skostniałym od lodowatego zimna umyśle pozostała już tylko jedna myśl, jedno słowo, które nadawało sens wszystkiemu, co robił: przetrwać! Nakaz, który doprowadził go do miejsca bez odwrotu, jednak on sam wymyślił sobie to jako sposób na ocalenie. Nie używał słowa ucieczka, bo ciągle nie dopuszczał do świadomości możliwości poddania się, kapitulacji, przyznania do klęski. Choć wiedział, że to koniec, że świat, który współtworzył, rozpada się teraz na jego oczach, powtarzał sobie bez końca, że nie pozwoli pograć się wraz z nim, bo on był tylko wykonawcą, a nie kreatorem, podążał, a nie przewodniczył, więc nie mógł ponieść kary za winy innych.

Czuł przejmujące zimno wdzierające się do wnętrza ciężarówki. Kawałki brezentu trzepotały na wietrze. Miał wrażenie, że zeszywniałe członki coraz bardziej oddalają się od niego, stają się coraz bardziej obce, coraz mniej związane z ciałem, które ginęło, przestawało istnieć, rozpływało się w każdym uderzeniu przenikliwego zimna wpadającego pod brezent. Nie mógł poruszyć palcami u rąk; palce u stóp wydawały się bytem zbyt odległym, by w ogóle podejmować próbę kontaktu z nimi. Jedynie powieki, mocno zaciśnięte, zdawały się przyjmować polecenie ze spowolnionego chłodem mózgu.

Ciężarówka podskakiwała na poznaczonym odłamkami pocisków i bomb bruku. Z szoferki dobiegały strzępki rozmowy, nie rozumiał jednak słów wypowiedzianych w obcym języku. Miękkie śpiewne zgłoski potęgowały uczucie strachu, choć niepokoju czającego się gdzieś w klatce piersiowej, błędzącego w kierunku wątroby i łapiącego za gardło, nie określał mianem strachu, bo nie mógł przecież przyznać sam przed sobą, że strach w ogóle odczuwa. Zresztą to uczucie jeszcze niedawno było mu rzeczywiście obce.

Zeszywniała pięść uwierała go w żebra, ale nie mógł się poruszyć. Zdawał sobie sprawę, że w nieruchomym zwałowisku ciał jego jeden ruch mógł spowodować lawinę trupów, spadających na bruk spod brezentowej plandeki. Gdyby Rosjanie odkryli, że wśród zwłok pozbieranych na ulicach Gotenhafen jest żywy człowiek, mężczyzna niewyglądający na specjalnie wycieńczonego uchodźcę, z pewnością nie zastanawialiby się długo, sięgając po pistolet, karabin czy cokolwiek, czym robili takie rzeczy. Zresztą dobrze wiedział, że on, będąc na ich miejscu, także nie wahałby się przed sięgnięciem po swojego walthera. Tak jak nie wahał się wielokrotnie w przeszłości, gdy nie sądził jeszcze, że może znaleźć się w rosyjskiej ciężarówce pełnej sztywnych, powyginanych zwłok starców, kobiet i dzieci, którzy w poszukiwaniu ocalenia trafili do Gotenhafen. Nie, z zabijaniem nie miał problemu. Choć wolał, by inni robili to za niego. Nie zawsze jednak mógł snuć intrygi i wykorzystywać innych do realizacji własnych zamierzeń. Ale wojna tłumaczy przecież zabijanie. Wojna wymaga zabijania przez tych, którzy ją prowadzą, więc nie było nic dziwnego w tym, że i on zabijał. To element przetrwania. Teraz wiedział, że musi zrobić wszystko, by przetrwać. By nie dać się zabić.

Dostał przydział na Gustloff, nie zdążył jednak na niego wsiąść. Nigdy nie wierzył, by poza namacalnym światem rzeczy, które go otaczały, istniało cokolwiek niematerialnego, jednak w tamtym momencie, gdy dowiedział się, co wydarzyło się na północ od Stolpmünde, podziękował w duchu, że segregacja dokumentów w gabinecie z widokiem na Neugarten, oddzielenie tego, co należało spalić, od tego, co mogło pozostać, nie pozwoliła mu wejść na pokład statku. Teraz jego sytuacja nie była dobra, ale ciągle żył. Własne łóżko na Gustloffie dałoby tylko krótkotrwałe i jakże złudne poczucie bezpieczeństwa.

Ciężarówka zakołysała się, skręcając gwałtownie. Poczul, że wjechali na ubitą drogę. Uniósł powieki i spod łopoczącej plandeki dostrzegł, że samochód znalazł się w lesie. Zmierzchało, jednak w zapadającym zmroku widział

beźlistne kikuty gałęzi, które uderzały głośno o brezent. Z szoferki dobiegły podniesione głosy i samochód zatrzymał się. Trzasnęły drzwiczki. Po krótkiej chwili brezent powędrował na dach, a wewnątrz ciężarówki załało światło latarek.

– Nu, my sbrasywajem scierwo – rzucił z mroku poza latarką jakiś głos.

– Ej, wy tam! – krzyknął drugi w przestrzeń poza ciężarówką. – Chaditie tut!

Wokół zrobiło się zamieszanie. Rozległy się kolejne głosy. Usłyszał pojedyncze niemieckie słowa. Ktoś zaczął ściągać trupy z ciężarówki. Ciała uderzały z głuchym plaśnięciem o zmarznięte koleiny leśnej drogi. Poczuł gwałtowne szarpnięcie i znalazł się na stercie zwłok leżących na ziemi. Na niego spadały kolejne, zrzucane jedne po drugich.

Unióśł ostrożnie powieki, ale zobaczył tylko żołnierskie buty, stojące kilka centymetrów od jego twarzy. Popiół z papierosa, którego palił żołnierz, spadł mu na czoło, wypalając siatkę drobnych znamion. Zacisnął zęby, żeby nie zakląć.

Minęło kilka minut, nim żołnierz wdeptał niedopałek w ziemię i odszedł. Trzasnęły drzwiczki, zachrobotał silnik i ciężarówka zawróciła wolno między drzewami, po czym zniknęła w mroku.

– Nu, dawajtie. Pierienosit ich donizu – padła komenda.

Ogień pochodni, który oświetlał zwałowisko ciał, oddalił się, a dwaj starsi mężczyźni, którzy z trudem zrzucali zwłoki z ciężarówki, zabrali ostrożnie ciało kobiety z przestreloną głową. Jej otwarte szklane oczy wpatrywały się w niego całą podróż ciężarówką.

Był teraz sam wśród martwych ciał zebranych na ulicach Gotenhafen. Kilkanaście metrów dalej wykopano dół, w którym mężczyźni składali wolno zwłoki kobiety. Żołnierz z uniesioną wysoko pochodnią wskazywał im miejsce, gdzie miały spocząć. Coś mówił, ale jego głos mieszał się z nocnymi odgłosami lasu. Dalej, na małej polance, trzech innych żołnierzy siedziało wokół ogniska i pociągało z jednej butelki. Nikt nie patrzył w stronę pozostawionych na stercie trupów.

Kiedy dwaj starsi mężczyźni, jak domyślił się, Niemcy, zabrali kolejne zwłoki, wyczołgał się ostrożnie i przewrócił na plecy, by lepiej widzieć Sowietów. Odpychając się ostrożnie łokciami, zaczął pełzać między drzewami. Był już w bezpiecznych ciemnościach, gdy mężczyźni wrócili po kolejne ciało. Zastygł w bezruchu, wstrzymując oddech, choć znalazł się już na tyle daleko, że nie powinni go byli dostrzec. Jednak miał wrażenie, że jeden z Niemców zauważył ślady, które po sobie pozostawił. Mężczyzna bez słowa podniósł wzrok i rozejrzał się. Był pewien, że ich spojrzenia na ułamek sekundy skrzyżowały się ze sobą, ale tamten odwrócił w końcu głowę i poniósł kolejne martwe ciało w stronę dołu, swoimi krokami zdeptując ślady, które on zostawił, gdy się czułgał.

Wstał i potykając się, bo długie godziny bezruchu spędzone w chłodzie na ciężarówce pozbawiły jego nogi czucia, ruszył przed siebie. Nie wiedział, gdzie jest, był jednak pewien, że nie odjechali daleko od Gotenhafen. A skoro był w pobliżu Gotenhafen, postanowił wrócić do Danzig. Za miastem, do którego trafił z Berlina, nigdy nie przepadał, ale lata w nim spędzone dawały mu większą gwarancję bezpieczeństwa. Tak mu się przynajmniej zdawało. Choć wiedział, że w Danzig Sowietci nie są wyzwolicicielami, a zdobywcami, co w wojennych warunkach dawało im daleko szersze możliwości działania. A on dobrze zdawał sobie sprawę z tego, co to znaczy. Nie spodziewał się, by udało mu się w Danzig pozostać, zresztą wolał wrócić do Berlina, kiedy Armia Czerwona dotrze i tam. Jednak miasto nad Motlau było mu bardziej znajome i przetrwanie do końca wojny wydawało mu się łatwiejsze, jeśli tam właśnie wróci.

ROZDZIAŁ

6

Marianna Walewicz miała kiedyś u swoich stóp cały świat. Córka zamożnego gdańskiego antykwariusza, obdarzona zmysłowym głosem i nordycką urodą, która dawała jej poczucie bezpieczeństwa nawet w centrum antysemitycznych działań, odważnie wykorzystywała swoje atuty i do własnych celów używała uroku osobistego, którego nie brakowało jej od najmłodszych lat. Czuli się na tyle pewnie, by z młodzieńczą fantazją wdać się w romans z niemieckim oficerem, jednocześnie współpracując z polskim wywiadem w Wolnym Mieście. Bawiło ją to, jak wszystko, co robiła w życiu, bo rzeczy, które uważała za nudne, szybko przestawały ją interesować. Zdecydowała się na współpracę z Niemcami, by ratować matkę, która także obdarzona jasnymi włosami i aryjskimi proporcjami głowy, była jednak na tyle znana w Berlinie, że nie mogła ukryć swego żydowskiego rodowodu. Marianna w zamian za pozostawienie matki w spokoju przekazywała informacje dotyczące gdańskiej Polonii. Jednak jako córka jej działacza natychmiast zgłosiła się do polskiej strony, która z powodzeniem tworzyła materiały, poprzez jej starannie zadbane ręce trafiające do agentów Trzeciej Rzeszy. Uważała, że to zabawne, może trochę niebezpieczne, ale pełne emocji, a ona lubiła emocje. Kiedy zrozumiała, że jest ich zbyt dużo w relacji z prowadzącym ją oficerem z Berlina, postanowiła znaleźć pretekst, by tę relację przerwać. Zaangażowanie nie pasowało do jej sposobu widzenia świata, więc się go przestraszyła. Przestraszyła się, gdy Heinrich Auerbach przestał być tylko środkiem służącym jej do własnych celów. Okazało się, że i dla niego Marianna stała się kimś więcej niż tylko agentką, z którą romansuje się dla zwiększenia efektywności jej szpiegowskich działań. Choć Heinrich Auerbach, w przeciwieństwie do Marianny, chciał tę relację pogłębiać, mimo że wiedział o jej żydowskim pochodzeniu.

Po latach Auerbach znalazł się w Wolnym Mieście. Gdy się spotkali, Marianna poczuła, że zrobiła słusznie, decydując się na zakończenie tego romansu, bowiem emocje, które znowu poczuła, mogły łatwo poprowadzić ją w złą stronę. Tymczasem Heinrich Auerbach żałował, że romans okazał się tylko przelotną przygodą w jego pozbawionym uczuć życiu. Dlatego w imię tego, co poczuł, widząc Mariannę w drzwiach restauracji pustego jesienią hotelu Seestern w Brösen, nie zawahał się pomóc jej w wydostaniu się z Wolnego Miasta tuż przed wybuchem wojny. Wiedział, że zarówno ona, jak i jej ojciec, którego od początku swoich działań związanych z Marianną podejrzewał o współpracę z agenturą polskiego wywiadu w Brombergu, znaleźli się na liście osób, które będą wśród pierwszych aresztowanych, gdy tylko rozpocznie się operacja Fall Weiss.

Marianna wyjechała z Wolnego Miasta, zostawiwszy Heinrichowi swój medalion. Przechowywała w nim zdjęcie matki. Wcześniej nigdy się z nim nie rozstawała, jednak tam, przy stoliku w Grosser Stern w Zoppot w ciepłe sierpniowe popołudnie, gdy w porcie cumował już Schleswig-Holstein, a młodzi Niemcy z Danzig stawiali drewniane baraki w spokojnej wsi Stutthof, Heinrich przekonał ją, by opuszczając miasto, pozostawiła mu rodzinną pamiątkę.

– Ten medalion pomoże mi załatwić, że nie będą cię szukać – tak wtedy powiedział. A ona nie zastanawiała się, co miał na myśli. Zdjęła medalion i wyjechała do Gdyni.

Nigdy więcej nie widziała Heinricha Auerbacha. Czasem zastanawiała się, czy nadal mieszkał w Gdańsku, jednak bardziej prawdopodobne wydawało się jej to, że opuścił położone na uboczu wojennych działań, zbyt spokojne dla jego rozbuchanych ambicji miasto i wrócił do Berlina lub znalazł się gdzieś na tyłach frontu, gdzie mógł z pasją oddawać się swoim szpiegowskim grom. Ona pozostała w Gdyni, którą na rozkaz samego Hitlera przemianowano na Gotenhafen, i jako mało rozgarnięta służąca niemieckiego policjanta rozplynęła się wśród nielicznie pozostałych w mieście Polaków. Od pracy, do której nie była przyzwyczajona, zrobiły jej się odciski na niepielegnowanych już

dłoniach, którymi szorowała garnki, zmywała podłogi i czyściła niemieckie mundury. I tylko roztargnieniu swego chlebowadcy zawdzięczała to, że nie zauważał jej braku doświadczenia w robieniu tego wszystkiego. Na gładkiej twarzy pojawiły się bruzdy, a pod błękitnymi oczami wykwitły cienie, które dodały jej wieku. Ona sama przestała czuć się tą Marianną, którą była dawniej, z niechęcią patrząc na swoje odbicie w lustrze.

Kiedy było wiadomo, że niebawem Gotenhafen stanie się znowu polską Gdynią, na stole w salonie mieszkania Josepha Krupkego pojawił się przydział na rejs Gustloffem. Tym razem od lat stojący w porcie wycieczkowiec, który miał już dawno za sobą wakacyjne przygody na Morzu Śródziemnym i w fiordach Norwegii, wyruszał w podróż z uchodźcami, którzy ze wschodu ciągnęli do Gotenhafen. Wiedziała, że w porcie trwają prace, by uruchomić jego bezwładną bryłę, zacumowaną do kei od lat w roli bazy dywizji szkoleniowej U-Bootwaffe. Pokłady wypełniały się pasażerami, którzy cieszyli się z szansy, jaką dawało im znalezienie się na statku. W końcu i Joseph Krupke zapakował najpotrzebniejsze rzeczy, uściśnił dłoń Marianny i pojechał, by wyruszyć w podróż na bezpieczniejszy zachód. O tym, co stało się z Gustloffem, Marianna dowiedziała się następnego dnia rano. Wyjęła z zamka klucz, który zgodnie z rozkazami dla uciekających z Gotenhafen Niemców, Joseph Krupke pozostawił w drzwiach, by kolejni uchodźcy mieli tymczasowe schronienie w oczekiwaniu na ewakuację, i postanowiła poczekać w mieszkaniu przy Askanierstrasse do wyzwolenia.

Zanim zeszła do piwnicy, znalazła w łazience starą brzytwę Josepha Krupkego. Długo odcinała dawniej złote, teraz gęsto poprządkane siwizną włosy, które w takt pocisków wyrzucanych przez baterie ciężkiej artylerii w stronę okrążających miasto wojsk sowieckich, opadały wolno na posadzkę. Kiedy z lustra patrzyła już na nią obca osoba o zapadniętych oczach, ziemistej cerze bez odrobiny makijażu i włosach oberżniętych niemal przy skórze czaszki, włożyła brzytwę z powrotem do szuflady, jakby tam miała oczekiwać powrotu swego właściciela. Potem z resztkami jedzenia, które zabrała ze sklepu kolonialnego na Hindenburgstrasse, gdy obok uderzyła sowiecka bomba i na całej ulicy wyleciały z okien szyby, zeszła do piwnicy, by tam zaszyć się w najdalszym kącie w oczekiwaniu na koniec wojny.

Nie wiedziała, ile dni tam spędziła. Była zupełnie sama. Bała się wyjść na zewnątrz i postanowiła, że pozostanie w piwnicy tak długo, aż z góry przestaną dochodzić jakiegokolwiek odgłosy walki. Każdy większy wybuch, który wprawiał w drżenie fundamenty budynku przy Askanierstrasse, powodował paniczny lęk o to, że ściany nie wytrzymają kolejnego ataku, a kondygnacje ponad jej głową złożą się niczym domek z kart, w jedno gruzowisko zamieniając gabinet Josepha Krupkego, biedermeierowski salonik pani Hoffmeier, wdowy po inżynierze, który w trzydziestym dziewiątym przyjechał ze stoczni w Kiel, by w Gotenhafen remontować niezwyliczoną flotę Kriegsmarine, oraz bawialnię doktora Heckmanna, który po wiadomości o śmierci syna, służącego w oddziałach Wehrmachtu odciętych przez Rosjan w Kurlandii, postanowił pozostać w Gotenhafen, bo było mu już i tak wszystko jedno, a Sowietów się nie bał, ponieważ przestał w ogóle odczuwać cokolwiek.

W piwnicy Marianna straciła poczucie czasu. Dzień mieszał się z nocą, a ona zasypiała i budziła się, po jedzeniu sięgając, gdy odczuwała głód, i tylko ilością zjedzonych niemieckich konserw odliczała czas spędzony w piwnicy. Gdy wyskrobała resztę z ostatniej, postanowiła, że pora opuścić schronienie. Miała wrażenie, że od jakiegoś czasu walki odsunęły się dalej. Nadal słyszała odgłosy wybuchów, głuche dudnienie artyleryjskich dział i świst spadających pocisków, jednak wszystko było bardziej odległe i jakby mniej gwałtowne, bo wcześniej miała wrażenie, jakby skryła się pod powierzchnią wody w basenie, nad którym szalała burza.

Wejście do piwnicy było niemal całkowicie zasypane. Musiała przeczołgać się przez wąski otwór między zwałami gruzu a stropem, z którego zwisały kawałki metalowych prętów, podtrzymujących konstrukcję. Czowała, że jeden z nich rozciął grubą nogawkę jej spodni i poharatał łydkę, jednak wiedziała, że nie może się zatrzymać, bo jeśli zwałowisko zamieni się w lawinę spadających kamieni, wyląduje z powrotem w piwnicy, z której nie będzie mogła się już wydostać.

Światło z ulicy oślepiło ją. Ku swojemu zdziwieniu stwierdziła, że na zewnątrz jest środek słonecznego dnia, choć znad morza wiał przejmująco zimny wiatr. Świeże powietrze przypawiło ją o zawrót głowy, musiała przytrzymać się stojącej obok ulicznej lampy. Kamienica przy Askanierstrasse, w której spędziła całą wojnę, usługując Josephowi Krupkemu, niewiele ucierpiała. Choć okna wielu mieszkań pozbawione były szyb, a pociski

z karabinów maszynowych przeorały modernistyczną fasadę, budynek cały czas stał. Jednak Marianna wiedziała, że nie chce wracać do mieszkania na pierwszym piętrze, gdzie w kubły na odpadki ciągle kłębiły się jej złote loki.

Budynek na rogu ocalał, dalej piętrzyły się gruzy zburzonych domów. Przedzierając się przez nie, ruszyła w stronę Hermann Göring Strasse. W powietrzu unosił się swąd spalenizny. Z daleka dobiegały pojedyncze odgłosy wystrzałów, ale Askanierstrasse była pusta.

Kiedy znalazła się na Hermann Göring Strasse, zauważyła tablicę z niemiecką nazwą ulicy. Tablica leżała na chodniku przysypana odłamkami cegieł. Przyglądała się jej, zastanawiając się, czy w mieście są już Rosjanie, gdy usłyszała warkot silnika dobiegający od strony budynku, gdzie do niedawna znajdowała się Cafe Berlin. Podniosła głowę i zobaczyła, że w jej kierunku szybko zbliża się ciężarówka. Kierowca zatrąbił i w chwilę później zatrzymał się obok niej.

– Frau, komm! – Z szoferki wychylił się sowiecki żołnierz. Ledwie widziała jego twarz spod naciągniętej głęboko na oczy wojskowej czapki.

Spojrzała na niego i cofnęła się o krok.

– Ja Polka, nie Niemka! – krzyknęła po polsku. – Do Gdańska? Chcę do Gdańska! Zawiesz mnie?

Żołnierz podrapał się po policzku i w szerokim uśmiechu pokazał kilka złotych zębów.

– A pojebat' dasz?

Poczuła, że brak jej tchu. Zdjęła szybko beret.

– U mnie tyfus! Tif! – krzyknęła.

Żołnierz splunął i stał z twarzy uśmiech. Głową wskazał odkryty tył ciężarówki.

– Sadis tam! Tolko bystro! – Cofnął się do wnętrza szoferki.

ROZDZIAŁ

7

Franz Thiedtke chciał się dowiedzieć, czy Helenę zwolniono już z posterunku, który jemu właśnie pozwolono opuścić. Stał teraz przed budynkiem przy bezimiennej ulicy, którą całkiem niedawno nazywano Hafenstrasse, ale tabliczka odpadła od fasady domu, a on był przekonany, że niebawem w jej miejscu pojawi się nowa, z polskim lub rosyjskim napisem, którego on nie będzie w stanie odczytać. Palił papierosa, którego po przesłuchaniu dostał od polskiego oficera, i przyglądał się prowadzącej do wnętrza posterunku bramie, której pilnowali dwaj uzbrojeni żołnierze. Obaj mieli nie więcej niż osiemnaście lat.

Palił powoli, zastanawiając się, jak może dowiedzieć się czegoś o losie Heleny. Oficer, który go przesłuchiwał, nie chciał nic powiedzieć. Dał tylko mocnego papierosa, od którego przy pierwszym zaciągnięciu zakręciło mu się w głowie, i bez słowa wskazał drzwi wyjściowe.

Kiedy popiół z żarzącego się papierosa oparzył mu palce, rzucił niedopałek na ziemię i zdeptał tłącą się reszkę zakurzonym butem. Pomyślał, że musi te buty wyczyścić, bo nigdy nie miał na nogach nic równie brudnego, nawet półtora roku temu, gdy znalazł się w tym samym budynku, z którego go teraz wypuszczono, bo właśnie tu trafił wtedy jako pozbawiony tożsamości domniemany morderca z hotelu w Adlershorst. Tamte wydarzenia wydały mu się tak odległe, że sprawiały wrażenie nocnego koszmaru, z którego udało się już obudzić. Jednak Helena, która właśnie wtedy znalazła się w jego życiu, była całkiem realna, i teraz należało ją odszukać.

Nie wiedział, ile czasu spędził na ulicy, z nadzieją, że drzwi za plecami sowieckich żołnierzy otworzą się i stanie w nich ona. Kiedy zaczęło zmierzchać, a on był już zupełnie przemarznięty, bo od strony zatoki wiał przejmujący wiatr, którego podmuchy prześlizgiwały się ulicami aż do Litzmannplatz, a nie miał przecież płaszcza, pomyślał, że powinien wrócić na Adolf Hitler Strasse, do mieszkania, które przed wojną należało do Heleny i jej męża. Jeśli wypuścili ją wcześniej, z pewnością wróciła do miejsca, które ciągle uważała za dom. Jeśli dopiero ją wypuszczą, też bez zastanowienia uda się do kamienicy, gdzie na schodach prowadzących do piwnicy ciągle leżały zwłoki jej męża.

Dopiero teraz pomyślał, że zupełnie zapomniał o Stefanie. A przecież obiecał Helenie, że godnie go pochowają. Podniósł kołnierz marynarki, choć ta nie bardzo chroniła go przed zimnem, i ruszył w stronę Adolf Hitler Strasse. W myślach posługiwał się ciągle niemieckimi nazwami, ale był pewien, że w ciągu kilku najbliższych dni na poszczerbionych fasadach domów w Gotenhafen pojawią się nowe tabliczki. A Gotenhafen, baza Kriegsmarine i punkt ewakuacyjny dla całych Prus Wschodnich, zniknie z map świata. To miasto nigdy nie było niemieckie i dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że teraz tacy jak on będą tu bardzo źle widziani. Choć polski oficer, który go przesłuchiwał, wydawał się obojętny wobec jego pochodzenia, a nawet sprawiał wrażenie całkiem przyjacielskiego, Franz wiedział, że powinien wrócić do Danzigi, bo tam takich jak on pozostało więcej. Postanowił więc pochować Stefana, a potem razem z Heleną wyruszyć do Danzigi. I zrobić to, co postanowił sobie w piwnicy zaraz po śmierci Stefana. Wiedział, że to będzie trudne, może nawet niemożliwe do wykonania, bo wobec panującego wokół chaosu i nowych sowieckich porządków nie miał żadnego pomysłu, jak sprawić, by winny poniósł należytą karę, jednak wiedział też, że musi przynajmniej spróbować. Bo wina nie może przecież pozostać bezkarna. Tak właśnie pomyślał, przecinając Litzmannplatz.

Niebo nad wcinającym się w morze mołem było granatowe. Zapadał zmrok. Wypalone kikuty budynków pograżały się w ciemności, rozjaśnionej tylko zaspami brudnego, pokrytego plamami oleju i krwi śniegu. Franz zatrzymał się i cofnął o krok, gdy z Tirpitzstrasse wyjechał radziecki żołnierz o czerwonej nalanej twarzy. Żołnierz kołysał się z boku na bok na pobijanym rowerze marki Victoria, z którego zwisała oderwana lampa, objijająca się

o przedni błotnik przy każdym ruchu wygiętej kierownicy. Rower podskakiwał na kawałkach gruzu rozrzuconego po całej ulicy i dopiero po chwili Franz zauważył, że jest pozbawiony opon, a metalowe obręcze kół wyginają się z każdym potknięciem o pokruszone cegły. W końcu przednia obręcz nie wytrzymała, szprychy ugięły się pod ciężarem jadącego i żołnierz runął w najbliższą zaspę. Zaklął głośno i znieruchomiał. Gdy Franz usłyszał głośne chrapnięcie, wcisnął się głębiej w kołnierz marynarki i ruszył dalej.

W powietrzu unosił się swąd spalenizny. Z wypalonych wewnątrz budynków wydobywały się ciągle kłęby dymu. Ogień z kamienicy palącej się na końcu Hermann Göring Strasse oświetlał wlot na Bahnhofstrasse, z której wytoczyła się wojskowa ciężarówka.

Gdzieś w oddali rozległ się wybuch bomby, jednak w mieście panowała cisza. Budziła trwogę po tygodniach walk niedających wytchnienia błonom bębnowym wszystkich, którzy pozostali w Gotenhafen. Działa zacumowanego na wodach zatoki krążownika Prinz Eugen ucichły. Z portu, którego wejście zablokował zatopiony pancernik Gneisenau, nie wypływały już żadne jednostki, choć jeszcze kilka dni wcześniej statki Kriegsmarine zapełniały portowe baseny, zabierając ciągnące mimo artyleryjskiego ostrzału tabory uciekinierów, których transportowano na okręty stojące na redzie lub dalej, na Hel. Niebo ponad dachami też było spokojne, żadnych nalotów i artylerii przeciwlotniczej. Tylko migoczące gwiazdy.

Dom, w którym znajdowało się przedwojenne mieszkanie państwa Kamieńskich, nie był zniszczony. Fasada była poznaczona seriami z karabinów maszynowych, które pozostawiły w poszarzałym tynku głębokie ślady, jednak budynek był cały, choć w kilku oknach wyleciały szyby. Szkło rozprysło się na chodniku przed wejściem i kiedy Franz wchodził na korytarz, odłamki zachrzęściły pod jego stopami.

W holu wejściowym było zupełnie ciemno. Wyszukał w kieszeni pudełko zapalek, wyłuskał jedną i zapalił. Nikły płomień oświetlił schody na piętro. Jedną ręką przytrzymując się balustrady, drugą unosząc przed sobą, by zapalka oświetlała kilka schodów przed nim, wszedł na górę i odszukał drzwi do mieszkania, do którego w lutym przyprowadziła go Helena. Nacisnął klamkę i wszedł do środka.

W mieszkaniu było cicho. Światła ciężarówki, która przejechała wolno Adolf Hitler Strasse, oświetliły na kilka chwil wnętrze salonu. Po ścianie przesunęły się cienie, które wraz z ciężarówką zniknęły.

– Heleno! To ty? – Franz zapalił kolejną zapalkę, bo miał wrażenie, że na secesyjnej kanapie, która stała w kącie salonu, dla bezpieczeństwa odsunięta jak najdalej od okna, zobaczył zarys sylwetki.

– Franz? – Tak, to był głos Heleny.

– Heleno! Wiedziałem, że tu wrócisz! – Przywarł do cienia, który uniósł się z kanapy. Tak, to była Helena. Poczul jej zapach, zapach, który przez ostatnie miesiące nadawał sens jego życiu. Jeszcze bardziej krucha niż kilka dni temu, gdy widzieli się po raz ostatni, wydała mu się teraz zupełnie bezradna, pozbawiona siły, której dodawała mu wtedy, kiedy niemal bezimienny poszukiwał nie tylko mordercy z Adlershorst, ale i siebie samego. – Jak długo tu jesteś? – zapytał w końcu.

– Od wczoraj. Trzymali mnie tylko jeden dzień. Potem wzięli na przesłuchanie i wypuścili. – W ciemności domyślał się tylko, że Helena poprawia włosy, ujarzmia posiwiałe pasma, które czuł na swojej twarzy. – Chcieli wiedzieć, kim jestem, co robiłam w Gdyni przez całą wojnę. Pytali też o Stefana i o ciebie. Powiedziałam im prawdę. Podobno będą weryfikować takich jak ja. Takich, co podpisali volkslistę. – Umilkła. Poczul jej chłodną dłoń na swojej twarzy. Choć było ciemno, widział białka oczu Heleny, czuł jej twarz tuż koło swojej. – Franz, tak się cieszę, że tu jesteś. Bałam się. Tak strasznie się bałam, że już cię nie spotkam.

– Ja też. Ja też się tego bałem. Bałem się bardziej niż tego, że mnie zabiją.

– Zrobili ci coś? Jesteś ranny?

– Nie. Nic mi nie jest. A ty?

– Ja też. Traktowali mnie całkiem dobrze.

– Mnie też. Mnie też, Heleno.

– A o co cię pytali?

– O to samo, co ciebie. Kim jestem, czy jestem w NSDAP, co robiłem przez ostatnie lata. Ale chyba nie jestem dla nich niebezpieczny, skoro mnie wypuścili, starego nudziarza. – Roześmiał się. Ona roześmiała się razem z nim, ale szybko spoważniała.

– Franz, ja się o ciebie boję – powiedziała. – Oni nie będą łaskawi dla Niemców. Powinieneś uciekać.

– Uciekać? Gdzie uciekać? Nie zostawię cię tutaj. Musimy przecież pochować Stefana.

– Franz, musisz uciekać do Niemiec. Tutaj nie powinieneś zostawać. Do Gdańska też nie powinieneś wracać. Tam jest zbyt niebezpiecznie.

– Heleno, moja kochana Heleno! Nie bój się, na pewno wszystko się dobrze ułoży. Uciekaliśmy ostatnie półtora roku. Półtora roku tułaczki i niepewnego jutra to chyba wystarczy, prawda? Dlatego ja nigdzie nie będę już uciekał. I nie będę wyjeżdżał do Niemiec. Moje miejsce to Danzig i tam cię ze sobą zabiorę. Najpierw pochowamy Stefana, a potem pojedziemy do Danzig. Może uda mi się odzyskać mieszkanie na Hermanshöferweg. I nareszcie będziemy normalnie żyć!

Helena wzięła głęboki oddech, ale nie odezwała się. Zamilkła. Czekał długą chwilę, nim w końcu wyrzuciła z siebie:

– Dobrze, Franz! Dobrze. – Ujęła w swoje chłodne dłonie jego rękę o spękanej skórze i przycisnęła ją mocno do policzka. – Skoro tak mówisz... Będziemy w końcu normalnie żyć. Tak, normalnie. Nie wiem już, co to znaczy, ale nauczymy się tego od nowa.

Pogładził jej gładko teraz upięte włosy.

– Zobaczysz, teraz będzie już dobrze. Pochowamy Stefana i pojedziemy do Danzig. I nie będziemy już więcej uciekać.

– Skoro tak mówisz... Ale słyszałam, że w Danzig straszne rzeczy się dzieją. Sowietci spalili ludzi zamkniętych w kościele. Gwałcą i kradną co się da. Tak słyszałam w areszcie.

– Na pewno nie jest tak źle.

– Ludzie mówią, że Rusczy niszczą Danzig. Palą domy, chociaż miasto już zdobyli.

– Heleno, wszyscy bali się Sowietów, a oni, widzisz, wypuścili nas z aresztu. Nikt nas nie zabił, nie zgwałcił.

– Bo tu w Gdyni jest lepiej. Gdynia to polskie miasto.

– Ludzie różne rzeczy mówią, sama dobrze wiesz.

– Mówią, że Niemców z Danzig, tych, którzy nie uciekli, będą wysyłać do Sowietów, na Syberię.

– Mnie już nigdzie nie wyślą. Za stary jestem, żebym komuś przeszkadzał.

– Franz, ty sobie żartujesz, a ja się boję! Straciłam Stefana. Nie przeżyję, jeśli stracę i ciebie!

– Spokojnie już, spokojnie. Do tej pory mogłaś na mnie polegać, więc możesz to robić dalej.

– Tak, tak. Na tobie mogę polegać, ale tak się boję, żeby nie stała ci się teraz krzywda.

– Nie bój się. Dopóki ty jesteś tutaj, żadna krzywda mi się nie stanie. – Pocałował ją.

– Danzig będzie polski, wiesz o tym? – Podeszła do okna, ale odsunęła się od niego szybko.

– Tak, tak sądzę.

– I mimo to chcesz tam wracać? – Podeszła do niego i spojrzała mu prosto w oczy.

– Danzig to moje miejsce na świecie, dobrze o tym wiesz. Spędziłem w nim całe życie. I nie chcę go opuszczać, bo ktoś postawił ten świat na głowie.

– Franz, te twoje zasady... To nie czas na nie. – Pokręciła głową. Podeszła do serwantki, z której wyleciały szyby, i nie otwierając drzwiczek, wyjęła ze środka wymiętą paczkę radzieckich papierosów. Wziął jednego. Zapalili, używając jednej zapalniczki.

– Przecież mówiłaś, że to we mnie cenisz. Moje zasady – powiedział, wypuszczając kłęb dymu. Zakaszał gwałtownie. Papierosy były mocne i podłej jakości.

– Teraz powinieneś pomyśleć o własnym przetrwaniu. A nie o zasadach.

– A pojedziesz ze mną do Niemiec?

– Ja? – Spojrzała na niego zdziwiona.

– Tak, ty. Zostawisz to mieszkanie, to miasto... i pojedziesz ze mną?

W pokoju zapadło milczenie.

– Masz w Niemczech jakąś rodzinę? – zapytała w końcu Helena.

– Nie, moja rodzina była z Danzig. Pojedziesz ze mną, Heleno?

Znowu cisza.

– Nie, Franz. – Usłyszał w końcu. Helena zrobiła się bardzo poważna. – Ja nie chcę dłużej mieszkać wśród Niemców. Nie po tym, co się wydarzyło. Nie mogłabym, rozumiesz?

– Ja też jestem Niemcem.

– Ale ty jesteś inny.

– Inny? W takim razie muszę tu zostać. – Zdjął swoją starą wytartą marynarkę i okrył nią Helenę. – Powiedziałem ci kiedyś, że będę z tobą tak długo, aż będziesz bezpieczna. – Przyciągnął ją do siebie i oplótł ramionami.

– Przecież przed chwilą przekonywałeś mnie, że nic nam już nie grozi.

– Zawsze łapię cię za słowa! – Roześmiał się. – Powiem ci, co zrobimy. Jutro pochowamy Stefana. Potem ty zostaniesz tutaj, a ja przedostanę się do Danzig, sprawdzę, czy moje mieszkanie nie zostało zburzone. I wrócę do ciebie. Wtedy zdecydujemy, czy zostaniemy tutaj w Gdingen, czy pojedziemy do Danzig i zamieszkamy na Hermanshöferweg. Dobrze, Heleno?

– No dobrze. Wiem, że jesteś uparty. Jutro jeszcze nad tym pomyślimy.

ROZDZIAŁ

8

- Imię?
- Frieda.
- Nazwisko?
- Gonschorowsky.
- Polka?
- Niemka.
- Volksdeutschka?
- Niemka.
- Stan cywilny?
- Wdowa. Mój mąż, Alfred Gonschorowsky, poległ pod Stalingradem.
- SS?
- Mój mąż był Oberleutnantem w armii feldmarszałka Paulusa.
- Skąd?
- Miejscowa, z Zoppot.
- Zawód?
- Prowadziłam zakład fotograficzny po mężu. Przy Seestrasse. Koło hotelu Werminghoff.
- Sierżancie Pietrenko, zabrać i dawać następną!
- Imię?
- Marianna.
- Nazwisko?
- Walewicz.
- Polka?
- Tak.
- Miejscowa?
- Z Gdańska.
- Mówicie po rosyjsku.
- Tak. Znam też biegle niemiecki. I polski, oczywiście. Mogłabym pomóc. W tłumaczeniach.
- Gdzie spędziliście wojnę?
- Ukrywałam się w Gdyni.
- I tak się wam udało całą wojnę ukrywać?
- Tak, byłam służącą oficera policji...
- Gestapo?
- Nie, Kripo, to znaczy... policji kryminalnej. Takiej zwykłej, od łapania złodziei.
- A co robiliście przed wojną?
- Byłam działaczką polonijną. Mój ojciec prowadził w Gdańsku antykwariat.
- Byliście zaangażowani ideowo?

- Ideowo? W pewnym sensie. Współpracowałam z ekspozyturą polskiego wywiadu w Bydgoszczy.
 - Co przez to rozumiecie?
 - Przekazywałam fabrykowane raporty niemieckim służbom w Gdańsku.
 - Byliście szpiegiem?
 - To chyba za dużo powiedziane... Byłam młoda, nie traktowałam tego w ten sposób... Ale chyba tak. Rzeczywiście tak można powiedzieć. Moim oficerem prowadzącym był major Henryk Malicki z bydgoskiej ekspozytury polskiego wywiadu. Wiecie, przed wojną w Wolnym Mieście dużo się działo pomiędzy polskim i niemieckim wywiadem.
 - To bardzo ciekawe, co mi tu opowiadacie. Możecie opowiedzieć więcej?
 - Zostałam zwerbowana przez majora Malickiego w trzydziestym trzecim, zaraz po tym, jak Hitler doszedł do władzy. Młodość spędziłam w Berlinie, moja matka tam mieszkała.
 - Nie mówiliście, że jesteście w połowie Niemką.
 - Niemiecką Żydówką.
 - Jesteście Żydówką?
 - Po matce.
 - Coś mi tutaj bajki opowiadacie! Niemiecka Żydówka i polski szpieg?! Myślicie, że można się ze mnie tak naśmiewać? Sierzancie Pietrenko! Zabrać i następną!
 - Tak jest, towarzyszu kapitanie!
 - Ale to prawda.
 - Dlaczego mam wam wierzyć?
 - Towarzyszu kapitanie, to mam zabierać?
 - Bo mówię prawdę. I wiem sporo na temat działalności niemieckiego wywiadu. Polskiego także.
 - Poczekajcie, Pietrenko. A na temat działań Polaków w Gdyni w czasie wojny?
 - Też.
 - I opowiecie nam, co wiecie?
 - Jeśli zrobicie mnie swoją tłumaczką.
 - To znaczy chcecie się do nas przyłączyć?
 - Chcę się rozliczyć z przeszłością i rozpocząć nowe życie.
 - Jesteście koniunkturalistką.
 - Możecie mnie nazywać, jak chcecie. Nie przywiązuję się do tego, co mówią o mnie inni.
 - Podobacie mi się. Poobserwuję was. A potem zobaczymy. Pietrenko, zabierzcie towarzyszkę i dajcie jej herbaty.
- I to już, zrozumiano?
- Tak jest, towarzyszu kapitanie!

ROZDZIAŁ

9

Od wielu dni nie widział własnego odbicia. Choć dłonie miał zeszywniałe z zimna, pocierał nimi twarz, a pod palcami za każdym razem wyczuwał coraz mocniejszy zarost. Zawsze starannie się golił, usuwał z twarzy zbędne owłosienie nawet dwa razy dziennie. Uważał, że tylko dowódcy u-bootów, szaleńcy grasujący po wodach Bałtyku i Morza Północnego, mogli pozwolić sobie na wizerunkową anarchię, zaprzeczenie konwencji niemieckiego oficera, który w swoim mundurze od Hugo Bossa nawet na froncie musiał odpowiednio reprezentować swój kraj. Dbał o wygląd, nie histerycznie, ale zdawał sobie sprawę, że to, jak wygląda, wywierało wpływ na innych. Odpowiednie pierwsze wrażenie dawało mu poczucie siły, wiedział, że staje się idealnym wyobrażeniem übermenscha, nadczłowieka, który właśnie kroczy po władzę nad innymi. Teraz pozostała brudna zarośnięta twarz i podarte ubranie, które nie zapewniało mu ciepła, gdy przedzierał się z Gotenhafen. Czuł się jak człowiek zepchnięty na skraj swego człowieczeństwa, pozbawiony atrybutów siły, która dotąd decydowała o jego miejscu w świecie. Nie czuł się z tym dobrze, nie był do tego przyzwyczajony, choć zdawał sobie sprawę, że teraz taki wizerunek mógł pomóc mu przetrwać. A przecież przetrwanie zawsze było najważniejsze.

Miasto wokół zamieniło się w morze ruin, którego bezkres ograniczały tylko gdzieś tam zachowane ściany dawnych domów, chybotliwie czekające na podmuch, który mógłby je zburzyć. Manierystyczne kamienie z elegancją ciągnące się wzdłuż zacienionych markizami ulic, którymi jeszcze kilka miesięcy temu przechadzali się stateczni mieszkańcy, może trochę zaniepokojeni wiadomościami, które dochodziły ze wschodu, jednak ciągle pewni własnej przyszłości, były teraz wypalonymi szkieletami, których kikuty pozostałe po bombardowaniach wbijały się we wczesnowiosenne niebo, unosząc swoje pozbawione głosu skargi na własny los. Nad miastem powiewała polska flaga, materialne ucieleśnienie obcych, którzy na swych czołgach wkroczyli do miasta, by umieścić ją na fasadzie Artushof, zanim jeszcze Danzig został ostatecznie zdobyty. Nie było już Heilige-, Geist-, Gasse- i Altstädtischer Graben, Hundegasse i Pfeferstadt, Vorstädtischer Graben i Jopengasse. Zniknęła Złota Kamienica. Zniknął Dom Ferberów na Langegasse i Dom Schlieffów na Brotbänkergasse. Na Frauengasse pozostały tylko przedproża; poznaczone śladami po pociskach zachowały nawet żeliwne poręcze, choć teraz schody prowadziły donikąd. Pochylony nad Motlau Krantor przeglądał się w wodach rzeki, w której pogrążyły się spichlerze: Królewski i Oliwski, Gdański i Pod Koroną. Pruskie mury na Speicherinsel zamieniły się w zwałowiska potłuczonych cegieł, spośród których wychylały się w akcie ostatecznej desperacji resztki dźwigów i urządzeń portowych, choć portu też już nie było. Znad Motlau zniknęły handlarki ryb, które każdego poranka wędrowały na Fishmarkt z koszami pełnymi pomuchli i bałtyckich śledzi. Hotel Danziger Hof wciąż się palił, bo kosztowne zasłony, dywany w apartamentach i jedwabna pościel w pokojach dla gości nie poddawały się tak łatwo. Paliły się nikomu już niepotrzebne – polski przed wojną Continental i niemiecki Reichshof. Waliły się neorenesansowe stropy, pod którymi ginęły porcelanowe zastawy i srebrne sztucce, mosiężne dzwonki i bawełniane ręczniki. Bóg, o którym wszyscy już zapomnieli, nie oszczędził Marienkirche i Bartholomäikirche. *Sąd Ostateczny*, który kiedyś zawędrował do Danzig dzięki korsarskim poczynaniom kapra Beneke, teraz umknął zagładzie. Sąd ostateczny, który miał dokonać się nad miastem, tym razem dosięgnął także rzeczy, które pozostały na swym miejscu, z nadzieją na lepszą przyszłość. Ale teraz nikt ich już tu nie chciał.

Ciężarówka sunęła szybko z Langfuhr w stronę Rechtstadt. Kierowca, nie używając hamulców, omijał porzucone wraki samochodów, pozbawione kół furmanki i zeszywniałe ciała zaprzężonych do nich koni, które leżały wśród rozrzuconych walizek i pozbawionych właścicieli tobołów. Krył głowę w kołnierzu płaszcza, ale zimny wiatr znad

kanałów stoczniowych zawiewał zbyt mocno. Na drzewach ciągnących się wzdłuż alei, którą burmistrz Gralath pragnął uczynić reprezentacyjną arterią rozrastającego się z ufnością miasta, wisiały trupy dezertarów. Kilkunastoletni chłopcy, którzy urodzili się zbyt późno, by zginąć pod Stalingradem, i starcy, którzy mieli nadzieję na własne miejsce na cmentarzu przy St. Michaelisweg w Langfuhr albo pod Hagelsbergiem, wisieli na sparciących sznurach, zawieszonych na ogołconych z liści drzewach, które niebawem miały rozkwitnąć, bo przecież wiosna już się rozpoczęła. Z każdym podmuchem wiatru trupy kołysały się to w jedną, to w drugą stronę, bezwładne i bezwolne.

Na placu przy Oliva Thor, gdzie kiedyś odbywały się radosne wiece i nocne marsze z pochodniami, stały drewniane baraki dla ofiar sowieckich bombardowań. Wokół baraków było pusto. W powietrzu unosił się swąd spalenizny i zgniła woń rozkładających się ciał.

– Wyhodit’! – Ciężarówka zatrzymała się gwałtownie na Holzmarkt pod niemal nienaruszonym pomnikiem Kriegerdenkmal. Obelisk poświęcony gdańskim żołnierzom, którzy walczyli w wojnach prowadzonych przez Prusy w dziewiętnastym wieku, na tle okalających go ruin wydawał się sarkastycznym wyrzutem sumienia. Kierowca i jego towarzysz opuścili tylną klapę, ale zanim pozwolili pasażerom zejść z ciężarówki, zaczęli pokrzykiwać, wskazując na swoje przeguby. Jeden z żołnierzy, z twarzą rozcharataną głęboką, nie do końca wyleczoną raną, uniósł rękaw brudnej kufajki i wskazał na pięć zegarków, które miał na przedramieniu: – Uuuh! Uuuh!

Konsternacja trwała tylko kilka sekund.

– Niech pan da mu ten zegarek! – krzyknął jeden z cywilów do mężczyzny, który miał zejść z ciężarówki jako pierwszy.

– Ale to pamiątka rodzinna – jęknął cicho człowiek, który dołączył do nich w Langfuhr.

– Dawaj mu ten zegarek, człowieku! – zniecierpliwiła się stojąca za nim kobieta.

– Dawaj, dawaj! – krzyknął zniecierpliwiony Rosjanin i ściągnął mężczyznę z ciężarówki. Ten zdjął szybko zegarek, poprawił okulary w ciemnej oprawie i nie oglądając się, ruszył w stronę Motlau.

– Ja nie mam zegarka. Nie mam. – Kobieta pokazała nadgarstek i pokręciła głową. – Rozumiesz? Nie mam.

Kierowca rozdarł wełnianą chustę, którą była owinięta, po czym popchnął ją w stronę towarzysza. Ten złapał ją z szerokim uśmiechem.

– Komm, frau! Komm! – Kobieta zaczęła się wyrwać, a mężczyzna złapał ją mocno, po czym nie zwracając uwagi na jej protesty, otworzył drzwiczki do szoferki i wepchnął ją do środka.

Na ciężarówce nikt się nie poruszył.

– Sliedujuszczij! Du! Dawaj uuuuuh! – Gdy zorientował się, że Rosjanin wskazał na niego, szybkim ruchem zdjął zegarek i oddał go. Kierowca obejrzał zdobyczą i krzyknął do następnego pasażera ciężarówki.

Nie odwracając głowy, ruszył szybko w stronę Kohlenmarkt. Minął zniszczony budynek teatru, przed którym leżały puste beczki, worki z rozsypanym piaskiem, pozbawiona lufy haubica i wózek od armaty przeciwpancernej. Skręcił za przewróconym na bok wagonem tramwaju linii numer trzy, który jeszcze kilka tygodni wcześniej woził pasażerów z Karthäuser Strasse aż na przeciwległy koniec miasta, do zajezdni przy Weidengasse, i przecisnął się pod ścianami Hohes Tor. Solidne dzieło Wilhelma van den Blocke, a miało więcej szczęścia niż hotel Danziger Hof czy pomnik cesarza Wilhelma, po którym pozostał tylko granitowy cokół.

Nie miał pewności, czy budynek przetrwał. Choć budowla była solidna i całkiem nowa, miasto wokół niemal przestało istnieć. Założył, że sowiecki wywiad będzie chciał przejąć archiwum ukryte za bramą przy Neugarten, jednak tym razem nie był pewien, czy jego przewidywania okażą się słuszne. Nie do końca wierzył, że zmysł, który pozwolił mu piąć się po szczeblach kariery i budować swoją rzeczywistość zgodnie z własnym wyobrażeniem, pozostał, że nie upadł tak jak wszystko wokół. Już idąc Krebstmarkt, widział dymy unoszące się nad ruinami Senatu i Volkstagu, które otwierały perspektywę Neugarten. Jednak kiedy znalazł się bliżej, zobaczył, że budynek pod numerem 27 był niemal nienaruszony. Uśmiechnął się do siebie, wciskając głowę w ramiona, by ukryć twarz za podniesionym kornierzem. A zatem intuicja, którą tak u siebie cenił, i tym razem nie zawiodła. Mimo tego, co działo się w mieście, nie stracił właściwego oglądu sytuacji. Nadal potrafił wyprzedzić działania wroga o co najmniej krok, a to dawało mu

zawsze dużą przewagę, przewagę, dzięki której zwykle wygrywał. Poczł się trochę pewniej i pomyślał, że jednak przetrwa. Mimo wszystko.

Zatrzymał się po drugiej stronie ulicy. Wśród ludzi ciągnących Neugarten od strony Schidlitz, równie obszarpanych i brudnych jak on, objuczonych puchowymi poduszkami i żeliwnymi garnkami, które uniknęły losu hotelowej zastawy, nie rzucał się w oczy. Zgarbiony, z twarzą pokrytą szpeceniastym siwiejącym zarostem, wyglądał na starszego, niż był w rzeczywistości. To pozwalało uniknąć natychmiastowego aresztowania, bo mężczyźni w jego wieku od razu trafiali do sowieckiej niewoli. Wyczuł w kieszeni napoczętą paczkę papierosów, którą zabrał jednemu z trupów w ciężarówce z Gotenhafen, i wysypał jej zawartość na rozmokły śnieg pod swoimi stopami. Rzucił się na kolana, by pozbierać papierosy i przy okazji przyjrzeć się wejściu do budynku. Przed bramę, przed którą leżały jeszcze poszarpane kawałki czerwonej flagi ze swastyką, podjeżdżały radzieckie wojskowe samochody i okryte brezentem ciężarówki. Z części z nich wyrzucano jeńców, zapędzanych kolbami karabinów do środka, do części wynoszono z wnętrza stosy dokumentów.

– Szto wy tam dełajete, starik? – Usłyszał nad głową męski głos. Odwrócił się i zobaczył stojącego obok krasnoarmiejca.

– Meine Zigaretten. – Wskazał na papierosy leżące w pośniegowym błocie i wyciągnął brudną dłoń, w której ścisnął kilka zmiętych sztuk.

Żołnierz sięgnął i zabrał wszystkie. Schował je do kieszeni munduru, jednego zapalił.

– Łuczsze atsiuda idite, starik. – Zaciągnął się głęboko. – Zdjes nielzia zadierziwatsia. Panimajetie?

Przyglądał mu się bez słowa. Nie poruszył się.

– Nu, won, starik! – Rosjanin splunął i zdeptał niedopalonego papierosa ciężkim ubłoconym butem. Pogroził mu kolbą karabinu i odszedł wolno.

Spojrzał pod nogi. Papierosy rozmokły w śniegu. Podniósł się, wyprostował i rozejrzał. Pomyślał, że dobrym schronieniem będzie szpital diakonisek. Jeśli jeszcze istnieje.

ROZDZIAŁ

10

Pochowali Stefana w prowizorycznym grobie na zboczu wzgórza, które oddzielało miasto od piaszczystej plaży. Franz Thiedtke postanowił wyruszyć do Danzig wczesnym rankiem następnego dnia. Helena zrobiła znak krzyża na bochenku chleba, który udało jej się zdobyć, i zawinęła go w lnianą chusteczkę. Zapakował go do plecaka, który przewiesił przez ramię, pocałował ją na pożegnanie i obiecał, że wróci, kiedy tylko sprawdzi, czy mieszkanie na Hermanshöferweg w Langfuhr ocalało. Helena nie chciała opuszczać Gdyni. Nawet gdyby mieszkanie Franza przetrwało.

– Nie bój się, tu jestem bezpieczna – mówiła, gdy próbował przekonać ją, by zastanowiła się nad swoją decyzją, kiedy jego nie będzie. – Gdynia jest już wolna. Teraz jestem znowu u siebie. Zostanę tu trochę. Nie mogę tak po prostu zostawić Stefana. Jeszcze nie. Obiecuję, może za jakiś czas. A ty zobacz, co dzieje się w Gdańsku, i wróć tu do mnie. Poza tym ja też muszę pilnować mieszkania. Potem będziemy mogli ostatecznie zdecydować.

Nie był zadowolony, zostawiając ją samą. Uważał, że w Gdyni, bo tak już ją nazywali, ciągle nie było bezpiecznie, choć rozpoczęto uprzątnięcie ulic, a z kranów poleciała bieżąca woda, w kinie Gwiazda odbył się pierwszy polityczny wiec, a trzy dni później do miasta przyjechał premier polskiego rządu tymczasowego, który głosił wierność radzieckiemu dyktatorowi, chciał jednak dogadać się w sprawie przejmowania przez Polaków pozostawionych przez Niemców urządzeń i budynków. W porcie działała polska grupa operacyjna, która miała zabezpieczyć to, co pozostało po walkach, choć wiadomo było, że Rosjanie chcieli zdemontować wszystko, co nadawało się do użytku, i wywieźć na wschód, pozostawiając wyzwolone miasto samemu sobie. Nie było jedzenia, ale Franz widział sowieckich żołnierzy, którzy przez powybijane witryny sklepowe wynosili zapasy, porzucone przez niemieckich właścicieli. Krążyły plotki, że Rosjanie znaleźli w porcie magazyny pełne prowiantu, jednak nikt nie wiedział, co stało się z całym ponemieckim dobrem.

W Zoppot zniszczenia nie były wielkie. Nad położonymi niżej ulicami unosiły się jeszcze pojedyncze smugi dymu, jednak w powietrzu nie czuć było woni spalinizny, do której Franz zdążył się już przyzwyczaić. Wszędzie walały się tablice z niemieckimi nazwami ulic i sklepowe szyldy. Na skrzyżowaniu z Ostseestrasse, przy przejeździe kolejowym, ruchem kierował sowiecki żołnierz. Franz zauważył, że z wyjątkiem kilku radzieckich ciężarówek jako jedyny zmierzał w stronę Danzig. Mijał po drodze kobiety o szarych zmęczonych twarzach, które trzymając za ręce dzieci o oczach wielkich z przerażenia, ciągnęły z Danzig, choć ucieczka do Gdingen nie miała już sensu, bo Niemcy poddali się nawet w Hexengrund.

Do Oliwy dotarł wczesnym popołudniem. Choć wiedział, że musi iść dalej, chciał na chwilę przerwać wędrówkę, by skręcić w Georgstrasse. Odszukał dom z wieżyczką, w której kiedyś stało jego łóżko, a babka Geszkau opowiadała mu swoje historie, przewracając fiołkowymi oczami, słynnymi w całej Oliwie. Nie czuł już zapachu swego dzieciństwa, unoszącej się wokół babki woni olejku różanego zmieszanego z krochmalem, bo babka nie chciała pachnieć maglem, zapragnął jednak choć na ułamek sekundy zawrócić czas i znaleźć się w świecie, w którym zawsze czuł się bezpieczny, a największym wydarzeniem każdego tygodnia była wyprawa na lody po niedzielnym nabożeństwie w katedrze. Z daleka widział jej smukłe wieże, o które niemal zahaczały szare wczesnowiosenne chmury. Przez ich grubą warstwę próbowały przebić się pojedyncze promienie słońca, jednak barokowe hełmy, które powinny je odbijać, zniknęły, i Franz, wracając z Georgstrasse na szosę do Danzig, zastanawiał się, co się z nimi stało. Minął złomowisko niemieckich czołgów, porzuconych obok ruin budynków należących do Danziger Accumulatoren-Fabrik, i ruszył w stronę miasta. Z daleka widział słupy dymu, wzbijające się w ciemniejsze powoli

niebo. Postanowił zejść z głównej drogi i Jagowstrasse dotarł do linii tramwajowej numer dwa, wzdłuż której podążył w stronę Striess. Tuż przed zajezdnią tramwajową ulicę tarasował zniszczony wiadukt kolejowy. W jego gruzach leżała lokomotywa. Ruszył wzdłuż oznaczonego wybuchami nasypu i dotarł do drewnianych parterowych budynków, za którymi na podmokłych zboczach otaczających miasto pagórków rozpościerały się otoczone drutem kolczastym baraki. Wokół było zupełnie pusto. Brama prowadząca do obozu skrzypiała cicho, poruszając się to w jedną, to w drugą stronę, gdy od zalesionych wzgórz zawiął chłodny wiatr.

Kolejny wiadukt także był zniszczony, udało mu się jednak przejść na drugą stronę i tak znalazł się na przedmieściach Langfuhr, wśród ciągnących się wzdłuż ulic szeregowych domów, które straszły powybijanymi oknami i kryjącymi się za nimi pozbawionymi życia wnętrzami. Pomyślał, że mógłby zatrzymać się w jednym z nich, bo wokół robiło się coraz ciemniej, jednak bliskość Hermanshöferweg, mieszkania, które kiedyś z Waltraud nazywali swoim domem, nie pozwoliła mu teraz zatrzymać się na całą noc. W koszarach przy Hochstriess, gdzie w czasach Freie Stadt Danzig kształcono młodą policyjną kadre, paliły się światła, unoszące się jasną luną ponad otaczającym teren parkanem. Uskoczył między drzewa, gdy zobaczył nadjeżdżający konwój sowieckich ciężarówek, które zatrzymały się przed główną bramą, po czym wjechały do środka. Gdy ostatni z samochodów zniknął, ruszył szybko i przeciskając się podwórkami wymarłych kamienic, dotarł do Mirchauerweg. Odskoczył, gdy z wnętrza sklepu kolonialnego na rogu Eschenweg wytoczył się krasnoarmiejec ze słoikiem z grubego szkła w dłoni. Żołnierz zatrzymał się w miejscu na jego widok. Jednak po chwili trwającej zaledwie ułamki sekund jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu. Wyjął ze słoika ukiszony ogórek i wyciągnął dłoń w kierunku Franza.

– Poluc’i! – powiedział. – Poluc’i, czielawiekie!

Franz Thiedtke bez słowa sięgnął po nieoczekiwany podarunek. Ogórek był gorzki i niesmaczny, ale dopiero teraz uświadomił sobie, że przez cały dzień wędrówki nie wziął nic do ust i poczuł się głodny. Kiedy Rosjanin wygrzebał ze słoika kolejny ogórek i ponownie wyciągnął brudną dłoń w jego stronę, sięgnął po niego szybko. Żołnierz włożył rękę do zmetniałej wody i dalej się uśmiechając, choć utrzymanie równowagi najwyraźniej sprawiało mu sporo kłopotu, wyciągnął ostatni. Wepchnął go do ust i rzucił słoik za siebie. Szkło rozsypało się z chrzęstem wśród fragmentów sklepowej witryny, zalewa rozlała się na kawałkach gruzu rozsianych wokół. Kiedy zjedli, krasnoarmiejec poklepał Franza po ramieniu i powiedział:

– A tiepier idi, starik. Idi! – Po czym ominąwszy go chwiejnym krokiem, poszedł w stronę koszar.

Franz ruszył dalej. Chwilę zastanawiał się, czy przyjazny Rosjanin wyciągnie teraz broń i strzeli mu w plecy, by kula przedarła się przez chybrotliwy kręgosłup i dotarła do pełnego żołądka, którego zawartość wypłynęłaby z powrotem na Mirchauerweg. Ale kiedy po kilku sekundach obejrzał się za siebie, ulica była pusta. Skręcił szybko w Drewkeweg i opierając się o parkan okalający pozostałości remizy straży pożarnej w Langfuhr, wyrzucił z siebie gorzkie ogórki, które obryzgały nienaruszone działaniami wojennymi sztachety parkanu. Po długiej chwili, gdy rozedrgany żołądek wrócił na właściwe miejsce, wyprostował się i rękawem płaszcza otarł usta. Do Hermanshöferweg pozostało mu już niemal kilka kroków.

Przeciął Jäschkentalerweg i idąc u stóp Königshöhe, dotarł do Am Johannisberg. Ucieszył się, bo ta część Langfuhr, oddzielona od głównej arterii, która prowadziła do samego Danzig, pasem spalonych kamienic, nie była bardzo zniszczona, a stojące tu budynki, choć częściowo nadpalone, nadawały się do ponownego zamieszkania.

Kiedy stanął u wlotu Hermanshöferweg, poczuł, że serce bije mu mocniej. Długi marsz bardzo go wyczerpał i zastanawiał się teraz, czy jest w stanie przejść ostatnie metry dzielące go od kamienicy, do której niespełna sześć lat wcześniej wszedł po raz pierwszy. Stawiając kroki, miał wrażenie, że do butów przywarło nie lekkie błoto, a ciężarki, które nie pozwalały mu szybciej stanąć na schodach prowadzących do mieszkania. Dobrze pamiętał tamten słoneczny sierpniowy dzień trzydziestego dziewiątego roku, gdy razem z Waltraud wybrali je na ostatnie lata swego życia. Teraz uśmiechnął się pod nosem, bo przypomniał sobie własną naiwność, gdy myślał, że ma już przed sobą tylko spokojne oczekiwanie na własny koniec. Uchylił ostrożnie drzwi wejściowe na korytarz i poczekał chwilę, nasłuchując. W budynku panowała zupełna cisza. Wyjął z plecaka lampkę karbidową, którą zabrał z mieszkania w Gotenhafen. Suchy trzask zapalnika odbił się głośnym echem od ścian korytarza. Nikłe światło rozlało się wokół, a jego oczom ukazały się sprzęty rozrzucone w nieładzie na schodach prowadzących na piętra. Dziecięcy wózek,

obok którego leżała lalka, wpatrująca się w niego pustym wzrokiem porcelanowych oczu, otwarta walizka, z której wysypały się fragmenty damskiej garderoby, czerwona bluzka z falbanką, but bez obcasa, koronkowa bielizna, dalej kilka żeliwnych garnków, zbyt ciężkich, by zabierać je w podróż, i damska letnia parasolka. Oświetlając sobie drogę, zaczął powoli wchodzić na piętra. Zaglądał do każdego mieszkania, ale odpowiadała mu tylko głucha cisza oraz echo jego własnego głosu, odbijającego się od sypialnianych szaf, secesyjnych sekretów i biedermeierowych kanap, które pozbawione właścicieli trwały w niemym oczekiwaniu na ich powrót. W jego własnym mieszkaniu także było pusto.

Pomyślał, że zanim wejdzie do środka i zamknie za sobą zamki, sprawdzi budynek po sam strych. Miał nadzieję, że w zakamarkach kamienicy znajdzie kogoś z sąsiadów i dowie się, co dzieje się tutaj wtedy, gdy jego nie było. Obawiał się, że mieszkanie, które kupili z Waltraud, trafiło do kogoś, kto pozostał w Langfuhr, i teraz on nie będzie miał do niego prawa. Ale mieszkania były puste. Wspinał się na kolejne piętra i był coraz bardziej pewny, że jest sam. Gdy otwierał drzwi na strych, przyszło mu do głowy, że powinien jeszcze zejść do piwnicy. Przecież tam w czasie zdobywania miasta kryło się najwięcej cywili.

Na strychu usłyszał cichy szelest. Uniósł wyżej lampkę. Płomień zadrgał w przeciągu, który wywołało otwarcie drzwi. W pierwszym momencie nie zdał sobie sprawy z tego, co widzi. Przyszło mu do głowy, że ktoś nie zdążył zdjąć prania, które wnoszono zwykle właśnie tutaj. Białe płachty prześcieradeł unosiły się powoli w strumieniu zimnego powietrza, które musiało przedostawać się na strych przez nieszczelne okienka w wysokim suficie. Prześcieradła falowały z cichym westchnieniem, a on pomyślał, że ktoś zadał sobie dużo trudu, by powiesić je na belkach zawieszonych wysoko pod samym stropem. I wtedy zobaczył, że z białych płacht wyłaniają się postaci. Zawieszane pod dachem kamienicy przy Hermanshöferweg unosiły się w ciszy niczym świąteczne anioły o rozpostartych skrzydłach, bo prześcieradła, które miały obwiązane wokół karków, ciągle falowały. Na zewnątrz wiało.

Zadrgał. Uniósł lampkę, by oświetliła zastygłe twarze. Pierwsza wisiała Inga Schulze. Dalej Rosa Ebert, Emma Pehlke, Clara Sielmann, Erna Kluge, Ilse Scheirich. A na końcu dziewczynka, której nie rozpoznał. Gdy próbował lepiej oświetlić jej twarz, potknął się o pluszowego misia, leżącego ciągle u jej stóp. Sześć starych kobiet, pomyślał. I dziecko. Helena miała rację.

Czuł, że kolejny krok jest niemożliwy. Jakby zmęczenie opanowało jego ciało, a mózg nie był w stanie zmusić go do poruszenia się. Opadł ciężko na podłogę, postawił lampkę obok zabawki i czując na swojej twarzy lekkie podmuchy powietrza, wzburzonego falującymi prześcieradłami, opuścił głowę i zaczął płakać. Coraz głośniejsze i mocniej. Wiedział już, że jest zupełnie sam i nikt tych łez nie zobaczy. Czuł pustkę, która była wszechogarniająca, jakby prócz niego nie pozostał na świecie żaden człowiek, jakby wokół unosiły się wyłącznie duchy jego własnych wspomnień.

ROZDZIAŁ

11

Franz Thiedtke obudził się zeszywniały z zimna. Noc spędził na podłodze na strychu, zwinięty w kłębek jak dziecko. Nie miał siły, by zejść do swego mieszkania. Nie chciał szukać ciepła pod puchowymi kołdrami, wiedząc, że ponad jego głową pozostały kobiety, unoszące się w milczeniu zjawy, sąsiadki mijane kiedyś na korytarzu, poznane na pogawędkach w ogrodzie, czasem uprzejme, czasem złośliwe, obmawiające po sąsiedzku jego i Waltraud, ale bardzo pomocne, gdy jesienią trzydziestego dziewiątego wprowadzili się do mieszkania w Langfuhr.

Jedno z prześcieradeł uniosło się i połaskotało go po twarzy. Otworzył oczy. W świetle poranka wiszące nad nim kobiety nie wyglądały już na anioły, milczące personifikacje apokaliptycznej rzeczywistości. Ich twarze były wykrzywione w bólu ostatnich chwil spędzonych na tym świecie, od którego wołały się uwolnić zamiast pozwolić, by nimi zawładnął. Tylko dziewczynka – mogła mieć dziesięć lat, nie więcej – wyglądała, jakby usnęła, na chwilę tylko, zawinięta w babcine prześcieradło. Pokryty kurzem miś ciągle czekał obok.

Poderwał się. W plecaku odszukał nóż. W kącie strychu leżał przewrócony stołek. Ostatnia z kobiet musiała go odrzucić spod swoich nóg mocnym kopnięciem. Postawił go obok Inge Schulze i wspinając się na palce, odciął prześcieradło, na którym wisiała. Przytrzymał zwłoki i owinięte materiałem ułożył na zakurzonej podłodze. Potem zdjął Clarę Sielmann, Rosę Ebert i Emmę Pehlke. Na koniec uwolnił ciało dziecka.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, zniósł je kolejno na parter domu, gdzie układał zwłoki na posadzce obok drzwi wejściowych. Kiedy były tu już wszystkie, wrócił na strych po karbidową lampkę i oświetlając schody przed sobą, zszedł do piwnicy. Wiedział, że zaraz za drzwiami zawsze stała łopata, na wszelki wypadek, gdyby ktoś chciał przekopać rabatki w ogrodzie. W trzydziestym dziewiątym na posesji wokół domu był piękny ogród. Łopata dalej tu była.

Wyszedł na podwórko i kilka metrów od wejścia do kamienicy zaczął kopać szeroki dół. Nie wiedział, ile czasu zajęła mu ta praca. Zdjął tylko płaszcz, bo mimo zimnej pogody czuł pot spływający po plecach. Kiedy skończył, kiedy ułożył zwłoki sąsiadek zawinięte w domowe prześcieradła jedno obok drugich, zasypał je i dobrze ubił ziemię, pomyślał, że musi zostawić tabliczki, bo ktoś kiedyś będzie chciał się dowiedzieć, gdzie je odnaleźć.

Dopiero teraz poczuł głód. Narzucił na ramiona płaszcz i odszukał w plecaku chleb, który dała mu Helena. Usiadł na pniu przewróconej jabłonki, z której kiedyś zbierali z Waltraud owoce na apfelstrudel. Oderwał kawałek chleba i patrząc przed siebie, zaczął go wolno przeżuwać.

– Czy to pan, panie Thiedtke? – W pierwszym momencie pomyślał, że głos zabrzmiał tylko w jego głowie. Kiedy jednak pytanie padło ponownie, rozejrzał się wokół. Za furką prowadzącą z ulicy stała kobieta. Zawinięta w koc, była bezkształtna, a on nie był w stanie dostrzec jej twarzy.

– To ja. – Kobieta weszła na posesję. Nie poznał jej nawet, gdy podeszła zupełnie blisko. – Jestem Johanna Gruber, sąsiadka z naprzeciwka. – Wskazała na kamienicę po drugiej stronie ulicy. Nie pamiętał jej. – Jestem żoną Gustava Grubera. Mój mąż miał zakład pogrzebowy na Mirchauerweg.

– Tak, przepraszam. Nie poznałem pani. – Franz nie pamiętał Johanny Gruber. Ale znał Gustava Grubera, bogatego przedsiębiorcę, który na co dzień obcując ze śmiercią, potrafił cieszyć się każdym dniem życia.

– Mój mąż nie żyje – powiedziała Johanna. – Nie chciał wyjeżdżać z Danzigu. Powiedział, że woli umrzeć niż skończyć jako żebrak. A ja nie chciałam go zostawić samego.

Franz Thiedtke wyciągnął w jej stronę bochenek chleba. Kobieta ułamała kawałek i w milczeniu zjadła.

– Cieszę się, że pan żyje – powiedziała. – Naprawdę, panie Thiedtke. Zawsze wiedziałam, że z pana to jest dobry człowiek. – Popatrzyła na świeże groby w ogrodzie. – Tak się bały Iwana, że wołały się powiesić. I tę małą Juttę też.

– Wie pani, kim była ta dziewczynka?

– Tak, to była wnuczka pani Ebert. Tej z drugiego piętra. Od Bożego Narodzenia czterdziestego trzeciego mieszkała z panią Ebert. Jej matka zmarła, a ojciec był w wojsku. Mała została sama, więc pani Ebert zabrała ją do siebie.

– A pani, pani Gruber? Jest pani sama? Nie boi się pani?

– Panie Thiedtke, to, co najgorszego mogło mnie spotkać, to już spotkało. Teraz się nie boję. – Johanna Gruber miała szarą twarz, poznaczoną ziemistymi plamami. Patrząc na nią, Franz odnalazł w pamięci sylwetkę żony Gustava Grubera, sylwetkę tylko, bo twarzy nigdy nie zapamiętał. Widywał nieraz tę elegancką młodą kobietę, która zawinięta w etolę ze srebrnych lisów, ginęła we wnętrzu auta zatrzymującego się za rogiem.

– Chce pani zostać w Danzig? – zapytał.

– To już cmentarz, panie Thiedtke. Nie ma tu już żywych ludzi, nawet jeśli widzi ich pan na ulicy. Teraz przyszedł Iwan. To oni będą rządzić. A z nami zrobią, co chcą. A pan, po co pan wrócił? Myślałam, że pan nie żyje, że złapali pana w czterdziestym trzecim. To znaczy... – Johanna zająknęła się. – Pani Schulze mówiła, że był pan u niej. A potem pan zniknął. Myślałam, że pana złapali...

– Nie, pani Gruber. Jak pani widzi, jestem cały. Udało mi się przeżyć. A skoro przetrwałem naszych, mam nadzieję, że przetrwam też Sowietów.

Johanna przyjrzała mu się uważniej.

– Panie Thiedtke, bardzo się cieszę, że pana spotkałam – powiedziała w końcu. – Zostaje pan tu? Podobno będą nas spisywać, tych, co zostali. Sprawdzają, co kto robił w czasie wojny. Wie pan, ciągle się nas boją.

– Ja nie mam nic do ukrycia, pani Gruber.

– Tak, oczywiście, panie Thiedtke. Ja także. Byłam tylko żoną mojego męża. Ale oni teraz traktują nas wszystkich jako wrogów.

– Pani Gruber, mam nadzieję, że nie będzie tak źle. W końcu uczciwych ludzi zostawią w spokoju, prawda?

– Tak, panie Thiedtke, prawda. Ale niech pan na siebie uważa. Podobno Niemców zamykają w obozie. W Neufahrwasser.

– Ale to chyba tych, co mają coś na sumieniu.

– Oni uważają, że my wszyscy teraz mamy coś na sumieniu.

– My też tak myśleliśmy o Polakach w trzydziestym dziewiątym, prawda, pani Gruber?

– Ależ co pan, panie Thiedtke?! Pan uważa, że oni mają rację?

– Nie, pani Gruber, oczywiście, że nie.

– No, w każdym razie niech pan uważa, bo w końcu wszyscy spotkamy się w tym obozie. Tylko one będą miały spokój. – Johanna Gruber ruchem głowy wskazała na grób, obok którego stali. – Idę już, panie Thiedtke. Do widzenia.

– Pani Gruber, ja zostaję tutaj, w Langfuhr. Przynajmniej przez jakiś czas – krzyknął Franz, gdy kobieta była już prawie przy furtce. – Zawsze pani pomogę. To znaczy może pani się do mnie zwracać w każdej sprawie, dobrze?

– Dobrze. Dziękuję panu. I do zobaczenia, panie Thiedtke.

Schował do plecaka resztę chleba i wszedł do budynku. Wspiął się po schodach i otworzył drzwi prowadzące do mieszkania, które zajmował z Waltraud. Klamka poddała się bez oporu. Wszedł do środka. Mieszkanie było puste. Zniknęły wszystkie meble. W oknie salonu wisiała oberwana kotara, tak zakurzona, że trudno było rozpoznać jej kolor. Na jesionowym parkiecie, wśród skorup potłuczonej porcelanowej zastawy, pozostały ślady przesuwanych sprzętów. W kuchni pozostawiono tylko ciężki zlew przytwierdzony do ściany. Nad nim tkwiła makatka z ręcznie wyhaftowanym przez Waltraud napisem – *Mein Zuhause ist mein Reich*.

– To żart, moja Waltraud. To żart – powiedział głośno do siebie i położył obok plecak.

W korytarzu sprawdził zamki w drzwiach. Ciągłe były sprawne. Nie miał kluczy, ale przynajmniej mógł zamknąć się od wewnątrz. W mieszkaniu pani Schulze panował porządek, jakby jego właścicielka tylko na chwilę opuściła dom, który w spokoju oczekiwał na jej powrót. Minął salon, położoną w amfiladzie jadalnię i dotarł do sypialni. Ze starannie zasłanego łóżka zabrał koronkową kapę, puchową kołdrę, poduszki. Zostawił tylko prześcieradło. W głębokiej politurowanej szafie zajmującej całą ścianę pokoju znalazł więcej poduszek. Na sąsiednich półkach leżały ułożone równo pasujące do nich poszewki. Zabrał rzeczy do swojego mieszkania, ale szybko wrócił do pani Schulze. Wiedział, że pokój Willy'ego mieścił się od strony podwórka, choć nigdy w nim nie był. Wszedł do środka. Tu także wszystko oczekiwało szybkiego powrotu swego właściciela, chociaż Willy dawno pozostał gdzieś pod Tobrukiem. Zajrzał do szafy. Na owiniętych białą bibułą wieszakach wisiały cywilne garnitury. Aptečna woń – bo Willy wkładał je do pracy w swojej aptece, zanim znalazł się w szeregach Afrikakorps – dawno z nich uleciała.

Franz Thiedtke zrzucił z siebie wszystkie ubrania. Nago poszedł do łazienki, ale z kranu nie leciała woda, wrócił więc do pokoju Willy'ego i ubrał się w jeden z jego garniturów, dodatkowo pod marynarkę wkładając sweter. Choć zawsze wydawało mu się, że Willy był chudym chłopczyką o wystających obojczykach, teraz ze zdziwieniem stwierdził, że jego ubrania pasują na niego idealnie. W holu obejrzał się w wysokim lustrze. Twarz miał zapadniętą i bladą, jednak cała reszta prezentowała się całkiem nieźle. Na koniec wygrzebał z szuflad kilka par ciepłych skarpet, jedną z nich założył, resztę wcisnął do kieszeni, ubrał suche buty Willy'ego i wrócił do siebie.

Zjadł resztę chleba i zza oberwanej kotary patrząc na opustoszałą Hermanshöferweg, zaczął zastanawiać się, co dalej.

ROZDZIAŁ

12

Jan Dołęga uśmiechnął się nieznacznie, gdy dowiedział się, że pierwsza placówka administracyjna polskich władz w Gdańsku zostanie założona w willi zajętej przez wojsko w Jaśkowej Dolinie. Jako jeden z członków grupy operacyjnej, która miała tworzyć Polskę w jego rodzinnym mieście, dotarł do Gdańska już trzydziestego pierwszego marca. Nie spodziewał się tego, co zobaczył, wjeżdżając do Langfuhr. Secesyjne kamienice położone przy rynku rozsypały się, zamieniając wysadzaną kiedyś szpalerem drzew aleję w rumowisko, w którym kawałki cegieł mieszały się z powykręcانymi nogami dziecięcych lalek, pozbawionymi puchu kołdrami, damskimi kapeluszami od braci Freymannów, srebrnymi łyżeczkami i żeliwnymi patelniami, które kiedyś, starannie wypiaszkowane, wisiały nad piecami w statecznych gdańskich domach, kartkami oderwanymi od książek i kawałkami porcelany, potłuczonej tak, że nie można już było odgadnąć, czy pochodziła z talerzy, waz, zupników, filiżanek, czy też dzbanków, których używano w czasie letnich podwieczorków w ogrodach otaczających bogate wille i eleganckie kamienice w Langfuhr. W powietrzu ciągle unosił się swąd spalenizny, przemieszany z odorem rozkładających się ciał, bo w gruzowisku obok nadpalonych książek, rozbitych mebli i potłuczonych szkielek leżały ciała kobiet, starców i dzieci. Trupy wyglądały czasem tak, jakby właśnie usnęły w cieniu pozbawionych szyb witryn sklepowych, a czasem były powykręcane w sposób, który żyjącemu człowiekowi wydawać się mógł niemożliwy, z twarzami zmasakrowanymi strachem, który mimo śmierci na nich pozostał.

Jan Dołęga pamiętał Langfuhr rozświetlone letnim słońcem, gdy na tych letniskowych kiedyś przedmieściach upał nie dawał się we znaki tak, jak w zabudowanym ściśle Gdańsku, gdzie ciężkie powietrze zatrzymywało się między neorenesansowymi fasadami kamienic, ciągnących się wzdłuż wąskich pozbawionych zieleni ulic. Kiedy wspinał się na Zinglershöhe, roztaczał się przed nim widok na całą dzielnicę, aż do płaskich łąk w kierunku Brösen, gdzie znajdowało się gdańskie lotnisko. W niedzielne popołudnia ojciec zabierał jego i matkę na długie wędrówki, które kończyli zwykle na lodach w otwartych latem ogródkach kawiarni Halbe Alee lub Reichskrone. Zimą brali sanki i zjeżdżali spod samego pomnika Gutenberga.

Jan Dołęga był Polakiem, który urodził się w Wolnym Mieście Gdańsku. Pierwszym obrazem, który zobaczył po przyjeździe na świat, były sztukaterie układające się w fantastyczne wzory nad głowami kobiet przyjmujących poród w mieszkaniu przy Brunshöferweg w Langfuhr. Jako dziecko fascynowały go tramwaje, dlatego każdego dnia płaczem wymuszała na matce, by obowiązkowy spacer nie odbywał się w pobliskim parku Uphagena, a biegł ulicami Langfuhr w stronę ceglanych zabudowań zajezdni tramwajowej koło synagogi. Fascynowało go wszystko, co było związane z tramwajami, a wspomnienie dnia, w którym motorniczy linii numer dwa pozwolił mu pociągnąć za sznurek uruchamiający dzwonek przy odjeździe z przystanku, dotąd wprawiało jego ciało w lekkie drżenie z radosnego podniecenia, które poczuł w tamtej chwili. Teraz, jadąc na tylnym siedzeniu jednego z samochodów, którymi przyjechała z Kartuz ich czołówka, widział wagony tramwajowe, leżące z wypalonymi wnętrzami w poprzek ulic, bo i one miały swój udział w wypełnieniu rozkazu Führera, który nakazał bronić miasta do ostatniego niemieckiego kamienia. I czuł jeszcze większą nienawiść do tych, którzy zawładnęli miejscem dla niego ciągle najważniejszym.

Ojciec Jana Dołęgi nie pochodził z Gdańska. Urodził się w Stanisławowie, gdzie jego ojciec, także Jan, pracował w miejscowym browarze Sedelmajera. Rodzinę Sedelmajera zabili Niemcy, dziad Jana miał więcej szczęścia i nie doczekał wybuchu wojny. Ojciec Jana także miał zajmować się warzeniem piwa. Browarnictwo miało być ich rodzinną tradycją. Nie przeczuwał jednak, że synowi przyjdzie żyć w czasach, gdy rodzinne tradycje nie miały już

większego znaczenia. Kiedy nad dalekim Bałtykiem powstawało Wolne Miasto Gdańsk, ów dziwny polsko-niemiecki twór, który początkowo wydawał się nowoczesną utopią, gdzie mocą jednego traktatu uda się pogodzić interesy dwóch państw, ojciec Jana, ulegając namowom Alexandra, swego niemieckiego przyjaciela ze Stanisławowa, postanowił poszukać szczęścia w odległym grodzie, w którym sztuce browarniczej patronował sam Heweliusz. Jednak kiedy opuścił rozbuchany barokiem Stanisławów i przyjechał do objętego protektoratem Ligii Narodów zimnego hanzeatyckiego miasta, nikt nie chciał skorzystać z jego umiejętności zdobytych pod okiem ojca, więc zmienił branżę, przez kilka miesięcy pracując w fabryce czekolady Baltic, by ostatecznie trafić do fabryki Degner und Ilgner na Englischer Damm. Dzięki temu w mieszkaniu przy Brunshöferweg nigdy nie brakowało konserw, bo firma właśnie konserwy dostarczała na stoły całego Wolnego Miasta, wprowadzając tym samym gdańskie gospodynie domowe w nową erę łatwiejszego prowadzenia domu. Ojciec Jana pracował na Englischer Damm aż do pierwszego września trzydziestego dziewiątego. Wtedy Jan widział go po raz ostatni. Jak co dzień zabrał teczkę i wyszedł na poranną zmianę.

Matka Jana była polską gdańszczanką, mówiła biegle po polsku i po niemiecku i dobrze czuła się w mieście nad Motławą. Jej ojciec był właścicielem dobrze prosperującego sklepu z galanterią męską i chciał, by w przyszłości przejęła interes. Jednak kiedy Gdańsk nie został przyłączony do Rzeczypospolitej, postanowiła, że zostanie nauczycielką w gimnazjum, które zamierzała utworzyć Gdańska Macierz Szkolna. Plany musiały poczekać, bo poznała przystojnego kawalera ze Stanisławowa, szybko wyszła za mąż, a potem urodził się Jan. Do polskiej szkoły trafiła dopiero w dwudziestym ósmym, gdy przy Wallgasse powstała szkoła podstawowa. Jan zapamiętał jej ruchliwą postać i piękny niski głos, który dodawał jej wielkiego uroku, choć nie była specjalnie urodziwa. Głosem potrafiła posługiwać się jak zawodowa aktorka i to dzięki niemu przyciągała uwagę na scenie. Bardzo kochała teatr i brała udział w przedstawieniach Koła Miłośników Sceny. Dzięki niej w mieszkaniu przy Brunshöferweg toczyło się ożywione życie towarzyskie, a przy stole w jadalni nieraz zbierało się Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki, by zaplanować kolejne przedsięwzięcie. Ją także Jan widział po raz ostatni pierwszego września trzydziestego dziewiątego.

Z kamienicy przy Brunshöferweg, w zaułku, do którego prowadziła reprezentacyjna kamienna brama, pozostało zwalowisko potłuczonych cegieł. Z rynku, gdzie dziadek Jana prowadził sklep, została tylko secesyjna fontanna i położony po drugiej stronie dawnego skweru budynek odwachu. Nie było kawiarni na Zinglershöhe ani kortów tenisowych koło restauracji Forsthaus w Jaśkowej Dolinie. Część budynków, zwłaszcza tych położonych dalej od rynku, pozostała, ale Jan Dołęga wiedział, że duch tego miasta już umknął.

I dlatego właśnie był bardzo zadowolony. Choć zabudowa ucierpiała, choć zdawał sobie sprawę, ile pracy będzie trzeba włożyć w to, by w stronę Gdańska i w stronę Oliwy ponownie wyruszyły miejskie tramwaje, by mający wkrótce nadciągnąć przesiedleńcy z Kresów mieli gdzie zamieszkać, by gdańskie stocznie znowu tętniły życiem, a na łąkach Jaśkowej Doliny pojawili się w niedzielne popołudnia spragnieni odpoczynku gdańszczanie, nowi gdańszczanie, to miał poczucie niepowtarzalnej okazji, by stworzyć to miasto od nowa, by zasypać gruzem ze zburzonych kamienic brunatne koszule ludzi, takich jak Hans Adler, Hermann Funck i Kurt Brinckman, koledzy, z którymi zaledwie kilka lat wcześniej grywał w piłkę w Jaśkowej Dolinie, a którzy we wrześniu trzydziestego dziewiątego przepuścili go między sobą przed wejściem do Victoriaschule. Hermann, którego spotkał kilka tygodni później chyba na Elsenstrasse, próbował mu wmawiać, że bicie SA-mańskimi pałkami było tylko koleżeńskim żartem, a on, urodzony we Freie Stadt Danzig Janek Dołęga może przecież zostać Johannem Dołęgą i podążyć razem z Hermannem, Hansem i Kurtem w jedyną słuszną stronę.

Jan Dołęga uciekł z Gdańska. Nie sądził, że wróci do niego tak szybko. I będzie budował tu swój porządek.

ROZDZIAŁ

13

Tego dnia Jan Dołęga brał udział w spotkaniu z członkami grupy operacyjnej, przysłanej do Gdańska przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. Był dumny, że może mieć swój udział w odbudowie rodzinnego miasta, żałował tylko, że nie ma z nim matki. Z pewnością cieszyłaby się, że Gdańsk będzie teraz polski, a on jest jednym z tych, którzy się do tego przyczynią.

– Nie znamy jeszcze dokładnej liczby Niemców, która znajduje się w tej chwili w Gdańsku – mówił w czasie zebrania jeden z członków grupy Kazimierza Banasia-Purwina. – Duża część mieszkańców uciekła w czasie akcji ewakuacyjnej, którą Niemcy prowadzili głównie z portu w Gdyni. Ale mamy pewność, że w mieście znajdują się liczni uchodźcy z Prus Wschodnich, którzy nie zostali objęci akcją.

– Towarzysze, zdajecie sobie sprawę, że naszym najpilniejszym zadaniem będzie usunięcie wszystkich elementów niemieckich z Gdańska – odezwał się wysłannik ministerstwa. – Musimy przywrócić miastu pierwotny charakter. Nasze ludowe państwo nie może pozwolić sobie na obce elementy, które będą niszczyć jego polski charakter. Bliska klęska Trzeciej Rzeszy nie jest równoznaczna ze zniszczeniem ideologii nazistowskiej. Dlatego naszym najważniejszym zadaniem na najbliższy czas jest zidentyfikowanie wszystkich wrogich nam elementów i usunięcie ich. Niemcy, którzy nie stanowią zagrożenia dla państwa polskiego, będą poddani akcji repatriacyjnej. Zbrodniarzy należy zidentyfikować i ukarać. Chcemy otworzyć w Gdańsku dwa punkty, w których będziemy dokonywać selekcji zgłaszających się do wyjazdu. Selekcja będzie dokonywana pod względem politycznym i zawodowym. Dysponujemy już odpowiednim dekretem, który reguluje sprawy rozliczania mieszkańców Gdańska z ich obecności na niemieckich listach narodowościowych. O pierwszej grupie nie będziemy w ogóle mówić. Druga grupa może dochodzić rehabilitacji drogą sądową. Trzecią i czwartą można rehabilitować, jeśli udowodnione zostanie, że obywatele narodowości polskiej zostali wpisani na listy pod przymusem i mimo tego zachowali świadomość i poczucie polskości.

– Jestem przedstawicielem Morskiej Grupy Operacyjnej – odezwał się mężczyzna siedzący na końcu długiego stołu, przy którym odbywało się spotkanie. – Mamy zająć się odbudową stoczni gdańskiej, ale oprócz naszej grupy nie ma nikogo, kogo moglibyśmy do tego wykorzystać. Na razie ograniczamy się do pilnowania tego, co pozostało, bo niestety, w mieście, jak panowie wiedzą, kwitnie w tej chwili szabrownictwo. Mamy do pomocy I Samodzielny Batalion Morski, ale przysłano nas tutaj w innym celu.

– Na razie możecie wykorzystywać pozostałe w mieście kadry niemieckie – odparł przedstawiciel ministerstwa. – Dopóki nie będziemy mieć w Gdańsku swoich specjalistów – zastrzegł szybko. – To samo dotyczy wszystkich innych zakładów. Musimy jak najszybciej przywrócić miastu struktury administracyjne, które zapewnią mu sprawne funkcjonowanie i włączą Gdańsk w obręb Polski. Na tym naszym małym gdańskim froncie musimy ostatecznie rozprawić się z hitleryzmem, z duchem prusko-germańskim. Mamy do wykonania bardzo ważne zadanie, towarzysze. Musimy być świadomi zagrożeń, które przed nami stoją. Jednak mamy niepowtarzalną szansę, by Gdańsk raz na zawsze był polski.

– Dołęga, jadę teraz z towarzyszami z ministerstwa do prezydenta Kotus-Jankowskiego – Kazimierz Banaś-Purwin odwołał Jana na bok, gdy zebranie zakończyło się i jego uczestnicy opuszczali niespiesznie poniemiecką jadalnię willi w Langfuhr. – Przywiozła tu dziś kobietę. Przedstawiła się jako działaczka polonijna sprzed wojny. Chciałbym, żebyście ją obejrzel, a jeżeli ją rozpoznacie, porozmawiajcie z nią. Chce dla nas pracować jako

tłumaczka. Wiem, wiem, że my nie potrzebujemy tłumaczy. Ale będzie nas, Polaków, tutaj coraz więcej, a nie wszyscy znają niemiecki tak jak my, Dołęga. Rozumiecie? Sprawdźcie ją, zanim trafi do mnie.

– Oczywiście, towarzyszu.

Zanim przed willą w Jaśkowej Dolinie zatrzymał się wojskowy samochód, z którego wyprowadzono wychudzoną kobietę z włosami ostrzyżonymi tak, jakby właśnie dochodziła do siebie po przebytych tyfusie, w drzwiach jego pokoju pojawił się starszy mężczyzna. Jan Dołęga pomyślał, że nieznamy zjawił się niczym gość z innego świata, ubrany w elegancki świeżo odprasowany garnitur, z szarym prochowcem przewieszonym starannie przez ramię i drewnianą laską, którą podpierał się, lekko utykając. Kiedy jednak mężczyzna podszedł bliżej, Jan poczuł, że czyste ubranie przykrywało tylko ciało zmęczone oblężeniem miasta, w którym od wielu dni nie było wody i prądu.

– Przepraszam, nie wiem, czy przyszedłem pod odpowiedni adres – powiedział mężczyzna po niemiecku. – Szukam kogoś... przyjaciela. Bardzo zależy mi na tym, żeby dowiedzieć się, czy jest w Danzig. Ale nie wiem, gdzie go szukać.

– Przykro mi, ale na razie nie mamy danych dotyczących osób pozostałych w mieście. – Poczul, że po prostu nie może już używać niemieckiej nazwy Gdańska. – Rozumiem, że szuka pan obywatela Wolnego Miasta.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, czy przed wojną był obywatelem Wolnego Miasta. Przyjechał z Berlina. – Mężczyzna podrapał się niepewnie w głowę.

– Chodzi mi o to, czy był miejscowy. Czy nie był uciekinierem z Prus Wschodnich.

– Nie, nie. Był miejscowy. Chociaż ostatni raz widziałem go w Goten... to znaczy w Gdingen. Ale myślę, że jeśli przeżył, jest w Danzig.

– Proszę zgłosić się do sierżanta, którego minął pan po drodze. Niech pan poda mu nazwisko przyjaciela i swoje dane. Wkrótce będziemy porządkować sprawę obywateli. Wtedy może uda się odnaleźć pańskiego przyjaciela. Jeśli trochę pan poczeka, to... niebawem będzie pomoc w tej sprawie od Niemieckiego Czerwonego Krzyża.

Mężczyzna skłonił się uprzejmie i wyszedł. Jan patrzył długo na zamknięte za nim drzwi i zastanawiał się, jak właściwie powinien traktować teraz ludzi takich jak ten nieznamy. Miłych, spokojnych Niemców z Gdańska, którzy jeszcze kilka tygodni wcześniej żyli bez sprzeciwu w hitlerowskiej rzeczywistości, takich jak on, Jan Dołęga, traktując jak wrogów, podludzi odpowiednich wyłącznie do przymusowej pracy lub eksterminacji. Dawnych sąsiadów, z którymi dzielił miasto, zanim w porcie pojawił się Schleswig-Holstein. Ojców, którzy z dumą odbierali listy od synów służących w dywizjach pancernych SS, palących kolejne domy powstańczej Warszawy, jako załogi pancerników, krążowników i u-bootów grasujących wokół Europy, albo jako strażnicy w Auschwitz, Dachau, Ravensbrück, Neuengamme i Stutthofie. Cywilów, którzy nie brali udziału w zbrodniach wojennych, którzy próbowali tylko żyć w wojennej rzeczywistości, godząc się na udział w hitlerowskim systemie społecznym. Od czasu, gdy Hans Adler, Hermann Funck i Kurt Brinckman SA-mańskimi pałkami przepędzili go do Victoriaschule, Jan Dołęga miał w sobie wściekłość, której nie potrafił się pozbyć. Chciał zemsty na wszystkich obywatelach Trzeciej Rzeszy, bo nawet ci, którzy nic nie robili, byli winni, i tylko pozbycie się ich, totalna zagłada, taka sama, jaką oni zgotowali Europie, mogła przynieść ulgę takim jak on, tym, którzy pozostali. Jan miał dwadzieścia trzy lata i nie uznawał kompromisów. Nauczył się, że w życiu są tylko radykalne rozwiązania, a kompromisy przynoszą klęskę tym, którzy nie mają dość siły, by walczyć o swoje.

Jego rozmyślenia przerwał warkot silnika. Przez okno zobaczył wojskowe auto, z którego wysiadło dwóch mężczyzn ubranych w polskie mundury i zawinięta w kilka chust kobieta o krótko ostrzyżonych włosach. Po kilku minutach cała trójka pojawiła się przed nim.

Kobieta była drobna. Jej głowa, zbyt duża w stosunku do wychudzonej sylwetki, zapadała się w ramiona. Twarz była podrapana i posiniaczona. Jednak Jan rozpoznał jej wzrok. Spojrzenie pełne było dumy i hardości, a także niezbitą wiary w samą siebie.

– Panna Marianna? – Wstał zza biurka i podszedł do kobiety, która przyglądała się mu bez uśmiechu. – To ja, Janek Dołęga. Nie poznaje mnie pani?

Kobieta milczała chwilę, zaciskając popękane wargi.

– Syn Ani Dołęgowej? – zapytała w końcu, a na jej twarzy pojawił się niepewny uśmiech. Ten uśmiech Jan Dołęga także pamiętał ze spotkań w swoim rodzinnym domu, gdy w świetle lampy w jadalnym aktorzy z Koła Miłośników Sceny próbowali *Spadkobiercę* Adama Grzymały-Siedleckiego.

Uściskali się. Jan Dołęga, który po raz ostatni widział Mariannę Walewicz jako szykujący się do matury osiemnastolatek, pomyślał, że kobieta, która przed wojną miała u swych stóp połowę Gdańska, teraz skurczyła się i poszarzała, a z dawnej urody niewiele pozostało.

Odesłał strażników i posadził ją na krzesło. Zawołał, by przynieśli im herbaty i usiadł naprzeciw Marianny.

– Co z twoimi rodzicami? – zapytała.

– Nie wiem. Nie widziałem ich od pierwszego września trzydziestego dziewiątego. – Asystent Jana Dołęgi, niewiele od niego młodszy Jurek Piela spod Krasnegostawu, postawił przed nią szklankę z gorącą herbatą. Poparzyła sobie palce, chcąc ją chwycić. Uśmiechnęła się przepraszająco. – A może jest pani głodna? Przepraszam. Zaraz każę coś przynieść – Jan nie wiedział, jak się zachować.

– Widzę, że jesteś teraz ważny, Janku – powiedziała Marianna, gdy wrócił z porcelanowym talerzem z zastawy, która pozostała po niemieckich właścicielach willi. Wytarła dłonie w chustę, którą miała na sobie. Bez słowa przyglądała się, gdy jadła kielbasę, którą przyniósł.

– Gdańsk będzie w końcu polski, pani Marianno – odparł. – Tak jak marzyliśmy kiedyś.

Westchnęła głęboko i odstawiła pusty talerz. Herbata wystygła, wypila ją szybko.

– Dziękuję. Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że cię tu spotkałam – powiedziała w końcu. Dostrzegł, że zmarszczka przecinająca jej czoło zrobiła się nieco płytsza, a na białych policzkach pojawił się lekki rumieniec. – Całą wojnę spędziłam w Gdyni. Udało mi się dobrze ukryć. A teraz chciałabym jak najszybciej włączyć się w to, o czym mówisz, Janku. Chciałabym być pomocna. Niewiele potrafię, ale znam dobrze polski, niemiecki i rosyjski. Znam też kilka innych języków, ale myślę, że te trzy przydadzą się najbardziej. Powiedzieli mi, że będziesz mnie przesłuchiwał. Musicie sprawdzić, czy nie jestem wrogim elementem. Przynajmniej możesz być pewny, że jestem tym, za kogo się podaję. – Uśmiechnęła się.

– Nie, skądże! Nie będę pani przesłuchiwał. – Jan Dołęga potrząsnął przecząco głową. Jakże mógłby przesłuchiwać kobietę, w której jako gimnazjalny młokos podkochiwał się rok czy dwa. – Wystawię pani odpowiednią opinię. Dostanie pani służbowy pokój i wynagrodzenie, panno Marianno. No, niechże pani nie płacze! – Wstał.

Marianna Walewicz skurczyła się jeszcze bardziej na krzesle po drugiej stronie biurka. Zapadła się w wytarty aksamit obicia, a po jej twarzy popłynęły bezszelestnie łzy, znaczące sobie drogę między wspomnieniami z piwnicy domu przy Askaniemstrasse, podróży radziecką ciężarówką, która podskakiwała na wybrzuszonych od czołgowych gąsienic koleinach, i pierwszego spotkania z własną przyszłością, które nastąpiło w ocalałej kamienicy przy Seestrasse w Zoppot.

Jan Dołęga nie wiedział, jak postępować z kobietami. Zanim wybuchła wojna, był zbyt młody, by posunąć się dalej niż wysyłanie ukradkowych spojrzeń siostronom swoich kolegów. A wojna zbyt szybko zabierała dziewczyny, by z którąkolwiek związać się na dłużej.

Zbliżył się do Marianny i poklepał ją po ramieniu. Pomyślał, że może powinien ją objąć, uspokoić, ale ona odsunęła się, ocierając policzki.

– Przepraszam. Ja nigdy nie płaczę. Przepraszam, Janku... czy może powinnam powiedzieć Janie? – Uśmiechnęła się.

– W zasadzie mówimy tu do siebie towarzyszu... – powiedział niepewnie. – Ale możemy zostać przy Janku.

– Dobrze, Janku. Pod warunkiem, że będziesz mówił do mnie Marianno.

ROZDZIAŁ

14

Szpital diakonisek był zburzony. Prawe skrzydło zamieniło się w zwałowisko cegieł. Budynek główny i skrzydło południowe straszyły wypalonymi oczodołami, które prowadziły do opustoszałych wnętrz. Nad Neugarten aż w stronę Schidlitz, gdzie nigdy nie był, choć kilka ostatnich lat spędził w sąsiedztwie, unosiły się dymy z dogasających pożarów, a swąd spalenizny przenikał nawet jego przesiąknięte brudem i trupią stęchlizną ubranie.

Przyszło mu do głowy, że dobrym schronieniem może okazać się położony po drugiej stronie ulicy cmentarz, jedna z tych parafialnych nekropolii, które rozciągały się na zboczach Hagelsbergu. Za nagrobkami łatwo będzie się ukryć, a Sowietci nie walczyli chyba z umarłymi, więc nie powinien obawiać się, że spotka tam kogokolwiek. Tak pomyślał i skuliwszy się, jakby to zapewniło mu niewidzialność, przebiegł na drugą stronę, by po zdewastowanym parkanie, którego kamienna podmurówka obróciła się w ceglane gruzowisko, dostać się na drugą stronę. Upadł w grząskie błoto cmentarnej alejki i przywarł do najbliższego pomnika, bo wydawało mu się, że za plecami usłyszał obce głosy. Ale nie dostrzegł nikogo. Odetchnął głęboko i oparł się o nagrobek. „Hier ruhet unser geliebter Vater und Ehemann Heinz Stolp. 1875–1933”. Litery wykute w szarym kamieniu nieco omszały, ale grób był zadbane. Podobnie jak sąsiednie mogiły. Tylko te położone najbliżej muru, który rozpadł się na drobne kawałki pod ostrzałem radzieckiej artylerii, były mniej lub bardziej zdewastowane. Obok jednej z nich leżał przewrócony granitowy krzyż, kilka grobów przysypały potłuczone cegły z ogrodzenia. Jednak kiedy odwrócił głowę w drugą stronę, cmentarz trwał w swej nieskończonej ciszy, jakby świat wokół pozostał równie niezmienny, co nagrobki wymurowane na łagodnym zboczu Hagelsbergu.

Nagle wydało mu się, że kilka mogił wyżej coś się poruszyło. Nie rozróżniał wyraźnie kolorów, jednak miał wrażenie, jakby w ciemnym błocie wypełniającym alejki między grobami dostrzegł coś, co nie pasowało do pustego cmentarza. Kawałek ludzkiego ciała, drobny, ledwie zarysowany na tle zbutwiałych liści, które przetrwały od jesieni, przykryte warstwą śniegu. Nie był pewien, ale wydało mu się, że to kawałek nogi, który nagle zniknął, wciągnięty niewidzialną siłą za kamienną figurę anioła, w niemym zamyśleniu składającego skrzydła nad grobem Eriki Brodzkiej. Rozejrzał się i zgięty wpół, przytrzymując się nagrobnych pomników, doczołgał się pod skrzydło anioła, który patrzył teraz na niego z góry.

– Psst! Jest tu ktoś? – wyszeptał.

Za pomnikiem coś poruszyło się nieznacznie.

– Jest tu ktoś? – powtórzył trochę głośniejsze.

Minęła długa chwila, nim dostrzegł szeroko otwarte, łzawo błyszczące oko, które pojawiło się za kamienną figurą. Nie poruszył się. W ślad za wpatrzonym w niego okiem pojawiło się drugie, równie przestraszone i równie mokre.

– Jesteś sam? – zapytał.

– Nie. – Głos chłopca był piskliwy.

– A kto jest z tobą?

– Babcia.

– A gdzie jest teraz? Zostawiła cię tu?

– Nie. Jest tutaj.

Przesunął się powoli spod anielskiego skrzydła i za pomnikiem spotkał ciało, do którego należała noga. Teraz zauważył, że chłopiec miał na gołych stopach przemoczone buty, tak duże, że do środka dostawało się błoto z alejki.

– Gdzie?

– Tutaj. – Chłopak ruchem łowy wskazał anioła. Popatrzył na figurę. – Moja babcia. Erika Brodzki. Tam może pan przeczytać. Nie kłamie. – Dzieciak miał nie więcej niż dziesięć lat, piegowatą twarz i nierówne zęby.

Cofnął się i przeczytał napis na nagrobku pod kamiennym aniołem. „Erika Brodzki 1865–1943. Requiescant in pace”. Wrócił do chłopca i oparł się plecami o tył anioła.

– Sam tutaj do niej przyszedłeś? – zapytał.

– Tak.

– A gdzie twoi rodzice?

– Ojciec nie wrócił z wojny. A mama... została w domu. – Chłopiec spuścił wzrok.

– To znaczy gdzie?

– Tu niedaleko. W Schidlitz.

– Uciekłeś jej? Tutaj? Do babci?

– Nie, ona już nie żyła.

Patrzył chwilę w korony drzew nad swoją głową. Przeżyć. Przetrwać. Nigdy się nie rozczulał. Teraz też mu nie wolno. Zastanowił się, czy nie ma przy sobie czegoś do jedzenia. Ale sam nie miał w ustach nic od momentu, gdy opuścił Gotenhafen w ciężarówce pełnej martwych ciał.

– A rodzeństwo? Masz jeszcze kogoś? Jakąś rodzinę?

– Nie. Wujka Bronka zabrali w trzydziestym dziewiątym i ciocia Henia postradała zmysły. Wujek Broniek był bratem taty. A kiedy tata poszedł na wojnę, to zostaliśmy już tylko we trójkę. Ja, mama i babcia.

– Jak się nazywałeś?

– Karol Brodzki.

– Karol? Jesteś Polakiem?

– Przed wojną byłem. Ale teraz to już nie. – Chłopiec pokręcił z przekonaniem głową.

– I przyszedłeś tutaj do babci sam?

– Nie. Pan Karp przyszedł. To sąsiad z drugiego piętra, bardzo nas zawsze rozśmiesza. I pani Skopnik, ta od piekarni.

– A gdzie są teraz?

Chłopak rozejrzał się.

– Pan Karp powiedział, żebym się stąd nie ruszał, to on po mnie wróci. A pani Skopnik to chyba poszła do pana Skopnika. On jej tę piekarnię zostawił jeszcze przed wojną. Ja go nie pamiętam, bo umarł, jak byłem mały.

– A pan Karp na pewno wróci po ciebie?

– Tak, tak powiedział.

– A ile tu już siedzisz?

– Chyba ze trzy dni.

– Pan Karp już nie wróci. – Nagle dobiegł go nieznany głos. Rozejrzał się wokół.

– A właśnie, że wróci! – Karol Brodzki uniósł się aż z kolan. Błoto w za dużych butach głośno chlupnęło.

Zza kamiennego krzyża kilka metrów dalej wychylała się kobieca głowa. Twarz była umorusana, ale czuł na sobie obcy wzrok.

– Skąd pani wie? – rzucił cicho w jej stronę.

– Wiem i już – odpowiedziała z przekonaniem głowa i zniknęła za krzyżem.

Rozejrzał się, zastanawiając się, ilu jeszcze ludzi kryją cmentarne pomniki. Poczuł się nieswojo. Myślał, że jest sam, tymczasem wokół było wielu takich jak on. A obok siedział Karol Brodzki, który wpatrywał się w niego intensywnie. Nie, dzieciak zdecydowanie będzie mu przeszkadzał w realizacji planu, pomyślał. Nie może teraz

pozwoić, by emocje pokrzyżowały mu to, co ułożył sobie w głowie jeszcze w Gotenhafen, gdy nie udało mu się uciec przed Armią Czerwoną.

– Skoro pan Karp przyjdzie po ciebie na pewno, to czekaj tutaj na niego – powiedział.

– A ty?

– Ja? Ja muszę iść.

– Gdzie?

– To już nie twoja sprawa.

– Ale tam Rusczy wrzucają do domów dynamit. Zabijają cię. Chcesz się rozlecieć na tysiąc kawałków?

– Nie, oczywiście, że nie chcę rozlecieć się na tysiąc kawałków. – Uśmiechnął się pod nosem, choć rozmowa z dziesięciolatkiem zaczynała go denerwować. – Słuchaj, skoro pan Karp powiedział, że tu po ciebie przyjdzie, to czekaj na niego. Ja idę tam, gdzie pani...

– Skopnik.

– Właśnie. Tam, gdzie pani Skopnik. – Podniósł się, jednak nie wyprostował.

Karol Brodzki patrzył, jak oddala się wolno, ślizgając w błocie.

– Pan Karp nie wróci – powiedziała kobieta kryjąca się za kamiennym krzyżem, gdy go mijał. – Wie pan, co to znaczy.

Zatrzymał się i spojrzał na nią. Miała koło czterdziestu lat i gdyby nie brudna twarz, mógłby pomyśleć, że zachowała dawną urodę.

– O co pani chodzi?

– Pan Karp leży tam, za tym drzewem. – Wskazała głową. – A chłopak jest zupełnie sam.

– No to niech się nim pani zajmie, skoro tak pani na nim zależy – przyciszył głos, bo jednak nie chciał, by Karol Brodzki usłyszał jego słowa.

– Ja wiem, kim ty jesteś! – syknęła kobieta, gdy odchodził. – To przez takich jak wy my siedzimy teraz na tym cmentarzu!

Zacisnął pięści, ale się nie odwrócił.

ROZDZIAŁ

15

Franz Thiedtke nie wiedział, co robić. Siedząc w piwnicy przy Adolf Hitler Strasse w Gotenhafen, nie zdawał sobie sprawy, że jego świat stawał się właśnie wspomnieniem, wciąż bardzo wyraźnym, jakby wizja własnej rzeczywistości nadal była zaledwie na wyciągnięcie ręki, dostępna tuż za rogiem kamienicy, w której się schronili. Nie dopuszczał do siebie myśli, że wszystko to, co było mu dotąd znane, co tworzyło jego własną tożsamość, sens istnienia, istotę bytu, który z lepszym lub gorszym skutkiem budował od blisko sześćdziesięciu sześciu lat, umierało z każdym wystrzałem czerwoonoarmijnych katusz, z każdą serią artyleryjskich pocisków, które znaczyły gładkie fasady modernistycznych kamienic dawnej Gdingen, rozpruwały ceglane ściany neorenesanowych kamienic Danzig, uderzały w spadziste dachy Brigittenkirche i Katharinenkirche, odsyłając do zakamarków pamięci to, co składało się na wyobrażenie o świecie, które nosił w sobie przez całe życie.

Obawa mieszała się z niedowierzaniem, strach z rezygnacją. Gdy spoglądał w stronę Rechtsstadt i Altstadt, Jungstadt i Niederstadt, zastanawiał się, czy fortyfikacje Corneliusa van den Boscha zdołały choć trochę zatrzymać sowieckie oddziały, a żołnierze Armii Czerwonej, których tak bały się pozostałe w mieście kobiety, wmaszerowali do miasta przez Grünes Tor czy raczej postanowili ją zburzyć razem z Langgasser Tor, Brotbänkertor i innymi bramami, które przez wieki strzegły zazdrośnie ulic starego Danzig. Nad bezlistnymi drzewami alei Daniela Gralatha unosiły się dymy z budynków, które wystawili miastu Hans Kromer, van den Block i van Obbergen. Płonęły dekoracje Hansa Wredemana de Vries w Ratuszu i obrazy Möllera w Artushof. Nad Grosse Mühle zamiast zapachu świeżych bułek unosił się odór spalonych cegieł. Nie było już kamienic ze strzelistymi wieżyczkami przy Stadtgraben, nie było Pfeferstadt ani Hundegasse. Nad Motlau trwała cisza, przerywana śpiewami pijanych zwycięzców, które niesły się ponad spalonymi Jopengasse i Frauengasse. Nie wiedział, nie potrafił się zdecydować, czy jego czas skończył się tak, jak czas tego miasta, które wydawało mu się, podobnie jak on sam, niezniszczalne, czy powinien na przekór wszystkiemu, co było wokół, trwać, bo chęć przetrwania jest tym, co w człowieku pozostaje nawet wtedy, gdy nic innego już nie posiada.

W eleganckim garniturze, który pani Schulze zdążyła wyczyścić dla swego syna Willy'ego, nim z politurowanej szafy w sypialni wzięła białe prześcieradło i weszła, trzymając je w zimnych dłoniach, na strych domu w Langfuhr, wśród zburzonych kamienic przy Adolf Hitler Strasse wyglądał niczym groteskowy duch, brodzący w potłuczonym szkle, kawałkach cegieł, fragmentach ludzkich zwłok i trupów koni, które leżały zeszywniałe na środku ulicy, ciągle zaprzężone do pozbawionych kół furmanek. Brakowało mu tylko ręcznie zdobionej laski, którą mógłby wyznaczać rytm swoich kroków, jakby przemierzał Seestrasse w Zoppot od cukierni Greya w stronę nadmorskiego Kurhausu, po drodze mijając dom towarowy Fastów, gdzie poznał swoją Waltraud – choć wydawało mu się teraz, że drobna postać w długiej sukni z koronkowym żabotem była tylko wytworem jego wyobraźni, istotą tak nierealną, że wprost niemożliwe było to, by istniała naprawdę. Całą drogę z Jäschkentaler Weg zastanawiał się, gdzie szukać informacji dotyczących nazwisk tych, którzy pozostali wśród zgliszczy, nie opuściwszy miasta przed Wielkim Tygodniem. Bo to był chyba Wielki Tydzień... Już w Gotenhafen stracił rachubę i nie wiedział, czy marzec już się skończył, a Wielkanoc minęła. Zresztą tego roku nikt nie celebrował śmierci Chrystusa. Dzwony zamilkły. Zabrakło dzwonników, którzy mieliby obwieścić miastu cud zmartwychwstania. Poza tym kto jeszcze wierzył w Boga? Franz Thiedtke nigdy nie był przesadnie związany z Kościołem, choć lubił tę luterzańską oszczędność, którą przenosili z Waltraud do codziennego życia. Katolicyzm ze swoim rozbuchanym przepychem wydawał mu się przesadny, judaizm był zbyt odległy, ale zawsze uważał, że każdy ma prawo do takiej wiary, która mu odpowiada. Ciągle bliższy

był mu liberalizm epoki weimarskiej niż kontrola wiary, wartości, urodzin, śmierci, kontrola rasowa przodków i intelektualnej sprawności nienarodzonych potomków, choć zdawał sobie sprawę, że wszystko to było już tylko przeszłością, za którą teraz przyjdzie zapłacić. Wina i kara. Tak, w to jeszcze wierzył, choć zastanawiał się, jak sam ma tę karę wymierzyć.

Obietnica, którą złożył sam sobie nad ciałem Stefana w piwnicy w Gdingen, teraz zaczęła wydawać mu się niedorzeczna, niemożliwa do wypełnienia, głupio naiwna, choć podjęta z całkowitym przekonaniem, ale nie mógł przecież przed samym sobą przyznać, że oto stanął przed sprawą, która go przerosła, obezwładniła, która nie pozwoliła się zakończyć. Tym razem wiedział, kto był winny, kto był zabójcą. Wiedział, kogo szuka. Gdyby stanął z nim twarzą w twarz, wiedziałby od razu, co robić. Nie miał jednak zupełnie pomysłu, jak poruszać się w świecie, w którym nagle się znalazł. Jak odnaleźć ślad, jak sprawdzić, czy w ogóle jest wśród żywych, czy rzeczywiście uciekł do Danzig – bo nawet tego nie był już tak ostatecznie pewien, jak wówczas, gdy wyruszał z Gdingen. Gdy wracał z Jäschkentaler Weg, gdzie założono polską placówkę administracyjną, która objęła w posiadanie nie tylko Langfuhr, ale też cały Danzig, czuł, jak w jego głowie pojawia się coraz więcej wątpliwości, jak obezwładnia go poczucie niemocy, bezradności wobec rzeczywistości, w której nie potrafił się poruszać. Choć czas nadal płynął, choć każdego dnia wstawało słońce, które znikало za horyzontem każdego wieczora coraz później, bo jak każdego roku na wiosnę dni robiły się coraz dłuższe, miał wrażenie, że świat się zatrzymał, że oto nadszedł ów koniec według św. Jana, apokalipsa tysiącletniej Rzeszy, która przetrwała dwanaście lat, zbudowana na autorytarnej władzy i lichej książęccze. „A głos, który słyszałem z nieba, znów usłyszałem, jak zwracał się do mnie w słowach: »Idź, weź księgę otwartą w ręce anioła stojącego na morzu i na ziemi!«. Poszedłem więc do anioła, mówiąc mu, by dał mi książeczkę. I rzecze mi: »Weź i połknij ją, a napełni wnętrze twoje goryczą, lecz w ustach twych będzie słodka jak miód«. I wzięłem książeczkę z ręki anioła, połknąłem ją, a w ustach moich stała się słodka jak miód, a gdy ją spożyłem, goryczą napełniły się moje wnętrze»”. Miał wrażenie, że kroki, które stawiał, idąc Johannistal, wybijają rytm słów Apokalipsy, kołatające mu się w głowie.

Nie wiedział, gdzie pójść. Nie był pewien, czy w ogóle powinien na razie opuszczać mieszkanie przy Hermanshöferweg. Bał się o Helenę i nie mógł przestać o niej myśleć, ciągle wyobrażając sobie sowieckich żołnierzy, którzy przychodzą do jej mieszkania. Wcześniej uważał, że strach przed Rosjanami to jeszcze jeden efekt propagandy, ale teraz nie był już tego taki pewien. I wątpił, czy jego decyzja o powrocie do Langfuhr i pozostawieniu Heleny w Gdingen była rzeczywiście słuszna. Miał do siebie coraz większą pretensję o to, że zdecydował się na opuszczenie Heleny i przejście do Danzig. Zaczęła go prześladować myśl, że z jego winy mogą się już nie spotkać, że siłą wywiozą go do Niemiec, a jej stanie się coś, przed czym nie będzie mógł jej uchronić. Ta myśl pojawiła się, gdy po raz pierwszy stawiał ostrożnie stopy na schodach kamienicy przy Hermanshöferweg, i nie opuściła go od tamtego momentu. Teraz wszedł do mieszkania wściekły na samego siebie, wściekły, bo dopiero teraz uświadamiał sobie, na jak wielkie naraził ich niebezpieczeństwo. Przez ostatnie półtora roku, od czasu, gdy Joseph Krupke wywiózł ich poza miasto, by mogli rozpląnąć się w kaszubskiej mgłę do czasu, gdy wojna się skończy, zawsze byli razem i Franz dbał o to, by nigdy się nie rozdzielali. To dało im potrzebne poczucie bezpieczeństwa i pewnej stałości w czasie, gdy o stabilizacji nie było mowy. Teraz, gdy ulegli złudnemu poczuciu końca ucieczki, Franz stracił na krótki moment konieczną czujność i uległ własnym emocjom, które kazały mu samodzielnie wymierzyć karę i ostatecznie wywalczyć spokój dla siebie i Heleny. Podjął decyzję, bo myśl o zemście, która pojawiła się w schronie w czasie zdobywania Gotenhafen przez Rosjan i Polaków, przyniosła mu ulgę, euforyczne poczucie, że oto mszcząc się na jednostce, zemści się na wszystkich, którzy doprowadzili do tego, co stało się z nim w Danzig. Dopiero teraz poczuł, że jednostkowa zemsta przyniesie mu może chwilową ulgę, jednak kara za to, co się wydarzyło, i tak nie dorówna winie. Tymczasem Helena pozostała w Gdingen, a on zamiast się nią zająć, postanowił przynieść jej głowę mordercy Stefana wraz z wyzwoleniem na resztę życia.

ROZDZIAŁ

16

Wrócił po Karola Brodzkiego. Pomyślał, że łatwiej mu będzie przeżyć, mając przy sobie dziecko. Zapuszczony i brudny, wyglądał na dużo starszego, choć musiał ciągle pamiętać, by garbić plecy, inaczej po sprężystej, wyćwiczonej posturze ktoś mógł rozpoznać, że pod podartymi cywilnymi łachami krył się dezertier. Uznał, że z dzieckiem nikt nie będzie zwracał na niego uwagi.

– Myślę, że powinienes iść ze mną – powiedział do chłopaka, który nadal siedział pod kamiennym aniołem na nagrobku babki. – Pan Karp już po ciebie nie wróci. Tamta pani miała rację.

– Nie, nie chcę. – Karol nie patrzył na niego.

– Chodź, ze mną nic ci się nie stanie.

– Ale pan Karp powiedział, żebym się stąd nie ruszał – upierał się chłopak.

– Obiecuję ci, że jeśli ze mną pójdziesz, znajdziemy coś do jedzenia. Kiedy ostatni raz jadłeś?

Chłopak zmarszczył czoło i pokręcił przecząco głową, ale on zauważył, że argument był trafny. Sam nie pamiętał swego ostatniego posiłku, nie odczuwał już nawet głodu. Pomyślał, że dziesięcioletkowi musiało być znacznie trudniej bez prowiantu. Nawet jeśli opuszczając mieszkanie w Schidlitz, miał przy sobie cokolwiek, skoro siedział na cmentarzu od trzech dni, musiał to już dawno zjeść.

– A dokąd pójdziemy? – Głos Karola zabrzmiał nieco bardziej pojednawczo.

– Tam, gdzie nas nie znajdą.

– Ruski wszędzie nas znajdą. – Chłopak skulił się i przywarł do nagrobka.

– Zrobili ci coś? – Przykucnął obok.

Dzieciak odwrócił głowę i zaczął się nerwowo kiwać.

– Ruscy zrobili ci coś złego? – zapytał ponownie.

– Zabili mamę. Zabili mamę.

Nigdy nie chciał mieć dzieci. Choć takich jak on zachęcano, by płodzili kolejnych wzorowych Niemców, którzy przyczyniliby się do chwały narodu w kolejnych pokoleniach, on trzymał się z dala od Lebensbornu, a od czasu, gdy po raz ostatni widział Mariannę, trzymał się też z dala od zwykłych kobiet. Teraz pomyślał, że nigdy nie chciał mieć rodziny, bo bał się, by dzieci nie przywołały w nim uczuć, które ukrył w sobie bardzo głęboko, gdyż nigdy nie wydawały mu się do czegokolwiek przydatne. Wiedział, że przeszkadzałyby mu tylko w uporządkowanym życiu, które prowadził. Zawsze chciał mieć wszystko pod kontrolą. Chciał, żeby życie przebiegało według planu, który sam ustalił. I kiedyś mu się to rzeczywiście udawało. Ale od czasu, gdy Franz Thiedtke wymknął mu się w Gotenhafen, jego życie powoli ogarniał chaos, a złość, którą czuł wobec niego, prowokowała do nieprzemysłanych posunięć. Dlatego nie wahał się, by tam, w piwnicy przy Adolf Hitler Strasse, gdy nagle stanął oko w oko z emerytowanym komisarzem policji kryminalnej w Wolnym Mieście, wykorzystać moment, gdy nikt nie mógł go w ciemności dostrzec, i wyciągnąwszy z buta długi, cienki nóż, który miał przy sobie od czasu, gdy przyjechał do Danzig z Berlina, pozbyć się w końcu tego denerwującego starca, posiadającego niepokojącą zdolność pojawiania się w jego życiu w najmniej odpowiednich momentach. Dlatego teraz czuł zadowolenie, że pozbył się go ostatecznie. Gdyby nie miał tej pewności, cały czas dręczyłaby go obawa, że Franz Thiedtke nagle znowu stanie na jego drodze. Choć musiał uciekać z bezpiecznej piwnicy, która chroniła przed atakami sowieckiej artylerii, choć spędził długie godziny jako trup, zamarzając niemal wśród prawdziwych umarłaków, uciekał przez las aż do Zoppot, gdzie w końcu udało

mu się dostać na ciężarówkę radzieckich szabrowników, aż znalazł się na cmentarzu obok polskiego chłopca, którego matkę zabili Sowieci, ojciec służył w Wehrmachcie, a wuj zginął zapewne w Stutthofie, choć wszystko to wydarzyło się, bo postanowił przepędzić w końcu ze swego życia Franza Thiedkego, wiedział, że teraz będzie martwić się tylko o własne przetrwanie. I ta myśl przynosiła mu ulgę.

– Chodź, pójdziemy poszukać czegoś do jedzenia – powiedział do Karola Brodzkiego. – I będziemy się trzymać z dala od Ruskich, obiecuję. – Wziął go za rękę i pociągnął za sobą.

Przedostali się na Kniprode Weg, gdzie wzdłuż opustoszałej, cichej ulicy stały jednopiętrowe szeregowce z czerwonej cegły. Weszli do pierwszego z nich. W spiżarni znaleźli kilka starych ziemniaków i dwa słoiki ze starannie wykaligrafowanym napisem – *Kirschen Sommer 1944*. Każdy otworzył jeden. Bez słowa wyjadali marmoladę, grzebiąc w niej brudnymi palcami, które zabarwiały się na czerwono. Miał wrażenie, że kiedy Karol Brodzki opróżnił całość, uśmiechnął się do niego nieznacznie.

W kolejnej spiżarni zebrali kilka kiszonych ogórków, które leżały na podłodze wśród rozbitych kawałków glinianego garnka. Zapobiegliwa gospodyni musiała w nim kisić je poprzedniego lata. Znaleźli też kilka nadgniętych jabłek, które wepchnęli do kieszeni. Kiedy jedno z nich upadło i potoczyło się po podłodze, dostrzegł pełne błota buty, które miał na nogach chłopak.

Zza podartej szydełkowej firanki, która wisiała w oknie, wyrzwał na pustą ulicę i wyszedł z kuchni. Nie skierował się jednak do wyjścia, ale skręcił w drugą stronę. Minąwszy schody, stanął naprzeciwko zamkniętych drzwi. Zza cholewy buta wyjął cienki nóż, którym w Gotenhafen pozbył się Franza Thiedkego, po czym znieruchomiał, by po krótkiej chwili uchylić je ostrożnie i zajrzeć do środka. Pokój był pusty. Otworzył drzwi szerzej i wszedł do środka. Karol podążył za nim.

W politurowanej serwantce stały pozbawione kurzu, ustawione równo rzędy filiżanek z bawarskiej porcelany, wyżej – pokryte złotem i kobaltem eleganckie zestawy z talerzykami do śniadania, niżej – bardziej pospolite płaskie filiżanki z kwiatowym wzorem. W kredensie piętrzyły się talerze, platerowane tace, posrebrzane cukiernice i dzbanki. W szufladzie leżały wypolerowane sztucce. Wszystko trwało w oczekiwaniu na swoich właścicieli, jakby ci mieli zaraz wrócić, sięgnąć po zastawę, wypełnić filiżanki gorącą kawą, na tacach rozłożyć marcepanowe ciastka od Schulza i rozsiać się na fotelach ustawionych w rogu pokoju. W metalowym pudełku po cukierkach, które tkwiło wetknięte między starannie wyprasowane obrusy, znalazł pozbawiony paska zegarek Eterna z pomalowanymi na biało wskazówkami. Wcisnął go do kieszeni spodni i sprawdził, czy Karol to spostrzegł. Chłopak był jednak zajęty kolekcją miniaturowych statków w butelkach z jasnego szkła, które stały na bielizniarce pod oknem.

– Chodź, poszukamy ci lepszych butów – powiedział.

Drewniane schody trzeszczały głośno przy każdym ich kroku. Kiedy znaleźli się na piętrze, nakazał, by Karol się nie odzywał. Pierwsze drzwi, które popchnął, prowadziły do niedużej łazienki. Drugie do dziecięcego pokoju. Wszedł i otworzył szafę, wypełnioną dziecięcymi ubrankami. Ruchem ręki przywołał chłopaka i pokazał mu, by wybrał to, co na niego pasowało. Sam wrócił na korytarz i uchylił trzecie drzwi. Gdy zajrzał do pokoju, który się za nimi krył, odezwał się stojący zegar – jego dźwięk zwiłokrotniła cisza panująca wokół. Odskoczył do tyłu i przywarł do ściany, bo miał wrażenie, że wraz z wybiciem zegara poruszyła się kapa, którą nakryte było duże małżeńskie łóżko. Dał znać Karolowi, by przestał się przebierać, i krzyknął w stronę sypialni:

– Jesteśmy Niemcami! Jest tutaj ktoś?

Nikt nie odpowiedział.

– Nie zrobimy wam krzywdy! – krzyknął ponownie. – Uciekamy z Neugarten.

Znowu cisza. Starając się, by jego kroki były bezgłośnie, podszedł wolno do łóżka, pochylił się i szybkim ruchem odrzucił narzutę. Trzy ludzkie sylwetki stłoczone pod materacem poruszyły się, starając wcisnąć w drugi koniec przestrzeni pod łóżkiem. Trzy pary oczu wpatrywały się w niego z przerażeniem.

– Wychodźcie! Nic wam nie zrobię.

Pierwsza wyszła młoda kobieta, właściwie dziewczyna, mogła mieć nie więcej niż dziewiętnaście lat. Jej twarz, przechodząca właśnie transformację z wieku dziecięcego do dojrzałej kobiecości, była poważna, a w jej oczach

widział strach. Za nią wyczołgał się chłopiec, wyraźnie młodszy od Karola Brodzkiego, ale to zapewne on mieszkał w pokoju, gdzie pozostał Karol. Ostatnia wyszła spod łóżka, głośno dysząc, starsza kobieta. Choć w pierwszym momencie sprawiała wrażenie zniedołężniającej staruszki, kiedy wyprostowała się przed nim, znacząco ubyło jej lat, mimo wyraźnej siwizny na głowie.

– Jestem przyjacielem – powiedział, chowając za cholewę nóż i na potwierdzenie swych słów uniósł obie ręce, by pokazać, że nie jest uzbrojony. – Jestem Niemcem. Nie jestem sam. – Gdy zawołał Karola, dziewczyna cofnęła się w nagłej panice, a kobieta przyciągnęła do siebie chłopca. Trzymała go tak mocno, że na jej dłoniach pojawiły się grube żyły, przykryte cienką warstwą suchej skóry. – Nie, nie bójcie się – próbował je uspokoić. – To jest właśnie Karol – powiedział, gdy chłopak stanął w drzwiach, trzymając w dłoniach czyste buty.

– Przepraszam – pierwsza odezwała się starsza kobieta. – Siedzimy pod tym łóżkiem od tygodnia. Boimy się Iwana. Sowieci spalili całe Schidlitz. Irma ledwie stamtąd uciekła. – Wskazała na dziewczynę, która przyglądała mu się w milczeniu.

– Tu jest spokojnie. Nikogo nie ma – powiedział.

– Z nimi nie wiadomo. Na Karthäuserstrasse pojawili się nagle. Najpierw zgwałcili wszystkie kobiety, a potem szli od domu do domu i wrzucali do środka granaty. Pan wie, co się dzieje w mieście?

– Nie, ja też uciekam. Są na Neugarten, no ale wie pani, to nic dziwnego. Chcą przejść to, co zostało po naszych. Kobieta opadła ciężko na łóżko.

– To pana syn? – Wskazała na Karola, który zdejmował właśnie ubłocone buty.

– Nie, zabrałem go z cmentarza. Ukrywał się na grobie babki. On też uciekł z Schidlitz. Tam została jego matka. Kobieta pokiwała zwieszoną na piersi głową.

– Co chcecie dalej zrobić? – zapytała po chwili.

– Nie wiem. Chyba przeczekać, aż sytuacja się uspokoi.

– Miasto zniszczone... Nie wiem, jak my tu będziemy dalej żyli... Oni pewnie będą teraz chcieli tu zrobić Polskę, jak po Wielkiej Wojnie. Wtedy im się nie udało, ale teraz... A gdzie są ci, co nas w to wepchnęli? Widzi pan, uciekli. A my zostaliśmy i nie ma nas kto obronić przed tą swoloczą...

– Nie mów tak, ciociu – odezwała się nagle Irma. Zdziwił go ostry ton jej głosu. – Jeszcze im pokazemy! To jeszcze nie koniec! Nasi żołnierze ciągle walczą!

– Irmo, nie krzycz tak. Głowa mnie już boli od tego twojego krzyku.

– Moja ciocia straciła wiarę, wie pan? – Irma zwróciła się bezpośrednio do niego. – Już nie wierzy w potęgę Trzeciej Rzeszy. Spaliła portret naszego Führera i chce zapomnieć, jak machała mu chorągiewką na powitanie, kiedy przyjechał do Danzig w trzydziestym dziewiątym. Może jeszcze zostanie komunistką! – Dziewczyna wydeła wargi i odwróciła się.

– Widzi pan, jaka ta nasza propaganda była skuteczna. – Uśmiechnęła się ciotka Irmy. – Irma ma osiemnaście lat i nie pamięta, jak to było, zanim zajął się nami nasz Führer. Jej będzie najtrudniej...

Nie miał ochoty słuchać dalej refleksji starszej pani. Czy miał przyznać jej rację? Sam podchodził do ideologii w sposób praktyczny. Nie zastanawiał się nad związanymi z nią hasłami, lecz zwracał uwagę na korzyści, które mu przynosiła. Czy mógłby zostać komunistą? Gdyby to oznaczało przetrwanie...

– Pani tu zostaje?

– Tak. A gdzie mam się ruszać? Będziemy siedzieć pod tym łóżkiem, aż nas znajdą. Albo się to skończy...

– Mogę tu zostawić chłopaka? Nie na długo. Obiecuję, że po niego wrócę.

– A co pan tak go nagle zostawia? – zdziwiła się kobieta. – Też chce pan uciec?

– Nie, obiecuję, że wrócę. Z jedzeniem. Niech go tylko pani przechowa. Kilka dni.

– A jaką mi pan daje gwarancję? Co ja mam z nim tutaj zrobić? Czwartą pod łóżko nie wejdzie.

– Obiecuję pani. Słowo niemieckiego oficera. – Popatrzył na Irmę, która przyglądała mu się intensywnie. – Takiego, który nie uciekł.

Kiedy wychodził na ulicę, nie dbał już o to, by pamiętać o zgarbionej sylwetce. Szedł sprężystym krokiem i gratulował sobie w myślach, że nadal potrafi manipulować ludźmi.

ROZDZIAŁ

17

Obudziło go łomotanie do drzwi. Tego dźwięku obawiał się przez ostatnie trzy dni. Spędził je zamknięty w mieszkaniu przy Hermanshöferweg, zastanawiając się, czy powinien pozostać na miejscu, czy lepiej będzie wracać do Heleny, do Gdingen. Chęć przypilnowania miejsca, które przed sześcioma laty kupili z Waltraud, zamieniając apartament w Danzig na spokojne lokum w Langfuhr, teraz wydawała mu się niedorzeczna i banalna, choć poczucie, że w morzu otaczających go ruin zachował swoje miejsce na ziemi, początkowo wydawało mu się krzepiące. Zdecydowanie bardziej dręczyła go myśl, że powinien zrobić coś, co doprowadziłoby do wypełnienia obietnicy, jaką dał Helenie. Jednak przede wszystkim chciał być znowu przy niej, chciał mieć pewność, że jest bezpieczna, a w razie kłopotów on jest na tyle blisko, by jej pomóc.

Kilka razy wydawało mu się, że w mieszkaniu po drugiej stronie ulicy widział Johannę Gruber, ale cień szybko cofał się, gdy tylko on zbliżał się do okna. W ostatnich miesiącach przyzwyczał się do tego, że nigdy nie mógł czuć się pewnie. Dlatego teraz sytuacja ciągłej niepewności nie uwierała go tak bardzo, jak otaczająca cisza i pustka kamienicy. Nocą, gdy w oddali pojawiały się pojedyncze światła samochodów, z rzadka przemierzających ciemne ulice, zrywał się zlany potem, przekonany, że w drzwiach do jego mieszkania staje pani Schulze, zawinięta w białe prześcieradło, opływające łagodnie jej przysadzistą sylwetkę. Budził go wtedy własny krzyk i ze strachem nasłuchiwał, czy ktoś, oprócz niego, go usłyszał. Ale przyszli dopiero teraz.

Najpierw pomyślał, że nie będzie się ruszał, że kiedy nie da znaku życia, nikt nie domyśli się, że tu jest. Ale zza zamkniętych na łańcuch drzwi dobiegał męski głos, który krzyczał po niemiecku:

– Wiemy, że tam jesteś! Otwieraj!

Zwinął się w kącie sypialni, gdzie z poduszek pani Schulze zrobił sobie legowisko. Naciągnął kołdrę na głowę, jak dziecko, któremu wydaje się, że w ten sposób stanie się niewidzialne. Ale walenie do drzwi nie ustało. Ktoś otworzył je i szarpał się z łańcuchem. Wygramolił się spod kołdry i włożył szybko buty. Nie wyobrażał sobie, by aresztowano go w skarpetkach.

Gdy znalazł się w holu, mężczyzna szarpiący się z drzwiami omal nie wyrwał ze ściany łańcucha, którym Franz Thiedtke zabezpieczył się od wewnątrz.

– No, nareszcie! – sapnął tamten i cofnął się. – Otwieraj! – Machnął karabinem, który zdjął z ramienia. – Zabieramy cię do pracy!

Kiedy Franz otworzył drzwi, mężczyzna posługujący się niemieckim z gdańskim akcentem wszedł do środka i rozejrzał się po pustym salonie, do którego wejście znajdowało się najbliżej. Potem obrzucił gospodarza przelotnym spojrzeniem i zatrzymał wzrok dopiero na jego twarzy.

– Ja ciebie znam – powiedział z przekonaniem. – Znam cię – powtórzył, przyglądając mu się dokładnie. Zarzucił karabin na ramię. – Już wiem! Ty jesteś policjantem! – zakrzyknął zadowolony. – Przed wojną przychodziłeś do Tiefer Keller na Jopengasse. Byłeś w cywilu, ale wszyscy wiedzieli, że jesteś policjantem. Zgadza się?

– Byłem – sprostował Franz. – W trzydziestym dziewiątym przeszedłem na emeryturę.

– To ile masz lat?

– Sześćdziesiąt pięć.

– Ale dobrze się trzymasz. – Mężczyzna znowu zmierzył Franza spojrzeniem od stóp do głów. – Wojna ci nie dokuczyla, co? No, teraz możesz się do czegoś przydać. Ubieraj się!

Franz bez słowa wskazał drzwi do pokoju sypialnego, a mężczyzna kiwnął przyzwalająco głową. Wszedł do sypialni, ubrał szybko pulower po Willym Schulze, obwiązał szyję jego wełnianym szalikiem i wrócił do nieznanego, który palił w holu papierosa. Na jego widok mężczyzna rzucił niedopałek na podłogę, przydeptał go butem i karabinem, który znowu ściągnął z ramienia, wskazał drogę na korytarz. Dopiero teraz Franz zauważył, że mężczyzna ma na sobie mundur niemieckiego gefreitera, mocno sfatygowany i bez naszywek. Za to na ramieniu nosił białoczerwoną opaskę.

– Jesteś Polakiem? – zapytał, gdy schodzili po schodach.

– Tak. Z Gdańska. Bo wiesz, teraz tutaj będzie Gdańsk – powiedział mężczyzna, przesadnie podkreślając polską nazwę miasta. – W tym domu jest ktoś jeszcze?

– Nie. Tylko ja. Były kobiety. Ale się powiesiły.

Polski gefreiter nie odpowiedział. Franz ocenił, że musiał być koło czterdziestki. Niewysoki i szczupły, choć pod niemieckim mundurem rysowały się mocne ramiona. Miał jasne włosy i oczy, których kolor wpadał w rozmyty błękit, a były policjant pomyślał, że ten słowiański untermensch świetnie prezentowałby się w roli aryjskiego nadczłowieka. Tyle właśnie warta była teoria ministra Rosenberga, w imię której z miasta zniknęli Ankerowie, Bergholdowie i jego przyjaciel z Kohlenmarkt, Moritz Rosenfeld z rodziną. Danzig stał się w pełni narodowosocjalistyczny, jak w czasie wyborów w trzydziestym trzecim nawoływał gauleiter Forster, a teraz przyszło mu za to zapłacić. Jak mówiła Helena, wina i kara.

– Aresztujesz mnie? – zapytał, gdy wyszli z kamienicy.

– Nie. Będziesz pracował przy odgruzowywaniu.

Wyszli na ulicę, gdzie w towarzystwie innego Polaka stała już Johanna Gruber. Mężczyzna prowadzący Franza powiedział do tamtego coś po polsku, zaśmiali się i tamten krzyknął w ich stronę:

– No, Szwaby! Idziemy do pracy!

Szli bez słowa obok siebie, prowadzeni przez tamtych dwóch. Mężczyźni trzymali w rękach karabiny, jednak bardziej zajęci byli rozmową niż pilnowaniem Franza i Johanny. Kobieta patrzyła pod nogi, zwiesiwszy na piersi głowę, i zaciskała palce na skrzyżowanych ramionach.

– Niech się pani nie boi – powiedział do niej cicho. – Oni zabierają nas do pracy. Nic nam nie zrobią.

– I pan tak spokojnie to mówi? – odparła, nie podnosząc wzroku. – My dla nich? Powinni siedzieć zamknięci w obozach!

Nie odpowiedział. Czasem zastanawiał się, czy jedną z najgorszych cech człowieka nie jest brak umiejętności przystosowania się do nowej sytuacji. Stare nawyki, sposób myślenia kształtowany przez lata, wartości, które choć złe, były zbyt trwałe, by nagle je porzucić, okazywały się na tyle silne, że nawet koniec świata, który mieli już za sobą, nie był w stanie zmienić sposobu patrzenia na rzeczywistość.

Minęli Johannista i Friedenssteg, bardziej zaśmiecone tym, co pozostało po gdańskich uciekinierach, niż zburzone przez walki o miasto, ale kiedy znaleźli się przy głównej ulicy, rozpostarła się przed nimi panorama zburzonego Langfuhr. Jednak ruiny nie były już wyludnione i martwe. Grupki ludzi kręciły się przy powyrywanych torach tramwajowych, uprzątając z nich gruz ze zburzonych kamienic. Kilkadziesiąt metrów dalej trwały przygotowania do podniesienia tramwaju, który wykolejony leżał w poprzek ulicy.

Poszli w stronę parku Uphagena. Obok rozjeżdżonego czołgowymi gaśnicami klombu stała odkryta ciężarówka. Franz Thiedtke dostrzegł, że leżą na niej ludzkie zwłoki. Nieco dalej zauważył dwóch starszych mężczyzn, którzy nieśli drabinę. Zatrzymali się i rozstawili ją, jeden z nich wszedł na wyższe szczeble i wtedy Franz zorientował się, że mężczyźni zajmują się odcinaniem wisielców, którzy tkwili na sznurach przywiązanych do mocnych gałęzi. Nieruchome postaci wyglądały jak świąteczne ozdoby na pozbawionych już igieł choinkach, bardziej groteskowe niż przerażające. Przynajmniej dla ludzi, którzy ich sprzątali.

– Będziesz pracował z nimi – powiedział do niego Polak, który zabrał go z mieszkania, i wskazał mężczyzn z drabiną. – I ani myśl uciekać. Teraz już nie ma tu waszych, więc jak uciekniesz, to cię złapiemy. No, to do roboty!

Widział przerażone spojrzenie Johanny Gruber, którą drugi z Polaków popędził w stronę Uphagenweg. Szybko zniknęli za parkowymi drzewami.

Praca polegała na odcinaniu wisielców i zanoszeniu ich na ciężarówkę. Bezimienni ludzie, głównie młodzi chłopcy lub pomarszczeni starcy, choć było też kilka całkiem młodych kobiet, mieli na piersiach tabliczki, na których wypisano koślawymi literami „Jestem tchórzem” lub „Jestem dezertorem”. Franz Thiedtke widział w swoim życiu niejedne zwłoki, nieraz także ich zmasakrowane części, jednak ciała, którymi zajmował się jako komisarz policji, zazwyczaj były pojedyncze. Martwe jednostki w świecie żywych, które szybko likwidowano, by zająć się pozostałą po nich zagadką. Tutaj sprawca był znany, choć równie zbiorowy jak ofiary, które odcinali. Franz, najsprawniejszy z całej trójki, wchodził na drabinę i tępy nożem odcinał sznur. Na dole czekali dwaj pozostali mężczyźni, którzy łapali spadające ciało i zanosili je od razu na ciężarówkę. Pilnowali ich dwaj polscy strażnicy, którzy stali niedaleko i paląc papierosy, głośno rozmawiali. Kiedy minęło południe, zawołał całą trójkę i rozdzielili między nich czarny chleb, do którego dodali po łyżce marmolady z buraków cukrowych. Mężczyźni jedli w milczeniu, nie patrząc na siebie.

– No, jak będziecie pracować, to będziecie dostawać jedzenie – powiedział jeden z Polaków łamaną niemiecką.

Chleb był twardy i drażnił podniebienie, jednak Franz zjadł go łapczywie, bo od dwóch dni, gdy skończyły mu się zapasy, w które zaopatrzyła go Helena, nie miał nic w ustach.

– Chciałbym odnaleźć przyjaciela – odezwał się do Polaków, gdy skończył. – Nie wiem, czy jest w Danzig. Gdzie mogę to sprawdzić?

– Trudno będzie – pierwszy wzruszył ramionami. – To zostało po waszym Danzig. – Brodą wskazał na ruiny wokół.

– Może w Niemieckim Czerwonym Krzyżu? – zastanowił się drugi. – Będą tutaj jutro, pojutrze i zaczną sprawdzać, kto przeżył.

– Dziękuję. – Franz kiwnął głową i wrócił do pracy.

Nim zapadł zmrok, oczyścili cały park Uphagena. Kiedy skończyli ładowanie zwłok na ciężarówkę, zajęli się porządkowaniem tego, co zaśmiecało park. Walizki, rozrzucone papiery, lalka bez nóg, karabin, wszystko znalazło się w jednym miejscu, na stercie, którą Polacy na koniec dnia podpalili.

– Ulęknijcie się Boga i dajcie mu chwałę – głos z ciemności wyrwał Franza z zamyślenia – bo godzina sądu Jego nadeszła! – Zza palącej się sterty wyłonił się zgarbiony staruszek. Ubrany w podarty płaszcz, po którym mimo wypalonych dziur widać było dawną elegancję najlepszych krawców z domu towarowego Fasta, szedł, opierając się o grubą krzywy kij. Drugą rękę, zaciśniętą mocno w pięść, trzymał przed sobą i każde słowo podkreślał uderzeniem powietrza, przesiąkniętego dymem unoszącym się znad palących się śmieci.

– Idź stąd, dziadku! – krzyknął Polak po niemiecku i odwróciwszy się do towarzysza, rzucił coś po polsku.

– Oddajcie pokłon temu, co niebo uczynił i ziemię, i morze, i źródła wód! – Staruszek nie dawał za wygraną.

– Idź stąd, bo zaraz sam mu się pokłonisz! – Polacy roześmiali się.

Mężczyzna zamilkł. Długą chwilę przyglądał się w milczeniu palącym się śmieciom, po czym odwrócił się w stronę stojących przy palenisku ludzi i w powietrzu zrobił znak krzyża.

– Jak się weźmiesz do pracy, Szwabie, to ci damy jeść!

– Błogosławieni, którzy w Panu umierają – wymamrotał starzec.

– Panie profesorze! – Nagle jeden z Niemców, z którymi Franz Thiedtke spędził w milczeniu cały dzień, podszedł do nowo przybyłego. – Ma pan gdzie przenocować? Czy pani profesorowa żyje?

Staruszek popatrzył na niego ze zdziwieniem nagle przebudzonego dziecka.

– Zapuść Twój sierp i żniwa dokonaj, bo przyszła już pora dokonać żniwa, bo dojrzało żniwo na ziemi – znowu zaczął recytować.

– Dobrze, panie profesorze. – Mężczyzna otoczył go ramieniem. – Pójdzie pan ze mną. To profesor Technische Hochschule, pan Alfred Sollman – zwrócił się do Polaków. – Zabiorę go ze sobą.

– Twoja sprawa. – Polacy wzruszyli ramionami. – Wy też możecie już iść – rzucili w stronę Franza i drugiego mężczyzny. – Jutro bądźcie tutaj rano. Jak nie przyjdziecie, nie będzie jedzenia, rozumiecie?

ROZDZIAŁ

18

– Wie pan, panie Thiedtke, ja się nie spodziewałam, że oni będą chcieli, żebyśmy im pomagali – mówiła z zarumienioną twarzą Johanna Gruber. Siedzieli przy stole w jej kuchni, bo tu było najcieplej. Na piecu gotowała się woda. Johanna uparła się, by poczęstować go resztką kawy z cykorii, którą znalazła w kredensie.

Przyszedł do niej z samego rana, gdy tylko zobaczył ją w oknie mieszkania po drugiej stronie Hermanshöferweg. Otworzyła okno i krzyknęła do niego, kiwając zapraszająco ręką. Choć jej nie usłyszał, zrozumiał, że chce, by do niej poszedł.

– Kiedy po mnie przyszedli, myślałam, że najpierw mnie zgwałcą, a potem umrę – mówiła teraz. – Nawet żałowałam, że nie poszłam na ten wasz strych razem z innymi. I jak nas prowadzili, to też myślałam, że zaciągną mnie w jakieś gruzi i stamtąd już nie wrócę. Prawdę panu powiem, panie Thiedtke, jak pan zostawał tam w parku Uphagena, to myślałam, że już się więcej nie zobaczymy. A tu taka niespodzianka. – Krzątała się po kuchni, jakby w ciągu kilku godzin ubyło jej kilka znaczących lat. Nawet twarz miała odmłodzoną, jaśniejszą, choć sińce pod oczami pozostały.

– To co dokładnie będzie pani robić?

– Będę pomagać w punkcie sanitarnym.

– Nie wiedziałem, że jest pani pielęgniarką.

– Nie, nie jestem. Ale w tych warunkach każdy się przyda, kto może pomóc. Wie pan, że teraz działają tylko dwa szpitale?

– Myślałam, że nie działa żaden, mówiąc szczerze, pani Gruber.

– Nie, działają dwa: u nas przy Delbrückalle i przy Weidengasse. Ale oni się boją, że będzie epidemia tyfusu i czerwonki. Trzeba sprawdzać, czy ktoś nie zachorował, bo jak zachoruje, to będzie zarażał innych i wie pan, potem to pójdzie jak lawina. W mieście jest dużo zabitych, na ulicach pełno martwych koni. Trzeba to wszystko szybko uprzątnąć, ludzi pochować. Woda skażona, wodociągi nie działają... Wszystko w rozsypce, a ludzie muszą jakoś w tym żyć.

– Tak, wczoraj zbierałem powieszonych ludzi w parku Uphagena.

– Mój Boże! Ludzie nie wytrzymywali tego strachu przed wejściem Iwana.

– Nie. Ci, których wczoraj ładowaliśmy na ciężarówkę, nie wieszali się sami. Wie pani, co mieli napisane na tabliczkach, które im zawiesili na szyi? Tchórz. Albo dezterter. Po niemiecku.

– Ach! Rozumiem! To byli ci, którzy nie chcieli wypełnić rozkazu Führera. No cóż. Ojczyzny trzeba bronić do ostatniej krwi.

– Ale to były dzieci. I starcy. A nie żołnierze, pani Gruber.

– Gdybym dostała karabin do ręki, też bym broniła naszego miasta – powiedziała twardo kobieta.

Franz postanowił zmienić temat.

– Pracuje pani z Niemcami? – zapytał.

– Tak, oczywiście, panie Thiedtke. Przecież oni muszą tutaj dopiero przywieźć swoich lekarzy, bo na czołgach nie przyjechali, jak nasz Danzig zdobywali, prawda?

– A z kim? Może to ktoś znajomy? Wie pani, ja miałem dużo znajomych, a teraz trzeba szukać każdego.

– Tak, to jasne. No więc po pierwsze jest pan doktor Baumann. Był lekarzem w szpitalu przy Hochstrass, no ale teraz szpital jest zniszczony. – Znał doktora Baumanna, skrupulatnego chirurga, którego w dwudziestym siódmym podejrzewał o udział w morderstwie, jakiego dokonano w budynku przy Neugarten 18, w siedzibie masońskiej loży Eugenia, do której należał. Lekarz okazał się niewinny. – Są też dwie pielęgniarki z tego szpitala i pan doktor Sauer. Uciekł z Allenstein, no ale nie udało mu się już uciec z Danzigu. – Johanna Gruber postawiła na stole dwie filiżanki. Przez jedną przebiegała cienka nitka pęknięcia. Odstawiła ją z zawstydzeniem i sięgnęła do kuchennego kredensu po inną. Nalała kawę z dzbanka i usiadła naprzeciwko Franza. – Wie pan, co oni mówią? Że nas wszystkich stąd wywiozą. Zrobią tutaj Polskę. Zbudują nowe miasto, a po naszym Danzigu nie będzie już śladu. A pan w to wierzy?

– Tak, myślę, że zrobią tutaj Polskę.

– Zawsze chcieli się dostać do Danzigu. Położyć swoje łapska na naszym domu. Tak mówił Gustav, mój świętej pamięci mąż. Dobrze, że tego nie dożył. W grobie musi się teraz przewracać, biedak. Wie pan, że on był przedsiębiorcą pogrzebowym? Teraz zarobiłby krocie! A, właściwie... to oni przecież chyba są komunistami, prawda? Ci Polacy, co tu do nas przyszli. Wszystko mają wspólne i za nic nie płacą... Czy to znaczy, że oni będą tu chcieli zaprowadzić komunizm, panie Thiedtke?

– Myślę, że zrobią, cokolwiek będą chcieli. – Uśmiechnął się i wypił łyk gorzkiej, lurowatej kawy. – Świetna! – powiedział, odstawiając filiżankę. – Dawno nie piłem kawy.

– Bo jak oni tu wprowadzą komunizm, to ja muszę stąd wyjechać – ciągnęła Johanna Gruber. – Gustav miał rodzinę w Heidelbergu, chyba tam pojedę. Podobno będą nas wysiedlać, wie pan? Zrobią spis wszystkich Niemców, a potem załadują nas do pociągów i wywiozą. Wyobraża pan to sobie?

– Tak, wyobrażam.

– A pan ma gdzieś rodzinę w Niemczech? Ma pan gdzie jechać?

– Pani Gruber, ja mam chyba za dużo lat, żeby stąd wyjeżdżać. Długo już nie pożyję, to mogę i w komunizmie spędzić tych kilka ostatnich lat.

– Ale co pan mówi!

– Mam tu grób żony i całe życie za sobą. – Nie chciał mówić o Helenie. – A jakbym wyjechał, to co bym ze sobą zrobił? Za stary jestem, pani Gruber. – Wypił kolejny łyk kawy.

– Ale to też nie będzie takie łatwe. Żeby tutaj zostać. Oni mają sprawdzać, czy ktoś nie był w NSDAP albo czy im w czymś nie szkodził. A jak coś znajdą, to pod sąd. No a potem to wie pan, różnie może być.

– Ja się nie boję. Całe życie pracowałem w policji. – Uśmiechnął się.

– No tak. Wiem. A pan co właściwie u nich robi?

– Pracuję przy odgruzowywaniu.

– Tak, zburzyli Danzig, a teraz naszymi rękami chcą go odbudować. Słów nie mam na to!

– Ja nie narzekam. Dają jedzenie, więc mogę pracować. Ostatecznie, do czegoś się jeszcze przydam.

– Widzę, że z pana to jest kpiarz. A ja zawsze myślałam, że pan to taki poważny człowiek! – Johanna Gruber roześmiała się głośno.

– No cóż. Człowiek się zmienia. Mam do pani prośbę, pani Johanno.

– Tak, panie Franz?

– Pomyślałam sobie, że skoro pani będzie teraz pracować jako pielęgniarka, na pewno będzie pani jako pierwsza wiedzieć, gdzie będzie punkt Niemieckiego Czerwonego Krzyża. Polacy mówili wczoraj, że mają przyjechać do Danzigu...

– Tak, słyszałam o tym.

– Poszukuję przyjaciela, ale nie wiem, czy jest w mieście. Wie pani, w tych ruinach trudno kogokolwiek znaleźć, a tyle ludzi wyjechało... Czy mogłaby pani powiedzieć mi, gdzie będzie ten punkt, jak tylko go utworzą?

– Och, ja mogę nawet sama dowiedzieć się, czy ten pana przyjaciel jest w Danzigu. Proszę mi tylko podać jego nazwisko, a ja wszystkim się zajmę. – Johanna Gruber położyła dłoń na dłoni Franza.

– O, dziękuję bardzo! – Odsunął się, sięgając po filiżankę. – Nie chcę robić pani kłopotu. Chciałbym tylko wiedzieć, gdzie będzie można się do nich zwrócić. Jakby pani coś wiedziała... bardzo proszę, niech mi pani od razu powie.

– Oczywiście, ale to nie będzie żaden kłopot. Zrobię to z przyjemnością.

– Tylko adres, to wystarczy.

– No dobrze. Skoro się pan tak upiera.

– Za to natychmiast, jak tylko będzie pani wiedziała.

– Oczywiście, panie Franz. Napije się pan jeszcze kawy?

– Bardzo proszę. Mówiłem już, że jest znakomita?

ROZDZIAŁ

19

Dać się zatrzymać nie było trudno. Zszedł z Hagelsbergu tą samą drogą, którą wszedł razem z Karolem Brodzkim, tym razem omijając jednak cmentarz. Trafił z powrotem na Neugarten, gdzie dym z wypalonych budynków ciągle drażnił wewnętrzną. Nie ukrywał się, nie starał przemknąć niezauważenie, nie próbował dodać sobie lat, garbiąc się i opuszczając głowę. Szedł wyprostowany środkiem ulicy, a przed nim coraz wyraźniej rozpościerała się panorama Rechtsstadt. W oddali Marienkirche pozbawiony dachów, milczący, ogołocony z dzwonów, których dźwięk niósł się kiedyś aż nad Werder. Obok płaska utracona wieża Ratusza, z którego zniknął strzelista wbijający się w niebo hełm wieżowy. Wokół wypalone kikuty kamienic, a przy zjeździe na Stadtgraben wbity w porozrywaną nawierzchnię ulicy rosyjski czołg, bezpiecznie pozostawiony przez swoich właścicieli.

Uskoczył na bok, gdy za nim rozległ się klakson sowieckiej ciężarówki. Przewrócił się na stercie cegieł i rozdarł skórę na dłoni, próbując utrzymać równowagę. Kierowca ciężarówki wychylił się z szoferki i przeklinając po rosyjsku, pogroził mu pięścią. Nie zdążył się jeszcze podnieść ze sterty gruzu, gdy obok pojawiło się dwóch polskich żołnierzy. Krzyknęli do niego, ale nie zrozumiał. Domyślił się tylko, że rozkazują, by wstał. Gdy się wyprostował, obejrzeni go dokładnie, celując w niego z karabinów, po czym jeden z nich lufą pokazał, by uniósł do góry ręce. Chciał wytłumaczyć, że nie jest uzbrojony, ale tamten znowu coś krzyknął i zamachał karabinem, końcem lufy uderzając go w łokieć. Założył ręce za głowę.

– Nie jestem uzbrojony – mówił, ale żołnierze nie znali niemieckiego. – Nie mam pistoletu! – próbował tłumaczyć, gdy drugi Polak przeszukiwał go dokładnie. Zatrzymał się dopiero przy nogawce, pod którą wyczuł rękojęść ukrytego w bucie noża. Wyjął go zza cholewki i zamachał mu nim przed nosem, mówiąc coś z zadowoleniem. Miał wrażenie, że słucha szeleszczącej kartki papieru, ale nie mógł zrozumieć ani słowa. Gdy rzucili:

– Gestapo? SS? – gwałtownie zaprotestował.

– Weźcie mnie do jakiegoś oficera – prosił, gdy popchnęli go, by szedł przed nimi z rękami założonymi za głowę.

– Oficer. Zabierzcie mnie do jakiegoś oficera.

Ku swojemu zadowoleniu w ciągu kilku minut znalazł się w znajomym wnętrzu budynku przy Neugarten. Korytarz wejściowy był już uprzątnięty, ale na schodach wały się jeszcze zniszczone dokumenty. Ze ściany zniknął portret Führera, na jego miejscu znalazła się podobizna Józefa Stalina. Malarstwo równie kiepskiej jakości, zauważył. Nie było też flagi ze swastyką, która wcześniej wisiała na klatce schodowej naprzeciwko wejścia. Zastąpiła ją równie czerwona flaga z sierpem i młotem. Żołnierze powiedzieli coś do dyżurnego siedzącego przy prowizorycznie ustawionym biurku i po chwili wepchnięto go do pozbawionego okien pokoju na końcu korytarza. Pomyślał, że nigdy w nim nie był, nie zainteresował się nawet, co kryło się za jego drzwiami. Zawsze przechodził szybko przez parter i wbiegał na piętro do swojego gabinetu, po drodze rzucając krótkie „Heil Hitler!” do sekretarki, brzydkiej panny Rose. Miał nadzieję, że szybko będzie mógł porozmawiać z kimś o większej władzy niż nieznający niemieckiego żołnierz z ulicznego patrolu, jednak minuty mijały, a on ciągle był sam. Najpierw chodził nerwowo od ściany do ściany, choć gdyby rozłożył ręce, pewnie udałoby mu się dotknąć obu. Potem usiadł na jedynym w pokoju krześle, ustawionym w rogu. Układał w myślach, co powie, jakich argumentów będzie używał, zastanawiał się, czy powinien powiedzieć wszystko od razu, czy stopniowo odkrywać swoje atuty. Kiedy był już gotowy do rozmowy, głowa opadła mu ciężko na piersi i usnął. Własne chrapnięcie obudziło go po kilku minutach. Poderwał się, by nie być ospałym, gdyby właśnie teraz ktoś się pojawił. Nasłuchiwał odgłosów zza drzwi, ale kroki przybliżały się

i oddalały, a on ciągle tkwił w pokoju samotnie. Znowu opadł na krzesło i zamknął oczy, próbując wyrównać oddech, bo zaczynał czuć lekkie zdenerwowanie. Obudził się, gdy broda opadła mu na piersi. Rozejrzał się, wstał z krzesła i położył się na podłodze pod ścianą. Choć nie było wygodnie, cieszył się, że przynajmniej jest sucho i ciepło. Szybko usnął.

Gdy otworzył oczy, stał nad nim oficer w sowieckim mundurze. Stał i przyglądał mu się w milczeniu. Zerwał się z podłogi.

– Podobno chciał pan rozmawiać z oficerem – powiedział Rosjanin po niemiecku.

– Tak.

– Słucham?

– Mam do przekazania ważne dokumenty. Mogą wam się przydać.

– O tym my zadecydujemy. Co to za dokumenty?

– Akta gdańskiego gestapo.

Rosjanin przyjrzał mu się uważnie.

– Gdzie są te dokumenty?

– Ukryłem je.

– Skąd mam wiedzieć, że to nie blef?

– Sam się pan przekona.

– Skąd pan je ma?

– Powiedzmy, że miałem do nich służbowy dostęp.

– Służył pan w gestapo?

– Tak.

– I przychodzi pan do nas?

– Tak, mam coś, co powinno was zainteresować.

– Jak się pan nazywa?

– Heinrich Auerbach. Obersturmbannführer Heinrich Auerbach.

– A jeśli pan kłamie?

– W aktach będzie potwierdzenie tego, że mówię prawdę. – Uśmiechnął się.

– I oczywiście chce pan za to wolność?

– Tak, oczywiście. Ale nie tylko.

– Hm, stawia pan warunki?

– Nie, zrozumiałem tylko, że racja jest po waszej stronie.

Rosjanin bez słowa odwrócił się i wyszedł. Szczęknął klucz przekręcany w zamku i Auerbach znowu został sam. Tym razem jednak czekał krótko. Po kilku minutach w drzwiach zjawił się młody żołnierz, który nie patrząc na niego, zakuł go w kajdanki i wyprowadził z pokoju. Droga na piętro była tak znajoma, że mógł iść z zamkniętymi oczami. Wytarte kamienne schody i posadzka, od której kręciło mu się w głowie.

Żołnierz wprowadził go do gabinetu, który jeszcze kilka tygodni temu należał do Hauptsturmführera Weckmanna. Te same meble, lampa bez żarówki, która przepaliła się w styczniu. Tylko na ścianie brakowało zdjęcia Führera.

Nie rozkuwając aresztowanego, żołnierz posadził go na krzesle stojącym na środku. Sam bez słowa stanął przy drzwiach. Po kilku minutach Auerbach usłyszał, że drzwi otwierają się. Znajomy głos radzieckiego oficera. Krótka odpowiedź żołnierza i trzask zamykanych drzwi. Domyślił się, że oficer odesłał strażnika na korytarz.

Rosjanin stanął za biurkiem. Mówił coś, ale Auerbach nie mógł go zrozumieć, bo oficer zwracał się po rosyjsku do kogoś, kto stał za jego plecami.

Rozległo się pukanie do drzwi. Żołnierz, który go przyprowadził, wszedł i postawił obok oficera drugie krzesło. Zasalutował i wyszedł. Oficer zrobił zapraszający gest i zza pleców Heinricha Auerbacha wyłoniła się kobieta. Jej sylwetkę opinał ciemny kostium, prosty, niemal surowy, ale dobrze podkreślający jej figurę. Zapomniał już, jak

wyglądają kobiety noszące żakiety i czyste obuwie. Kobieta usiadła. Założyła wolno nogę na nogę i spojrzała na niego.

Znieruchomiał. Choć miała krótkie źle ostrzyżone włosy, był zupełnie pewien. Mimo sześciu lat, które upłynęły od ich ostatniego spotkania, nic się nie zmieniła. Była szczuplejsza, ale to odejmowało jej lat, więc poczuł się nagle, jakby znalazł się znowu w berlińskim ogrodzie botanicznym, pochylając się nad żółto-czarnymi kwiatami z Borneo. *Paphiopedilum stonei*. Pamiętał do dziś.

– To jest właśnie Obersturmbannführer... – powiedział po niemiecku oficer. – Jak nazwisko?

– Heinrich Auerbach – odpowiedział, nie patrząc na niego.

Był pewien, że i ona go poznała. Miał wrażenie, że zbladła, choć skóra na jej twarzy i tak była biała, niemal przezroczysta. Jej oczy błyszczały. Choć w zwykłym kostiumie nie była tak posągowa, jak w eleganckich drogich sukniach, w których ją kiedyś widywał, nie straciła nic ze swego dawnego blasku. Zawsze miał wrażenie, że kiedy pojawiała się w pobliżu, nieważne, czy wchodziła do pustego małego pokoju, czy do pełnej ludzi, przytłaczającej sali balowej, rozświetlała przestrzeń wokół siebie. Inni mogli tylko grać się w jej blasku. Teraz także go poczuł, choć kiedyś robiła wrażenie zimnej bogini, a teraz stała się bardziej ludzka. Nie mógł uwierzyć, że siedzi tak blisko, że gdyby wyciągnął rękę, dotknąłby jej. Choć pewnie nie mógłby tego zrobić z obawy, że zniknie, okaże się tylko omamem zmęczonego uciekiniera. Poczuł skurcz w żołądku. Serce waliło mu w piersi. Marianna... Nigdy nie wątpił, że przeżyła.

Zawsze wiedział, że była taka jak on, że posiadała umiejętność przetrwania w najtrudniejszych momentach. Sam ją tego nauczył. Nie sądził jednak, że jeszcze kiedykolwiek ją spotka.

– Proszę tłumaczyć, towarzyszeko – powiedział oficer.

– Stenografować? – zapytała Marianna, nie odrywając wzroku od Heinricha Auerbacha. Jej twarz była martwa, ale w oczach widział to, czego szukał przed laty.

– Nie – odpowiedział krótko Rosjanin. – No dobrze. To niech pan mówi, co pan ma, panie Auerbach. Zobaczmy, czy jest warte pana ceny.

ROZDZIAŁ

20

Nie będzie raportu z moich zeznań? Nie? Dobrze, powtórzę, jeśli będzie taka potrzeba.

Nazywam się Heinrich Auerbach. Obersturmbannführer Heinrich Auerbach. Urodziłem się w tysiąc dziewięćset szóstym roku w Bawarii, w małym miasteczku Bad Reichenhall. Mój ojciec był lekarzem, matka zajmowała się mną i czwórką rodzeństwa. Kiedy wybuchła Wielka Wojna, ojciec został powołany do wojska i jako lekarz służył na froncie zachodnim, gdzie przebywał do końca działań wojennych. Zmarł trzy lata po powrocie na galopujące suchoty, których nabawił się w czasie służby. Matka zmarła dwa lata później.

Rodzeństwo? Siostry zginęły w maju czterdziestego drugiego w czasie nalotu na Kolonię. Starszy brat jest kolejjarzem. Od trzydziestego trzeciego pracuje jako urzędnik w Deutsche Reichsbahn w Monachium. Nie służy w wojsku z uwagi na stan zdrowia.

Tak, jest członkiem NSDAP. Od początku. Mój brat, Herbert Auerbach, był jednym z założycieli Deutsche Arbeiterpartei, w Monachium w tysiąc dziewięćset dwudziestym. Führer dołączył do DAP pół roku później. W kolejnym roku DAP przekształciła się w NSDAP. Po wydarzeniach dwudziestego trzeciego Herbert krótko przebywał w więzieniu. Partia została wtedy zdelegalizowana, ale po dwóch latach znowu prowadziła legalną działalność. Jednak mój brat, choć posiada legitymację z bardzo niskim numerem i mógłby zapewne zrobić karierę w Berlinie, nie chciał już brać czynnego udziału w aktywnej działalności partyjnej. Nie chciał też opuszczać Bawarii i nie wykorzystywał swoich znajomości z partii.

Młodszy brat Hans Auerbach służy w Kriegsmarine jako Oberleutnant zur See na u-bootach. Nie mam z nim kontaktu.

Do śmierci matki przebywałem w Bad Reichenhall. Potem wyjechałem do Monachium. Partia była wówczas zdelegalizowana, ale dawni towarzysze trzymali się razem. Dzięki działalności mojego brata znalazłem się w środowisku, które po wyjściu Führera powołało ją ponownie. W dwudziestym piątym stałem się jej członkiem.

Dzięki partii znalazłem się w Berlinie, gdzie rozpocząłem studia na wydziale prawa Friedrich-Wilhelms-Universität. Ponieważ miałem zdolności do nauki języków, po roku rozpocząłem studia filologiczne. Dziś mówię biegle po angielsku, francusku, włosku i hiszpańsku. Znam także języki klasyczne – grekę i łacinę.

Nie, języka rosyjskiego nie znam.

Jesienią trzydziestego pierwszego rozpocząłem pracę w pionie wywiadowczym Abwehry. Moim zadaniem było werbowanie tajnych współpracowników, którzy działali na terenie Polski. Byłem w stałym kontakcie z ekspozyturami w Königsbergu i przede wszystkim w Wolnym Mieście. W związku z konfliktem szefa Abwehry z szefem SD odszedłem do służby w tej ostatniej, gdzie mogłem wykorzystać swoje dotychczasowe doświadczenia w służbie mojej ojczyźnie.

Latem trzydziestego ósmego zostałem skierowany do pracy w Wolnym Mieście. Tutaj nadzorowałem pracę zwerbowanych wcześniej agentów, a także koordynowałem pozyskiwanie nowych agentów i ich działanie na terenie Wolnego Miasta.

Kiedy z rozkazu Heinricha Himmlera powołano Reichssicherheitshauptamt, znalazłem się w departamencie IV A.

Tak, gestapo.

W początkowej fazie mojej działalności zajmowałem się zwalczaniem ruchu oporu w Danzigu. Przygotowywałem obóz przejściowy w Victoriaschule, gdzie w pierwszych dniach września trzydziestego dziewiątego kierowano

zatrzymanych polskich aktywistów, prowadzących działalność antyniemiecką.

Nie byłem zaangażowany w organizowanie KL Stutthof.

Tak, więźniów z Victoriaschule transportowaliśmy do KL Stutthof.

Następnie zostałem przeniesiony do departamentu IV C. W referacie pierwszym tego departamentu zajmowaliśmy się aktami personalnymi. Dlatego właśnie posiadałem dostęp do wszystkich akt osobowych agentów działających na terenie Danzig zarówno w czasie istnienia Wolnego Miasta, jak i po wybuchu wojny. I właśnie te akta mogę teraz przekazać.

Co się w nich znajduje? Myślę, że lista konfidentów pracujących na rzecz Trzeciej Rzeszy w latach trzydziestych oraz działalność polskojęzycznej grupy gestapo na terenie całego Pomorza powinna was zainteresować.

Tak, polskojęzyczna grupa gestapo. Ta sama, która współpracowała z NKWD do czterdziestego pierwszego. Przecież wiecie...

Tak jest. Polskojęzyczna grupa gestapo została utworzona dziesięć lat temu w Wolnym Mieście przez naszego gauleitera Alberta Forstera, który w trzydziestym piątym zorganizował w Oliwie spotkanie waszego działacza Karola Radka z pułkownikiem SS Walterem Nicolai. Do czterdziestego pierwszego współpraca naszego gestapo z waszym NKWD układała się wzorcowo.

Nieprawda? Jesteśmy tutaj sami, a wy nie protokołujecie moich zeznań. Nie musimy uprawiać propagandy! Będziecie teraz zaprzeczać, że do czterdziestego pierwszego współpracowaliśmy ze sobą?

Tak, oczywiście. Jestem spokojny.

Polskojęzyczna grupa gestapo jest czynna do dziś, a nasi agenci są nadal w terenie. Dzięki ich działaniom udało się zlikwidować wielu przeciwników Trzeciej Rzeszy na tym obszarze. Wielu przeniknęło w struktury organizacji Gryf Pomorski.

To polscy bandyci, którzy działali na naszym terenie. Związani z Kościołem katolickim. Myślę, że będziecie zainteresowani ich nazwiskami. Skoro katolicy, to chyba nie będą też lubić Armii Czerwonej... Dla nich my i wy nie różnimy się od siebie.

Tak, mogę przekazać ich akta.

W tych dokumentach będzie potwierdzenie moich słów.

Oczywiście, możecie teraz wyprowadzić mnie stąd i wykonać natychmiastowy wyrok na nazistowskim przestępcy. Jednak osobiście uważam, że bardziej będzie opłacało się pozostawić mnie przy życiu.

Nie, zanim wam je przekażę, chcę, by nasza transakcja została doprowadzona do końca.

Nie, nie chcę, żebyście mnie przerzucali do Niemiec. Tam z pewnością czekałby mnie proces i więzienie. Wasi nowi sojusznicy nie będą zainteresowani współpracą z takimi jak ja. A ja nie przyszedłem tutaj, żeby pchać się do więzienia albo na stryczek. Mógłbym ukryć się gdzieś, rozpląnąć w ruinach, które dzięki wam mamy za oknem. Przeczekać, wyrobić fałszywe dokumenty. Ale jestem człowiekiem czynu. Lubię brać udział w kształtowaniu rzeczywistości.

Moja cena? Powiedzmy, że po latach służby w aparacie Trzeciej Rzeszy doszedłem do wniosku, że był to zbrodniczy system. Omamiony hasłami propagandowymi, którymi karmili nas przywódcy, działający wbrew prawdziwemu interesowi mojej ojczyzny, stałem się jego uczestnikiem. Nie miałem jednak pełnej wiedzy o działaniach podejmowanych przez aparat państwowy. Dlatego teraz, w pełni skruszony, chcę oddać swoją wiedzę słusznej sprawie, właściwej stronie czy jakkolwiek się nazwiecie. Możecie urządzić mi proces tutaj, gdzie działałem, wolałbym jednak, żeby wyrok nie był surowy. Nie po to, jak powiedziałem, przyszedłem tu do was. Dlatego nie mam nic przeciwko na przykład nowej tożsamości, nowej historii albo nowemu nazwisku. Jeśli będzie taka potrzeba, mogę nauczyć się rosyjskiego. Jak mówiłem, mam talent do języków.

Tak, jeśli spełnicie moje warunki, przekażę całą dokumentację. Akta członków polskojęzycznej grupy gestapo i akta tych, z którymi musieli walczyć. Nazwiska, adresy, opis działalności. Wszystko, co jest potrzebne. Bardzo ułatwi wam to działanie, prawda?

Zgadza się?

Dobrze, poczekam. A jaką ja mam gwarancję, że dotrzymacie słowa?

No tak. Musimy sobie zaufać.

ROZDZIAŁ

21

– Nie sądziłam, że cię jeszcze zobaczę – powiedziała Marianna, kiedy sowiecki oficer zniknął za drzwiami.

Wskazał na żołnierza, który tkwił przy drzwiach, wpatrując się w przestrzeń ponad ich głowami.

– On nie zna niemieckiego. Złoży tylko raport, że rozmawialiśmy, kiedy Szygalew wyszedł – uspokoiła go.

Chciał wstać, podejść do niej, dotknąć. Ale Marianna siedziała sztywno na swoim krześle. Skrzyżowała ręce na kolanach i starała się, by jej twarz była obojętna. Wiedział, że on także musi udawać.

– Nie bój się. Usunąłem wszystkie dokumenty dotyczące ciebie – powiedział po chwili.

– Nie boję się. Opowiedziałam im swoją historię.

– O naszej współpracy? To znaczy o współpracy z Abwehrą, o szpiegowaniu Polaków w Danzig?

– Tak, o wszystkim. – Miał wrażenie, że w jej oczach dostrzegł ledwie zauważalny kpiący uśmieszek, który uniósł też kącik pozbawionych szminki ust. Poczul się nieswojo i po raz pierwszy tego dnia dotarło do niego, że Marianna jednak jest po drugiej stronie.

Uniósł zeszywniałe od uścisku kajdanek dłonie i próbował je rozmasować. Patrzyła na niego bez słowa.

– Uwierzyli ci? – zapytał po chwili.

– Powiedzmy, że miałam kogoś, kto potwierdził moje zeznania.

Nie miał odwagi, by zapytać, czy ona zrobiłaby to samo dla niego.

– Myślisz, że i mnie uwierzą?

– A mówisz prawdę?

– Chcę przeżyć.

Cisza była nieznośna.

– Nie sądziłem, że trafisz do Sowietów. Myślałem, że przedostaniesz się na Zachód – znowu odezwał się pierwszy.

– Nie zdążyłam. Całą wojnę spędziłam w Gdyni.

– Byłaś w Gotenhafen? Cały czas? – Nie mógł uwierzyć, że przez te wszystkie lata była tak blisko.

– Tak – znowu ten nieznaczny uśmiech w kąciku warg. – Cały czas. Ukrywałam się. Byłam bezpieczna. Nikt mnie nie szukał.

Gdzieś w środku poczuł zadowolenie. Choć dawno zapomniał o Jucie Buschke, pamiętał dobrze, że życiem prostytutki z Hakelwerku kupił spokój Marianny.

– Poza tym nauczyłeś mnie, jak przetrwać. – Przyglądała mu się intensywnie. Jej oczy nadal miały tę niewiarygodnie błękitną barwę, a on ciągle miał ochotę się w nich zatopić. Zawsze chciał w nich utonąć, zagubić się, zatracić. Gdyby tylko mu pozwoliła. Ale ona zawsze potrafiła zachować dystans. On podążył za nią, jak pies, gotowy, by jej służyć. Ona pozwalała mu się na chwilę do siebie zbliżyć, a potem odwracała się bez słowa, by odejść. Choć zaczął jako oprawca, zmuszający do działań, których ona nie chciała podejmować, skończył jako ofiara, która gotowa była na każde poświęcenie.

– Zawsze chciałem tylko twojego dobra. Wiesz o tym.

Nie odpowiedziała.

– Mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze... w innych okolicznościach. I po tej samej stronie. Chciałbym móc z tobą porozmawiać... bez świadków. – Miał wrażenie, że żołnierz przy drzwiach wpatruje się w jego plecy.

– Kim jest ten rusek? Ten oficer, który mnie przesłuchiwał.

– Towarzysz Szygalew? Major NKWD. Naprawdę nazywa się Szaglewski. Polski komunista z kominternowską przeszłością. Ale miły człowiek. Nie trafiłby do materiałów propagandowych Rzeszy.

Pomyślał, że Marianna naprawdę posiadała dar przetrwania. I nadal potrafiła sprawiać, że świat był taki, jakim ona chciała go widzieć. Nawet po sowieckiej stronie.

– Jest twoim kochankiem? – Nie mógł się powstrzymać.

Roześmiała się.

– Nie.

– A będzie?

– Tego nie wiem. – Znowu uśmiech. Lekko kpiący.

Zamilkł.

Po długiej chwili za jego plecami otworzyły się drzwi. Marianna wstała. Domyślił się, że Szygalew wrócił.

Major stanął za biurkiem. Skinął głową w jego stronę i Heinrich Auerbach poczuł silny uścisk mocnych dłoni na swoich ramionach. Ktoś podniósł go z krzesła. Ktoś rozkuł kajdanki, wykręcił ręce do tyłu i zakuł je ponownie, krzyżując za plecami. Ogłuszony, gwałtownie łykał powietrze.

– Nie wierzycie mi? – Zaklął cicho pod nosem, zgięty w pół. Przez głowę przemknęła mu myśl, że tym razem chyba się przeliczył, a Sowieci nie zachowują się tak, jak to sobie wymyślił. Z wściekłością popatrzył na Mariannę. Wydawało mu się, że przyglądała się obojętnie całej scenie, odsunawszy się o krok do tyłu.

Szygalew znowu skinął głową. Ktoś za Heinrichem Auerbachem odsunął głośno krzesło, na którym wcześniej siedział, i pchnął go w stronę wyjścia.

– Mówię prawdę! – Auerbach próbował wyrwać się z uścisku. – Prawdę! Słyszysz, Szygalew? – Szamotał się z kimś, kto trzymał go, niemal miażdżąc kości.

Szygalew nie zareagował. Marianna odwróciła głowę.

– Marnujesz swoją szansę! – wykrzyczał z korytarza. – Ciekawe, co powiedzą twoi przełożeni, kiedy się o tym dowiedzą! Jesteś głupcem! Słyszysz, majorze Szygalew? – Spojrzał jeszcze na Mariannę. – No, przetłumacz mu to! – Drzwi gabinetu Hauptsturmführera Weckmanna zatrzasknęły się głośno.

W pokoju zrobiło się cicho, choć z korytarza dochodziły jeszcze odgłosy szamotaniny.

– Wam też na razie dziękuję, towarzyszeko Marianno. – Szygalew usiadł za biurkiem, wyjął z szuflady zmiętą paczkę machorki i głową wskazał drzwi, przy których nadal stał strażnik, spoglądający obojętnie w przestrzeń ponad nimi.

– Tak jest, towarzyszu majorze. – Marianna skinęła głową i wyszła. Szygalew patrzył na nią, aż zniknęła.

Gdy drzwi zamknęły się za nią z cichym trzaśnięciem, złożył starannie garść machorki na kawałku bibuły i zrolował ją powoli.

– No, chodźcie tutaj – powiedział, nie podnosząc głowy.

Strażnik podeszedł do jego biurka.

– Rozmawiali? – Szygalew włożył papierosa do ust i zapalił.

– Tak jest, towarzyszu majorze – wyrzucił z siebie żołnierz.

– O czym?

– On powiedział, że towarzyszeko Walewicz nie ma się czym martwić, bo on usunął wszystkie dokumenty jej dotyczące. Ona odpowiedziała, że się nie boi, bo powiedziała wszystko. On pytał, kim jest towarzysz major. Ona odpowiedziała, że towarzysz jest bardzo miły. On powiedział, że chciałby się spotkać z nią w innych okolicznościach. Ona mu nie odpowiedziała. On zapytał... – żołnierz zająknął się i zamilkł.

– No, mówcie! – Szygalew patrzył na gęste obłoki dymu, które unosiły się ponad jego głową.

– On zapytał, czy towarzysz major jest...

– No, do cholery!

- Zapytał, czy towarzysz major jest związany z towarzyszką Walewicz.
- Szygalew podniósł wzrok na żołnierza.
- I co odpowiedziała? – zapytał powoli.
- Że nie.
- Znaczący znają się – powiedział wolno major i znowu wypuścił z ust obłok dymu.
- Tak jest.
- Nie ciebie pytałem, idioto! – zirytował się oficer. – No już! Wyjdź stąd!

Gdy drzwi trzasnęły, major Szygalew położył nogi na biurku i zaciągnął się głęboko machorkowym dymem, a potem patrzył, jak uwalniany z płuc obłok unosi się w powietrzu, jeszcze raz drażniąc nos. Lubił machorkę, choć wiedział, że to tytoń najpodlejszego gatunku. Tak mówił kiedyś ojciec i major Szygalew przyznawał mu rację, choć czynił to wyłącznie w samotności pustego pokoju. Ojciec majora nazywał się Szaglewski i palił najdroższe krajowe cygara Coronas. Major pamiętał jego niesforne czarne loki, które sprawiały, że sylwetka pana Antoniego stawała się jeszcze bardziej zwalista i przytłaczająca. Pamiętał dobrze tamten zimowy wieczór, gdy jego tubalny głos obudził go, choć pokój dziecięcy znajdował się na samym końcu korytarza mieszkania przy placu Halickim. Ojciec był tak podekscytowany, że matka musiała zaciągnąć go do gabinetu, gdzie za zamkniętymi drzwiami opowiadał jej o Rafaelach, Rembrandtach, Rubensach i van Dyke'ach, które tego dnia przyjechały do Lwowa z Sutkowic, a jego głos robił się coraz głośniejszy, bo ojciec, opowiadając, coraz bardziej się podniecał i zapominał o napomnieniach matki. On wymknął się wtedy z pokoju i stojąc pod drzwiami, słuchał jego opowieści, choć nic z tego, co słyszał, nie rozumiał. Kiedy odezwała się matka, pobiegł ile tchu w piersiach z powrotem do siebie, a wtedy ze służbówki wychyliła się Anhelina, najlepsza na świecie kucharka i zarazem najgorsza gospodyni, która jednak podporządkowała sobie w mieszkaniu przy placu Halickim wszystkich, włącznie z surową panią Szaglewską, i zawołała ze zniecierpliwieniem: „Spati, Sasza! Spati!”, na tyle jednak cicho, by rodzice nie usłyszeli. Bardzo kochał Anhelinę, bo chociaż pohukiwała groźnie na wszystkich, którzy znaleźli się w jej pobliżu, dla niego miała zawsze słodkie pampuszki. Wyciągała je z głębokich kieszeni swojej olbrzymiej marszczonej wokół obfitej talii spódnicy i od najmłodszych lat wiedział, że w fałdach grubego materiału znajdują się zawsze dla niego ulubione bułki.

Anhelina kojarzyła mu się z dzieciństwem, tak jak zapach cygar ojca i lwowskie mieszkanie z widokiem na plac Halicki. Jednak kiedy wybuchła wojna, a na ulicach pojawili się carscy, zapadła decyzja, że pani Szaglewska, po ojcu Rosjanka, wraz z dwunastoletnim wówczas Saszą przeniesie się do Samary, gdzie jej brat prowadził dobrze prosperującą praktykę lekarską. Choć Samara była początkowo obca i w tej obcości przerażająca, to tutaj major Szygalew dorastał, a kiedy pytano go, skąd pochodzi, zawsze wymieniał Samarę, bo Lwów wydawał mu się zbyt polski i burżuazyjny.

Samara nie okazała się tak spokojna, jak sądził ojciec. Gdy z Piotrogradu dochodziły informacje o rewolucyjnych zamieszkach, nikt się nimi w Samarze specjalnie nie przejmował. Kiedy od bolszewickich flag zaczerwieniły się ulice miasta nad Wołgą, matka żegnała się w trwodze każdego dnia. Od pierwszego dnia sowieckich rządów próbowała wyjechać do Lwowa, ale major Szygalew wyjeżdżać nie chciał. Tamtego dnia, gdy żegnał matkę na dworcu kolejowym, widział ją po raz ostatni. Zamiast do Lwowa pojechał do Mińska, gdzie pod okiem komisarza Korfelda został dobrze wyszkolonym rewolucjonistą. Po udziale w tłumieniu powstania w Kronsztadzie przeniesiono go do Moskwy, tam zmieniawszy obywatelstwo na sowieckie, mógł spokojnie dążyć do stanowiska komisarza NKWD. Kiedy na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego w Smoleńsku organizowano Szkołę Aleksandrowską, został jednym z wykładowców. Dzięki poleceniu podpułkownika Strielcowa, który szkołą kierował, major Szygalew znalazł się później wśród kadry pułkownika Żurawlewa na kursach w Gorkim. Potem wrócił do Moskwy, krótko zajmował się szkoleniem grup sabotażowo-dywersyjnych, by w końcu dołączyć do Armii Czerwonej posuwającej się już na zachód. Nie brał udziału w operacji Burza, ale kiedy zdobyto Lwów, po raz pierwszy od dnia wyjazdu do Samary, którą przemianowano już na Kujbyszew, znalazł się w rodzinnym mieście. Przy placu Halickim nikt nie znał losów państwa Szaglewskich. Sąsiedzi, którzy strachem witali nieznanego oficera NKWD, nie wiedzieli, co stało się z rodzicami majora, bo nikt nie widział ich już od miesięcy.

Major Szygalew nie próbował ich dalej szukać.

Gdańsk był tylko przystankiem w drodze do Berlina, ale zastanawiał się, czy nie wnioskować o pozostawienie go tutaj. Miasto wymagające zagospodarowania od podstaw wydawało mu się kuszącą perspektywą, choć podniesienie go z ruin wydawało się męczącą pracą, która wymagała zgody na szereg niedogodności. Ale major Szygalew nie miał właściwie wygórowanych potrzeb. Nauczył się żyć bez przywiązywania się do ludzi i przedmiotów. Ważna była idea. Idea własnej kariery. Dlatego tak łatwo zrozumiał tę esesmańską swołocz.

ROZDZIAŁ

22

Franz Thiedtke nie przejmował się ostrzeżeniami. Kiedy Johanna Gruber powiedziała, że będzie pomagać niemieckim lekarzom w szpitalu przy Delbrückalle, natychmiast poprosił o możliwość wejścia na jego teren. Ciągłe zastanawiał się, gdzie powinien szukać Auerbacha, starając się jednocześnie odtworzyć sposób jego rozumowania. Był przekonany, że Obersturmbannführer Auerbach był w Danzig, zapewne dobrze zakonspirowany w miejscu, w którym w swoim mniemaniu mógł bezpiecznie doczekać końca wojny, aby jako cywil znaleźć się w transporcie Niemców wysyłanych do Rzeszy lub tego, co z niej pozostało. Franz na razie nie zastanawiał się, co zrobi, gdy go odnajdzie, ale myślał ciągle, gdzie w ruinach miasta mógł ukryć się człowiek, którego szukał.

Nie spodziewał się tego, co zobaczył w szpitalu. Dobrze znał kompleks przy Delbrückalle. W latach służby w policji był częstym gościem w tamtejszym prosektorium i pamiętał podziw, jaki wywołał w nim szpital, gdy po czterech latach budowy oddano go do użytku. Nowoczesny, dobrze wyposażony, był jednym z najlepszych ośrodków w całych Prusach. Bombardowania oszczędziły budynki, ale wokół widać było ślady pospiesznej ewakuacji. Łóżka szpitalne, rozrzucone strzykawki, zepsute stetoskopy leżały na zdeptanych trawnikach, pod nogami chrzęściło szkło z potłuczonych butli, słoików i fiolek laboratoryjnych. Okna budynków przy Delbrückalle były oklejone taśmami, jednak wiele szyb wyleciało w czasie wybuchów. Kilka osób po drugiej stronie ulicy porządkowało kawałek chodnika. Z uliczki za głównym budynkiem szpitala wyjechała ciężarówka, która potoczyła się powoli w stronę Langfuhr.

Kiedy wszedł do środka, nikt go nie zatrzymywał. Nikt nie zwrócił uwagi, gdy wchodził na pierwsze piętro, mijając chorych o zapadniętych policzkach, twarzach zastygłych w strachu, niedowierzaniu, bólu, o pustym wzroku, który wciąż patrzył na zalany w czasie bombardowania schron przy Markthalle, płonący skład opału Wandel, który przed wojną reklamował się w całym mieście znany hasłem „Cały Gdańsk pali węglem od Wandla”, strzelnicę przy Horst Hoffman Wall, gdzie żywcem upiekły się kobiety i dzieci, konie i bydło; na leżące na ulicach żony, matki i córki odarte z odzieży, zgwałcone i martwe, o wzroku równie pustym, co ich własny. Stłoczeni na szpitalnych łóżkach, leżący na rzuconych pospiesznie na podłogę siennikach, cierpieli na tyfus, rzeżączkę i kiłę. Ofiary własnych działań, wyborów i światopoglądu, który przez ponad dekadę głosiły z niezachwianym przekonaniem. Teraz przyszedł czas na zapłatę, choć rachunki regulowano dłońmi, nogami i stopami, które zostały na Krestmarkt i Kohlenmarkt, na Junkergasse i Jopengasse, na strychach i w piwnicach palonych domów w całym mieście.

Franz Thiedtke długo błędził wśród chorych, którzy wpatrywali się w niego w milczeniu, wyciągali ręce, wykrzykując imiona nieistniejących już bliskich, prosili cicho o wodę lub w ogóle nie zauważali jego obecności.

– Co pan tu robi? – Na pytanie lekarza, który stanął za jego plecami, w pierwszej chwili nie zareagował. Dopiero gdy lekarz powtórzył, odwrócił się w jego stronę, zrozumiawszy, że pytanie skierowano do niego.

– Szukam Johann Gruber – odpowiedział. – Pracuje tu jako pomoc pielęgniarska.

– Proszę pana, ja nie znam żadnej Johann Gruber. Proszę stąd natychmiast wyjść. W szpitalu panuje tyfus. Już się pan pewnie zaraził.

– A doktor Klein? Wie pan coś o nim?

– Proszę iść. – Lekarz był poirytowany.

– Mówi pan po niemiecku. Musi pan być z Danzig. Doktor Klein był tu chirurgiem. W zespole profesora Klose.

– Doktor Klein został ewakuowany. – Głos lekarza nieco złagodniał. – Proszę pana, dla własnego dobra proszę stąd iść.

Na zewnątrz było już niemal zupełnie ciemno. Z Delbrückalle na Hermanshöferweg nie było daleko, ale przeszył go dreszcz na myśl o tym, że będzie musiał przedzierać się między ruinami w zupełnych ciemnościach. Światła z okien głównego budynku szpitala oświetlały ulicę, która kilkanaście metrów dalej rozplywała się w mroku. Podniósł kołnierz i wcisnął się głębiej w płaszcz Willy'ego Schulze. Wieczór był zimny.

Franz ruszył przed siebie, ale zamiast skierować się w stronę swego mieszkania, skręcił za głównym budynkiem i wszedł między zabudowania szpitalne. Pomyślał, że kostnica, w której bywał tyle razy w czasie policyjnej służby, musi być w tym samym miejscu. Idąc, zastanawiał się, jak przekona kogoś, kto będzie mógł wpuścić go do środka, bo nie miał niczego, czym mógłby go przekupić. Niemieckie marki nie miały już żadnej wartości, kartek żywnościowych jeszcze nie dostał, nie miał też papierosów ani nawet zapalek, które mógłby oddać, by znaleźć się wewnątrz.

Otworzył znajome drzwi i wszedł do budynku, gdzie znajdowała się kostnica. Korytarz był pusty i tonął w ciemnościach. Musiał poczekać do rana. Chwilę zastanawiał się, czy wracać na Hermanshöferweg. Następnego dnia rano musiał zgłosić się na posterunek milicji, by stamtąd wyruszyć do prac przy odgruzowywaniu Langfuhr. Do sześćdziesiątych szóstych urodzin pozostało mu jeszcze kilka miesięcy, musiał więc pracować, by nie trafić do więzienia na Schiesstange. Za pracę dostawał kilka polskich złotych, bo nie był ani inżynierem, który mógł pomóc w stoczni, ani lekarzem, który ratował tych, których ratować jeszcze było można. Odgruzowywał tylko miasto, zdejmował z drzew tych, których powieszono, albo tych, którzy sami się powiesili, i zbierał zwłoki z ulic i parków. Nad całym miastem unosił się fetor rozkładających się ciał, wybuchła już epidemia tyfusu i trzeba było coraz szybciej pracować przy uprzątnięciu trupów ludzi i zwierząt. Ciągłe nie mógł przyzwyczaić się do tego, co robił, ale przynajmniej miał co jeść. Zastanawiał się, co dzieje się z Heleną, miał nadzieję, że w Gdingen, nie tak zburzonej jak Danzig, sytuacja jest lepsza.

Postanowił już, że gdy odnajdzie Heinricha Auerbacha i dopełni swojej obietnicy złożonej w piwnicy przy Adolf Hitler Strasse, opuści Langfuhr, wróci do Gdingen i wcale nie będzie namawiał Heleny do tego, by opuszczali tamto miasto. Nie mógł jej narażać na życie, które czekało ją tutaj, w Danzig. O siebie już nie dbał.

Znalazł miejsce w kącie pod oknem i wcisnął się pod parapet, by nikt z zewnątrz nie mógł go zobaczyć. Usnął szybko, dopiero teraz czując zmęczenie. Nie wiedział, ile czasu minęło, gdy obudziło go szarpnięcie. I jeszcze jedno, bardziej gwałtowne. Otworzył oczy. Nikłe światło z karbidowej lampki w pierwszym momencie niemal go oślepiło. Lampka znajdowała się tuż przy jego twarzy. Zamrugał oczami, które zwilgotniały od bliskiego płomienia. Lampka powędrowała do góry i wtedy zobaczył, że stoi nad nim mężczyzna. Jego twarzy nie widział, ale słyszał ciężki oddech.

– Tu nie wolno spać – powiedział mężczyzna. – Idź stąd.

Franz bez słowa podniósł się z zimnej podłogi. Gdy wstał, okazało się, że mężczyzna jest przygarbionym staruszkiem. W świetle lampy widział jego pomarszczoną, porośniętą siwą szczecinę twarzy.

– Już idę. Nie wiedziałem, że ktoś tutaj jest.

– Zaraz! – Staruszek wspiął się na palce i przysunął twarz do twarzy Franza, który odruchowo odsunął się do tyłu. – Ja pana znam. – Zastanowił się chwilę. – Już wiem! – Klepnął się z radości po udzie. – To pan komisarz! Pan komisarz Franz Thiedtke, prawda?

Franz powinien zaprzeczyć. Nie chciał, by ktokolwiek wiedział, kim jest. Ale starzec go uprzedził.

– Jestem Otto. Otto Werner, ogrodnik. Nie pamięta pan? Strzygłem trawniki. Pan tutaj przychodził, ja pana znam. – Wydawał się szczerze zadowolony.

– Zaraz... Stary Otto? – Tak, rzeczywiście. Franz przypominał sobie teraz. Stary Otto, który całymi dniami płątał się wokół zabudowań szpitala.

– Tak! Właśnie! Już przed wojną byłem stary. – Staruszek roześmiał się. – Co pan tu robi, panie komisarzu? – zapytał, ale nie czekał na odpowiedź. – A to dopiero spotkanie! Proszę, niech pan idzie ze mną. – Pociągnął Franza za rękaw. – Ja mam tu taki pokoik, może się pan tam przespać. Ten szpital to nie jest teraz najlepsze miejsce, ale dom, w którym mieszkałem, spalił się. Dali mi ten pokoik i pilnują budynku. Wie pan, w nocy nikt nie chce tu

wchodzić – mówił, gdy szli korytarzem. Po chwili zatrzymali się. W ciemności skrzypnęły drzwi. Weszli do małego pomieszczenia, które kiedyś musiało służyć za magazyn, bo zastawione było szafami. Między jedną z nich a ścianą z oknem wychodzącym na szpitalne podwórze wciśnięty był siennik przykryty kołdrą. Kołdra była z jednej strony nadpalona.

– No, to nie luksusy, ale może się tu pan komisarz przespać – powiedział starszek, stawiając lampkę na parapiecie.

– Dziękuję panu, panie Otto. Ale wie pan, właściwie to... ja tu przyszedłem, bo szukam przyjaciela. – Franz potarł brodę. Uświadomił sobie, że jego twarz także pokryta była siwą szczecią. – Szukam kogoś... sędzę, że jest w Danzig, ale nie wiem gdzie.

– Tak, rozumiem pana. Co dzień przychodzą tu tacy jak pan. – Starszek pokiwał głową.

– Nie wiem nawet, czy żyje. Mam taką nadzieję, ale pomyślałem sobie, że może nie. Dlatego chciałem zobaczyć, czy nie ma go tutaj.

– Oczywiście, panie komisarzu. Jeśli pan chce, możemy zejść do kostnicy od razu. Ale może pan zostać tutaj do rana. Nie ma światła, rano będzie łatwiej.

– Z tego, co pamiętam, w kostnicy nie ma okien.

– Tak, ale trupki leżą też na korytarzach. Dużo ich tu jest, wie pan.

– Jeśli da mi pan lampę, to chętnie pójde sam. Znam ten budynek.

– Nie, nie. Nie puszczę tam pana samego, zwłaszcza po nocy. – Roześmiał się Otto Werner. Wziął lampkę i poprowadził Franza do piwnicy.

Gdy znaleźli się na dole, Franz nacisnął klamkę pomieszczenia, gdzie dokonywano sekcji zwłok. Otto Werner odwrócił się, oświetlając swoją twarz.

– Nie, tutaj nie wolno. – Skrzywił się. – Tu nie ma nic ciekawego – powiedział z przekonaniem. – Tutaj pracował dyrektor Spanner razem ze swoim zastępcą, profesorem Wohlmannem. Pamięta pan profesora Rudolfa Spannera?

– Nie, nie poznałem go.

– Przyjechał do nas z Frankfurtu. W czterdziestym roku został dyrektorem Instytutu Anatomii. No, chodźmy do chłodni. Tam trupki trzymają. – Otto Werner odwrócił się i poszedł dalej. – Już działa agregat, to można trzymać kilka dni. A jak nikt się nie zgłosi, to zabierają i chowają zbiorowo. NN, rozumie pan.

Chłodne powietrze uderzyło ich w twarze, gdy weszli do sali, gdzie jeszcze przed wojną trzymano zwłoki. Franz nieraz był tu świadkiem identyfikowania ofiar morderstw, które badał w czasie swojej długiej policyjnej kariery. Tamten czas wydawał mu się tak odległy, że sam dziwił się napływającym teraz wspomnieniom. Sprawiały wrażenie, jakby należały do kogo innego, bo tamtego Franza Thiedtkego, komisarza policji kryminalnej w Danzig, już dawno nie było.

Długie rzędy otwartych szaf, w których układano martwe ciała, były pełne. Kiedyś opatrywano je kartkami, na których starannie kaligrafowano imiona i nazwiska nieboszczyków. Teraz zwłoki upchane były ciasno, kobiety, dzieci, mężczyźni, wszyscy razem, w ubraniach i bez identyfikujących ich karteczek.

Franz wziął od Otto Wenera lampkę i trzymając ją przed sobą, przeszedł wzdłuż szaf przeznaczonych do przechowywania zwłok. Pod pustą ścianą zobaczył kolejne ciała, te, dla których nie było już miejsca na półkach. Odwrócił się do starego ogrodnika i oddał mu lampkę.

– Panie Otto, nie będę tu szukał przyjaciela. Nie będę też czekał do rana. Ale dziękuję panu bardzo.

Wybiegł na ciemny korytarz, potknął się o coś i omal się nie przewrócił. Trafił rękami na zimną ścianę i opierając się o nią, zgął się wstrząśnięty gwałtownym skurczem żołądka.

– Niech pan rzyga! – Usłyszał za sobą głos Ottona Wenera, który wyszedł z chłodni i zamykał za sobą drzwi, bez pośpiechu przekręcając klucz w zamku. – Każdy, kto tu przychodzi, rzyga. A mnie to nie przeszkadza.

„A dym ich katuszy na wieki wieków się wznosi i nie mają spoczynku we dnie i w nocy – Franz przypomniał sobie biblijny cytat, gdy żołądek znowu próbował się w nim rozerwać na strzępy – czciciele Bestii i jej obrazu, i ten, kto bierze znanie jej imienia”.

– Tak, ja zawsze tak miałem, że ludzkie zwłoki nie robiły na mnie wrażenia – powtórzył starszek.

ROZDZIAŁ

23

Franz Thiedtke szedł w dół Feldstrasse. Z ciemności, do której jego oczy przyzwyczajały się powoli, wyłaniały się korony drzew i dachy nielicznych na tej ulicy budynków. Ich rozmyte kształty zarysowały się niewyraźnie na tle pokrytego gwiazdami nieba. Niewiele widział. Szedł przed siebie, kierując się własną pamięcią. Ale tak było lepiej. Obrazy pod powiekami przywoływały czas, który chciałby przywrócić, tak bliski, a jednak tak odległy, prawie namacalny, a już nieistniejący.

Gdyby skręcił w prawo, doszedłby do Danzig. Za parkiem Steffensa zobaczyłby żurawie w stoczni Schichaua, a potem minąłby dworzec i skręcił na Kohlenmarkt, by odnaleźć kamienicę, w której spędził z Waltraud najpiękniejsze lata. Pamiętał jeszcze odgłos swoich kroków, gdy wracał wieczorem z Prezydium Policji. I twarz Waltraud, czystą i młodą, nawet gdy poznały ją zmarszczki. Gdyby cofnął się w czasie, gdyby wiedział, że każda chwila może być cenna, poszedłby do kina UFA Palast przy Elisabethkirchengasse, a potem do winiarni Lautenbachera. W dzień targowy zagubili się w tłumie kucharek, gospodyń i tych pań domu, które musiały same wyprawić się na zakupy do Markthalle, albo wolnym krokiem przespacerowałyby się po Fischbrücke, kłaniając się handlarkom z Bohnsack, zjawiającym się tutaj każdego ranka z koszami pełnymi ryb, które przed wschodem słońca złowili ich mężowie. Pod przymkniętymi powiekami widział refleksy odbijające się od burt statków i barek zacumowanych na Motlau. Na twarzy czuł podmuchy wiatru, które przedostawały się przez Brotbänkertor i Kuhtor, by zaraz rozbić się o wąskie fasady stojących za nimi kamienic. I tylko zapach, unoszący się wokół śwąd spalenizny, którym przesiąkła nawet skóra tych, co w Danzig pozostali, nie pozwalał zapomnieć, że nie było już ani handlarek nad Motlau, ani piwiarni, ani kina, ani Kohlenmarkt, ani Fischbrücke.

Skręcił w lewo. Gdy dotarł do Heiligenbrunnerweg, było już niemal zupełnie jasno. Nie miał zegarka. Nie wiedział, która godzina, zdecydował więc, że od razu pójdzie na posterunek polskiej milicji, gdzie musiał meldować się każdego poranka, by dostać skierowanie do pracy. Bez pracy nie miałyby kartek żywnościowych, a bez nich łatwo trafiłyby na Schiesstange za szaber.

Minął Hermanshöferweg i poszedł dalej. Na Jäschkentaler Weg zatrzymała się koło niego wojskowa ciężarówka. Na odkrytej pacy siedzieli niemieccy żołnierze. Pilnujący ich Rosjanie trzymali w dłoniach karabiny gotowe do użycia. Z szoferki wyskoczył sowiecki oficer. Był tak młody, że z jego twarzy nie zniknęły jeszcze szczenięce pryszcze. Rzucił niedopałek papierosa, zadeptał go szybko zakurczonym oficerskim butem i pokazał Franzowi, by podniósł ręce.

– Ruki wwierech, starik! – krzyknął. Głos miał chrapliwy i stary. – Ty nie rabotajesz, starik?

– Panie oficerze, idę do pracy – Franz Thiedtke próbował tłumaczyć.

– Ja nie panimaju, starik! Gawaritie pa ruski! – Rosjanin zaczął się śmiać.

– Dobrze pan wie, że nie mogę się spóźnić. Wasze zarządzenie.

– Nu, towariszci! – Oficer odwrócił się w stronę ciężarówki i zawołał w stronę swoich żołnierzy: – My dajdim jemu rabota?

– Rozumie mnie pan? Nie możecie mnie zabrać. Idę do polskiego punktu... – Franz opuścił ręce, ale widząc spojrzenie oficera, natychmiast uniósł je nad głowę.

– Da! Da! – Sowietci na pacy zaczęli się śmiać.

– Pieriejti na gruzowik, starik! – Franz niemal stracił oddech, gdy złapali go za ręce i wciągnęli na ciężarówkę. – S nami wy uwiditie szto eta oznaczajet: sawiecka rabota! – krzyknął oficer, zamykając za sobą drzwi do szoferki.

Ciężarówka ruszyła z głośnym warkotem.

Kilku z niemieckich żołnierzy było rannych. Inni byli tylko brudni i zmarznięci. Siedzieli osowiali, w milczeniu wpatrując się w przestrzeń. Omijali wzrok Franza, jakby każdy znalazł się na tej ciężarówce zupełnie sam. Pilnujący ich Sowietci palili papierosy i rzucali pojedyncze słowa, których nikt nie rozumiał.

Franz Thiedtke usiadł na pełnej błota podłodze. Czuł, jak wilgotniejszą mu spodnie, jak przenika go zimno, a ciało szybko z tego chłodu sztywnieje, nie był jednak w stanie opanować zmęczenia, które poczuł dopiero teraz po tej długiej bezsennej nocy.

Obudziły go poszturchiwania i krzyki. Otworzył oczy, spadając z ciężarówki prosto pod nogi przyszczonego oficera. Ktoś pociągnął go do góry i popchnął w szereg żołnierzy Wehrmachtu, z którymi przyjechał z Langfuhr. Sowietci kazali im unieść ręce i poprowadzili przed siebie. Dopiero po chwili zorientował się, że znaleźli się w Oliwie, a ciężarówka zatrzymała się przed katedrą. Kolumna, w której się znalazł, minęła budynek świątyni i została skierowana do pałacu opatów.

Pracowali cały dzień. Czuł, jak potłuczone cegły ranią mu palce, ale przestał się tym przejmować jeszcze w czasie odgruzowywania ulic w Langfuhr. Wśród pracujących było wielu cywilów, głównie kobiety. Żołnierze pracowali w mundurach, ubłoconych w czasie walk w lasach otaczających miasto. Tam chowali się ci, którym nie udało się uciec na północ do Gotenhafen i dalej. Nie wolno było rozmawiać, nikt nie patrzył na innych pracujących. I żołnierze, i cywile, wszyscy o poszarzałych twarzach z brudami wypełnionymi kurzem unoszącym się nad gruzowiskiem, uprzętałi teren wokół pałacu opatów. Mimo pożaru, który strawił budynek, w Oliwie nie czuć było swądu spalenizny, który w Langfuhr wydawał się wszechobecny. Za ogrodzeniem parkowym stały opustoszałe kamienice. Niemal nie ucierpiały w czasie walk, toczących się w otaczających Oliwę lasach, gdzie ulokowała się dywizja piechoty, kilka niemieckich czołgów i spadochroniarze z dywizji Hermann Göring. To w oliwskie lasy, a nie w ulice, na których pod czujnym okiem babki Geszkau wychował się Franz Thiedtke, uderzały pociski z sowieckich katusz stojących koło drewnianego kościółka w Gletkau.

Wieczorem pracujących zaprowadzono do katedry. Przed wejściem walały się piszczaki z rozbitych organów. Rozbite szkło z witrażowego okna nad portalem prowadzącym do wnętrza chrzęściło pod nogami. Dalej leżały hełmy zestrzelone z kościelnych wież. Nikt nie zwracał na nie uwagi.

W katedrze rozsunięto ławki, a na kamiennej posadzce rozesłano słomę. W nawie północnej leżeli ranni, pod gotyckimi sklepieniami nawy głównej skupili się żołnierze, którzy głośno zastanawiali się, co z nimi zrobią, gdy park zostanie uprzętnięty.

Franz znalazł wolne miejsce w transepcie przy południowym filarze, tam, gdzie babka Geschkau prowadziła go, by pod epitafium Kacpra Geschkaua snuć historie z przeszłości. Nie miał jednak siły na wspomnienia. Ułożył się na słomie i natychmiast zasnął.

Obudził go ból głowy, nieduży, ale dokuczliwy. Usiadł, opierając się o zimną ścianę. Było ciemno, tylko w nawie północnej paliło się kilka świec. Ktoś majaczył, ktoś płakał. Każdy szmer, każde kaszlnięcie wzmagaly się, odbijając się głośnym echem od gładkich ścian. Czuł pragnienie, ale nie chciał zostawić miejsca, które zajął. Postanowił spróbować zasnąć.

– Niektórzy to wiedzą, jak się ustawić w każdej sytuacji. – Dobiegł go cichy głos.

– O czym mówisz? – W ciemności rozległ się drugi szept.

Franz otworzył oczy i dostrzegł dwóch mężczyzn, którzy siedzieli na stopniach prowadzących do ołtarza. Mieli na sobie cywilne ubrania, ale był przekonany, że to żołnierze. Byli zbyt młodzi i zbyt silni.

– Widziałem takich na Schiesstange – odezwał się pierwszy.

– Cicho! – krzyknął ktoś trzeci. – Chcemy spać!

– Widziałem takich na Schiesstange – powtórzył tamten ciszej, ale Franz nadal go słyszał. Wcale nie miał ochoty na słuchanie rozmowy dwóch zbiegłych żołnierzy, którzy nie mieli nawet dość odwagi, by odpowiedzieć za to, co zrobili, ale nie mógł też przestać ich słuchać. Zaciśnął mocno powieki w nadziei na sen.

– Byłeś na Schiesstange?

– Tak. Ludzi tam tyle, że śpią na stojąco.

– Wszystkie żołnierze?

– Nie, skądże! Łapią jak leci. Nawet Polacy z Danzig tam siedzą.

– A ty? Jak się tu znalazłeś?

– Uciekłem. Kilku nas uciekło przez okno. No ale daleko nie zaszedłem. Złapali mnie w Langfuhr. Przez noc siedzieliśmy na cmentarzu koło Technische Hochschule. Teraz to w ogóle nie wiem, co się dalej ze mną stanie. Może trzeba było iść na współpracę...

– Z kim? Z Sowietami? Chyba zwariowałeś! Prędzej nas wyślą do siebie, niż będą z nami współpracować.

– Ty to naiwny jesteś! Tam widziałem paru takich, co teraz pewnie nie kopią gruzów.

– Zdrajcy!

– Tak, zdrajcy! Ale śpią w normalnym łóżku, a nie na podłodze w kościele.

– Ale Führer powiedział...

– Führer siedzi sobie w bunkrze i ma w dupie, co się z nami tutaj dzieje!

Żołnierze przez chwilę milczeli. Franz pomyślał, że skończyli. Jednak po chwili usłyszał ich znowu.

– A ci, co idą na współpracę, to kto? Powiedz, co widziałeś w więzieniu.

– Był tam taki jeden, wcale się nie krył, że z SS. Obersturmbannführer. Niezły cwaniak. Całą wojnę przesiedział w Danzig, nie zdążył uciec z Gotenhafen, to wrócił i postanowił, że zamieni Hitlera na Stalina.

Franz Thiedtke otworzył szeroko oczy.

– I co się z nim stało?

– Posiedział z nami w celi chwilę. Najpierw go nakarmili, potem wsadzili do nas. A potem go zabrali i już nie wrócił. A jak go zabierali, to był bardzo zadowolony.

Franz podczołgał się w stronę rozmawiających mężczyzn.

– A jak się nazywał?

– Kto? – Pierwszy z mężczyzn spojrzał na niego zdziwiony. Dopiero teraz dostrzegł jego twarz, zwykłą, nierzucającą się w oczy, zarosniętą, brudną twarz mężczyzny koło trzydziestki.

– No ten, którego zabrali. Przepraszam, ale słyszałem waszą rozmowę.

– Nie wiem, o co chodzi. – Mężczyzna wzruszył ramionami, postawił kołnierz i rozciągnął się na schodach.

Franz wrócił na swoje miejsce, ale nie usnął już do rana.

Po śniadaniu, na które składały się kawałek ciemnego chleba i talerz pozbawionych smaku pomyj, uformowano kolumny, w katedrze pozostawiając tylko rannych.

– Upadł, upadł Babilon – rzeźił stary mężczyzna, mokry od potu, gdy Franz mijał go, opuszczając wnętrze katedry. – Rozumiesz? – Poczłwał kościste palce zaciskające się na jego kostce. Odruchowo wyrwał nogę z uścisku, który rozluźnił się natychmiast. – Rozumiesz? – powtórzył starzec, gdy Franz pochylił się nad nim.

– Tak, rozumiem – powiedział były policjant wolno i poklepał starca po wychudzonym ramieniu.

Ponownie trafił do grupy porządkującej teren wokół spalonego pałacu.

Przedpołudnie minęło mu na przrzucaniu cegieł i ładowaniu gruzu na podjeżdżające ciężarówki. Po krótkiej przerwie, gdy rozdano wszystkim po kawałku tego samego gorzkiego, lekko spleśniałego chleba i łyżce mięsnej konserwy, którą sowiecki strażnik otwierał nożem, trzymany za cholewę buta, skrzyknięto kilkunastu stojących blisko Franza mężczyzn i kazano im ustawić się w kolumnę, która kilka minut później ruszyła za bramę parku.

Franz Thiedtke, który wychował się przy niedalekiej Georgstrasse, gdzie w domu z wieżyczką babka Geschkau opowiadała mu historie z przeszłości, przewracając przy tym swoimi fiołkowymi oczami, znał doskonale zakamarki i prowadzące między domami skróty. Dlatego ucieczka nie stanowiła dla niego żadnego kłopotu. Postanowił wykorzystać pierwszą okazję, by wyskoczyć przez okno i umknąć między kamienicami. Jego kompani, którzy wynosili meble z kolejnego mieszkania, bo zadanie, do którego zostali skierowani, polegało na kradzieży pozostawionego w domach mienia, nie zauważyli nawet, gdy jednego z nich zabrakło. Sowieccy oficerowie, zajęci

liczeniem ładowanych na ciężarówki szaf, stołów i szafkowych zegarów, które wciąż odmierzały czas, wybijając głośno kolejne godziny, także nie zorientowali się, że ktoś zniknął, choć Franz nie był jedynym jeńcem z kolumny, który zbiegł w czasie wynoszenia poniemieckich sprzętów.

Do Langfuhr dotarł następnego dnia po południu, cały czas uważając, by nie natrafić na kolejną grupę łapaczy.

ROZDZIAŁ

Skrzynia stała w tym samym miejscu, w którym ją ukrył. W piwnicy, w schowku, do którego nikt nie zaglądał. Przysypana gruzem, ale niezbyt mocno, bo grube stropy uchroniły podziemia budynku przy Neugarten od zniszczenia. Zastawiona pustymi szafami, by nikomu nie przyszło do głowy zbyt wcześnie, że może być pełna. Stała w spokojnym oczekiwaniu na swego właściciela.

Zeszli po nią dopiero następnego dnia. Major Szygalew postanowił, że zanim przyjmie warunki Obersturmbannführera, pokaże, kto jest panem tej sytuacji, od kogo zależy, czy plan, który założył sobie Auerbach, powiedzie się, czy nie. Nie chciał, by Niemiec poczuł się zbyt pewnie. Postanowił, że zetrze najpierw butę z jego twarzy, sprawi, że ten gdański gestapowiec poczuje obawę, niepewność co do własnej przyszłości. Mierziło go to, że tacy jak on, odpowiedzialni za wydarzenia, które przyniosła ze sobą wojna, umkną karze, nie odpowiedzą za swoje postęпки, ukryją przeszłość i resztę życia spędzą, budując nową tożsamość, ale nie mógł stracić okazji, bo wiedział, że towarzysze odpowiednio docenią wagę działania związanego z jego propozycją. Jako oficer polityczny doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że informacja często stanowi o sukcesie, a ten może usprawiedliwiać decyzje, które nie zawsze stoją w zgodzie z właściwym światopoglądem. Dlatego choć czuł niesmak, wiedział, że podejmuje właściwe działanie.

Heinrich Auerbach początkowo zwątpił w powodzenie swojego planu. Gdy włóczono go do celi, tak przepełnionej, że trudno było w niej głębiej odetchnąć, pomyślał, że Szygalew mu nie uwierzył. Był głupcem, który nie rozumiał, z czym wiąże się jego oferta i jakie może z niej wyciągnąć korzyści dla siebie. Auerbach był przekonany, że ludzie tacy jak on i major Szygalew mierzą świat w ten sam sposób, dlatego zastanawiał się, jaki plan szykuje Rosjanin. Ale kiedy wieczorem został zabrany do pokoju przesłuchań, gdzie anonimowy żołnierz o niskiej randze spisał niedbale jego dane, a potem postawił przed nim talerz z gotowanym mięsem, wiedział, że Szygalew podjął decyzję. Heinrich Auerbach miał rację. Oferował zbyt wiele, by major odrzucił okazję.

Mięso było łykowate i nie miało smaku, ale zjadł je szybko, zastanawiając się, jak długo będą trzymać go w areszcie. Potem wrócił do dusznej celi, ale wiedział już, że chodzi tylko o ustalenie hierarchii, o pokazanie władzy, tak, by Auerbach nie był zbyt pewny swojej wygranej. Postanowił więc z pokorą przyjąć przewagę sowieckiego majora, pochylić głowę i cierpliwie czekać, ale był pewien, że sytuacja, w której się znalazł, nie potrwa długo. Nie mylił się. Następnego dnia rano usłyszał swoje nazwisko i po kilku minutach wprowadzono go do gabinetu Hauptsturmführera Weckmanna. Szygalew i Marianna już na niego czekali.

Nie spojrzął na Mariannę. Usiadł na podstawionym przez strażnika krześle i wbił wzrok w buty Szygalewa. Ich czubki wystawały spod biurka. Strażnik zdjął mu kajdanki i wyszedł.

– Mam nadzieję, że noc minęła bez większych problemów – powiedział major po rosyjsku, a Marianna szybko przetłumaczyła.

Nie odpowiedział. Nie podniósł też wzroku. Skoro Szygalew chciał próby sił, postanowił pokazać, że rozumiał jego grę.

– Zastanowiliśmy się nad złożoną przez was ofertą – odezwał się po chwili Rosjanin. W jego głosie zabrzmiało lekkie zniecierpliwienie, ale szybko się opanował. – W zamian za wydanie dokumentów gdańskiego gestapo wraz z listą agentów działających na terenie Pomorza oraz zebranej przez nich dokumentacji dotyczącej polskiego podziemia gwarantujemy wam nietykalność. Nie będzie sądu ani wyroku. Jeśli zostaniecie naszym sojusznikiem

i podejmiecie się zadań, które my wam wyznaczymy, staniecie się zupełnie wolnym człowiekiem i z pełnym oddaniem zajmiecie się budową podstaw socjalistycznego ładu, w miejscu, do którego was skierujemy. Zgadza się?

Marianna tłumaczyła niemal równocześnie ze słowami majora Szygalewa. Kiedy major skończył, Heinrich Auerbach podniósł wzrok i patrząc na Rosjanina, skinął wolno głową.

– No to szykujcie się do drogi, bo chcę zobaczyć te dokumenty natychmiast. – Szygalew ożywił się. Wyjął z szuflady biurka kartkę papieru i wraz z wiecznym piórem, które razem z gabinetem odziedziczył po Hauptsturmführerze Weckmannie, podsunął mu ją do podpisania.

Dokument napisany był po rosyjsku, cyrylicą, której nie rozumiał.

Niżej znajdował się tekst w języku niemieckim. Niemal dokładnie te same słowa, które Szygalew wypowiedział kilka chwil wcześniej.

– Tekst niemiecki to tłumaczenie tekstu rosyjskiego – powiedziała szybko Marianna, widząc, że Auerbach przygląda się niezrozumiałym literom. – Możesz się nie obawiać. Ja zrobiłam tłumaczenie – dodała ciszej.

Podpisał, nie podnosząc wzroku, i oddał kartkę Szygalewowi. Twarz majora rozjaśniła się. Rosjanin uśmiechnął się, odsłaniając kilka złotych zębów.

– Znakomicie! – Klepnął się w uda z zadowoleniem. – A zatem chodźmy. Chcę zobaczyć te dokumenty.

– Będziemy potrzebować dwóch silnych żołnierzy – powiedział Auerbach, podnosząc się z krzesła. Jego stężała twarz nie zmieniła wyrazu.

Szygalew krzyknął w stronę drzwi, które otworzyły się natychmiast. Wydał krótką komendę i już po krótkiej chwili szli po schodach.

Gdy zeszli na parter, major kazał podstawić samochód, ale Auerbach zwrócił się do Marianny, mówiąc, że auto nie będzie im potrzebne. Raczej przydadzą się lampy albo świece. A potem poprowadził ją, majora i dwóch osiłków o czerwonych twarzach do piwnicy, gdzie wśród zniszczonych sprzętów, walających się wszędzie kartek papieru i kilku flag ze swastykami odnalazł drzwi do schowka, które kilka tygodni wcześniej sam zastawił biurową szafą. Kiedy jeden z osiłków ją odsunął, a drugi wyważył zamknięte na klucz drzwi, Auerbach wskazał wewnątrz. Żołnierze weszli do środka, trzymając przed sobą świece.

Szygalew wszedł za nimi, ale w zagraconym pomieszczeniu mógł tylko obrócić się wokół własnej osi, potrącając przy tym podwładnych.

– Tu? – warknął i objając się o stojących żołnierzy, wyszedł na korytarz. – Nie widzę tam żadnej skrzyni z dokumentami.

– Trzeba odstawić szafy – powiedział spokojnie Auerbach.

– Co? Co on mówi? – Szygalew był zdenerwowany.

Marianna szybko przetłumaczyła. Major wydał komendę żołnierzom, którzy odstawili świece i zabrali się za przesuwanie szaf.

Skrzynia była w tym samym miejscu, w którym ją ukrył.

ROZDZIAŁ

25

Helena próbowała wypełnić obowiązkami każdą godzinę, która minęła od czasu, gdy Franz wyruszył do Gdańska. Nocami nie mogła spać, zastanawiając się, co się z nim dzieje. Wyrzucała sobie to, że pozwoliła mu na tę wędrowkę, na wyprawę do piekła, bo tak opisywali to ci, którym udało się uciec. Każdego ranka wstawała z bólem głowy i myślą, którą udawało się odsunąć, na nie dłużej jednak niż do najbliższego wieczora. Nie potrafiła się jej pozbyć, wyrzucić z siebie, zapomnieć albo zbagatelizować, a wyrzuty sumienia powracały natychmiast, gdy tylko zaprzestawała działania.

Gdynia pozbywała się szybko niemieckich śladów. Z domów zrzucano tabliczki z nazwami, które pojawiły się, gdy polskie miasto zamieniono w hitlerowski Port Gotów. Na chodnikach lądowały symbole Trzeciej Rzeszy, której końca wszyscy z nadzieją oczekiwali. Gdynia miała już swojego prezydenta. Na plaży odbyły się zaślubiny polskich żołnierzy z Bałtykiem, choć w oddali straszyla wypalona sylwetka zatopionego przez Niemców pancernika Gneisenau. W mieście był prąd, ruszyła pierwsza szkoła podstawowa, a pułkownik Leon Korzewnijkanc, tak jak przed wojną, dowodził miejską strażą pożarną. Choć coraz mniej było w mieście pożarów, coraz więcej widać było w nim codziennej krzątaniny. Do Gdyni wracali jej przedwojenni mieszkańcy, a w połowie kwietnia z gdyńskiego dworca wyruszył pierwszy pociąg do Gdańska.

Helena zastanawiała się nawet, czy powinna wsiąść do kolejowego wagonu i mijając Sopot, udać się do Langfuhr. Tam odnaleźć Franza i wraz z nim wrócić do Gdyni. Nabierała przekonania, że Franz mógłby zostać z nią w Polsce. Choć był w Kripo w czasach, gdy w Gdańsku życie toczyło się w rytm wyznaczany z placówek NSDAP, przeszedł na emeryturę pierwszego września i nikt nie mógł mu zarzucić zbrodni przeciwko Polakom. Mogła to przecież potwierdzić. Głośno mówiło się już o wysiedleniach pozostałych w mieście Niemców, ale chodziły też pogłoski, że ci, którzy zadeklarują lojalność wobec nowych władz i przyjmą polskie obywatelstwo, będą mogli pozostać. Franz nie interesował się polityką. Nie powinno mieć dla niego znaczenia, czy będzie Polakiem czy Niemcem. Zawsze mówił, że przede wszystkim był gdańszczaninem. A oni mogliby wreszcie zacząć spokojne życie, tak jak to sobie często obiecywali.

Jednak pociąg z Gdyni do Gdańska odjechał bez niej. Helena zgłosiła się do pracy przy chorych. Kiedy wagony wytaczały się ze zniszczonego dworca, ona zajmowała się Rosjanami, którzy zostali ranni w czasie walk o miasto. Młodzi chłopcy z Nowosybirsk, Irkucka i Ufy, z Czelabińska i Kazania, Omska i Jakucka łapali ją za ręce i drżącym głosem prosili, by przyrzekła, że wrócą do domu, do Nadii, Galiny i Zoi, do pozostawionych gdzieś tam za sobą rodziców, młodszych sióstr i przyjaciół. Choć po Gdyni krążyły plotki o gwałtach, których ci sami przerażeni teraz własną niemocą żołnierze dokonywali w Gdańsku, Helena przestała się ich bać, nosząc w sobie raczej współczucie. Kiedy usłyszała, że szpital, mimo iż częściowo zniszczony, rozpoczyna działalność, natychmiast stanęła przed doktorem Dolatkowskim, którego mianowano jego dyrektorem.

Helena dobrze go знаła. Spotkali się, gdy po upadku Gdyni oboje pozostali w mieście przemianowanym już na Gotenhafen. Helena czekała na Stefana, doktor organizował opiekę lekarską dla tych Polaków, którzy nie zostali jeszcze wywiezieni do Generalnej Guberni. W końcu oboje z miasta uciekli, ostatnie miesiące przed wyzwoleniem ukrywając się przed gestapo. Helena opowiedziała mu swoją historię, on zrewanżował się swoją. Następnego dnia została pracownikiem szpitala.

Opuszczane w pośpiechu sale, pozbawione sprzętu medycznego gabinety należało szybko uprzątnąć. Szpital przejęło miasto, ale Helena dowiedziała się, że niebawem miały wrócić siostry szarytki wraz z samą siostrą

Franciszką Berek. To z jej inicjatywy szpital powstał, kiedy wiadomo już było, że Gdynia zaczyna się szybko rozrastać i mała Lecznica Nadmorska, która istniała na Kamiennej Górze, nie zdoła zająć się wszystkimi chorymi.

Takie momenty jak ten, gdy spotkała doktora Dolatkowskiego, i ten, gdy dowiedziała się o przyjeździe siostr, czyniły ją prawie szczęśliwą, w każdym razie dawały nadzieję na to, że życie stanie się w końcu normalne. Ale normalność zakładała, że Franz znajdzie się obok niej. Dopóki więc nie zobaczy go w drzwiach mieszkania przy Świętojańskiej, gdy nie usiądzie z nim do wspólnego obiadu i nie opowie o dniu spędzonym w pracy, normalności nie będzie.

Tymczasem spędzała w szpitalu całe dni, często wracając na Świętojańską tylko na kilka godzin. Miała się przespać, odpocząć, ale kiedy kładła się do łóżka, kiedy wślizgiwała się między zimne prześcieradła, kiedy zaciskała najmocniej, jak mogła, oczy, sen nigdy nie przychodził. Pojawiały się migoczące pod powiekami obrazy z piwnicy. Stefan, tak spokojny, jakby rzeczywiście tylko zasnął, Franz, kobieta z czerwonymi ustami, polski żołnierz. Sylwetki mieszały się, znikwały, by zaraz znowu się pojawić. Przewracała się mokra od potu, który oklejał powoli jej ciało. Wstawała, bo serce zaczynało jej walić, oddech robił się płytki, a w uszach narastał szum. Siadała przy kuchennym stole i w ciemności, bo ciągle obowiązywało zaciemnienie, czekała na początki dnia za oknem. Kiedy kończyła się godzina policyjna, była gotowa do wyjścia. Praca w szpitalu dawała zapomnienie, które trwało do kolejnego powrotu na Świętojańską.

W szpitalu docierały do niej historie z Gdańska. Słuchała o zniszczeniach, pożarach, gwałtach i grabieżach. O ludziach wiszących na drzewach i ulicznych latarniach, o kobietach gwałconych wielokrotnie przez tych samych żołnierzy, którzy w szpitalu w Gdyni błagali ją o nadzieję na powrót do domu. Każdego dnia modliła się, by Franz wrócił, tak jak kiedyś modliła się o powrót Stefana. Choć straciła wiarę w Boga, choć po tym wszystkim, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku lat, przestała ufać, że świat działa według boskiego planu, bo nie wyobrażała sobie, by to, co się stało, mogło być czymkolwiek planem, to modlitwą zaczęła wypełniać godziny spędzane nad ranem przy kuchennym stole. Modliła się żarliwie, choć nie wierzyła w boską moc, prosiła, choć nie wierzyła, że jej modlitwy pomogą. Zaklinała, błagała, próbowała przekupić siłę, w istnienie której wątpiła. Chciała przehandlować życie Franza w zamian za swą wiarę, za jej pozory, w końcu za wszystko, co posiadała. I była wściekła na niego, że wpadł na ten niedorzeczny pomysł, by w ogóle wyprawiać się do Gdańska, gdy ona chciała pozostać tutaj, w Gdyni.

Od dnia, gdy wyszli z piwnicy, nie schodziła na dół. Bała się ciemnych pomieszczeń, w których razem z innymi czekała na koniec wojny. Wojna jeszcze się nie skończyła. Armia Czerwona była już prawie w Berlinie, ale Hitler wciąż nie podpisał kapitulacji. Jednak tutaj, w Gdyni, ludzie powoli podnosili się z tamtego koszmaru. Wciąż trudno było im uwierzyć, że to już koniec, że świat oszalał, ale każde szaleństwo musi się kiedyś uspokoić. Bo szaleństwo, nawet największe, też musi mieć chwile wytchnienia. Jednak miasto, choć zniszczone, nie upadło. Widziała to każdego dnia.

Z bojaźnią omijała schody prowadzące do piwnicy. Jakby pozostał na nich duch Stefana, którego Franz wraz z nieznanym mężczyzną wyniósł tamtego dnia ze schronu. Gruz, którym schody były przysypane, uniemożliwiał początkowo zejście na dół, ale z czasem Helena zauważyła, że ów gruz zaczął znikać. Każdego wieczoru, gdy przed godziną policyjną wracała do mieszkania na Świętojańskiej, było go coraz mniej, aż w końcu zastała schody zupełnie czyste. Ciemne czeluści piwnicy, które się przed nią odsłoniły, przeraziły ją jeszcze bardziej. Pomyślała, że sama nie będzie w stanie pozostać w tym mieszkaniu. Postanowiła, że jeśli Franz nie wróci w ciągu najbliższych dni, sama pojedzie do Gdańska, by go odszukać.

ROZDZIAŁ

26

– To już nie przeszkadza ci, że jestem Żydówką? – Marianna siedziała odwrócona do niego plecami. Owinięta kołdrą paliła papierosa.

– Przypominam, że to ty nie chciałaś się ze mną widywać – Auerbach liczył kręgi jej kręgosłupa, wyraźnie widoczne pod cienką skórą. Była drobniejsza niż kiedyś, krucha i przezroczysta.

– Abwehra to był wywiad. Kiedy przeszedłeś do SD, zostałeś SS-manem – nie odwracała się do niego.

– Teraz jestem gestapowcem.

– Teraz – tym razem przekreśliła głowę w jego stronę – będziesz enkawudzistą.

– Chcę przeżyć. Jak każdy. – Wyciągnął się na poduszce i błędził wzrokiem po suficie, z którego odpadła część gipsowych sztukaterii.

– Sprytny jak zawsze. – Nie wiedział, czy kpi, czy mówi z uznaniem.

– Potępiasz mnie? Przecież lepiej, że zostanę enkawudzistą. Gdybym został wierny Führerowi, rozstrzelaliby mnie bez sądu, a w najlepszym razie wysłali w głąb Rosji do jakiegoś łagru, bo to pewnie zrobią z tymi wszystkimi, którym nie udało się uciec z Danzig.

– Przewidujący jak zawsze. – Marianna odrzuciła kołdrę i zaczęła się wolno ubierać. Przyglądał się jej stopom, które wsuwały się w cieliste pończochy, pierśom, zanim zniknęły pod jedwabną halką, dłoniom, które zapinały guziki bluzki. Czuł się szczęśliwy, bo nie sądził, że jeszcze kiedykolwiek zobaczy ją nagą.

– Dzięki temu jesteśmy tutaj – powiedział, znowu wyciągając się na łóżku.

– Dzięki temu ty jesteś tutaj. Ja musiałam poradzić sobie sama. – Usiadła przy stole, stojącym na środku pokoju oświetlonego nikiłym światłem żarówki, wiszącej pod imponującą rozetą zdobiącą sufit. Założyła nogę na nogę i zapaliła kolejnego papierosa. Nie uśmiechała się. Jej twarz, pozbawiona makijażu, była chłodna i ascetyczna. Pomyślał, że znów jest tak posągowa i chłodna, jak Marianna, którą pamiętał.

– Gdybym nie zajął się tobą w trzydziestym dziewiątym, nie spotkalibyśmy się z pewnością teraz. Chociaż muszę przyznać, że gdybyś zrobiła to, co myślałem, że zrobisz, to też nie byłoby cię tutaj. Myślałem, że uciekniesz. Najpierw do Polski, a potem na Zachód.

– Nie zdążyłam. Już ci mówiłam. Musiałam się ukryć, ale dzięki waszemu szkoleniu znałam metody, którymi posługiwało się gestapo. No i udało mi się przeżyć. Ale ty nie przypisuj sobie zbyt wielkich zasług w tym względzie. Ostrzegłeś mnie, ale i tak bym uciekła do Gdyni.

– Ale szukalibyśmy cię, bo byłaś na listach proskrypcyjnych. Dzięki mnie z tych list zniknęłaś.

– Co masz na myśli? – Przyglądała się cienkiej smudze dymu, która wydostawała się spomiędzy jej warg.

– Pamiętasz medalion? – Podniósł się, opierając na łokciu.

– Masz go? – zapytała szybko, patrząc wprost na niego.

– Nie. – Była zawiedziona. Wróciła do obserwowania tańczącego przed nią papierosowego dymu. – Ale to dzięki niemu zniknęłaś z list.

– Gdybym wpadła w wasze ręce, szybko wyszłoby na jaw, że pracowałam dla was. – Wzruszyła ramionami.

– Wyszłoby też na jaw, że byłaś agentką ekspozytury w Bydgoszczy. – Uśmiechnął się.

Jej wzrok był przenikliwy i zimny.

– Skąd wiesz? – zapytała głucho.

– To była moja praca – odpowiedział zadowolony.

– Wiedziałaś cały czas? – Przyglądała mu się, siedząc sztywno na krześle. Popiół z papierosa spadł na obrus, ale nie zauważyła dziury, którą w nim wypalił.

– Nie, nie zorientowałem się od razu. A potem właściwie to mnie bawiło. Obserwowałem cię. Byłaś bardzo dobra.

Widział, że długą chwilę hamowała słowa napływające do ust. W końcu wyrzuciła tylko:

– Będziesz znakomitym enkawudzystą. – Po czym starannie strzepnęła popiół ze stołu.

– Nie chcesz wiedzieć, jak medalion ze zdjęciem twojej matki uratował ci życie? – zapytał.

– Jak?

– Była taka dziewczyna, prostytutka z Hakelwerku... bardzo do ciebie podobna. – Zastanawiał się, ile może jej powiedzieć.

– Chodziłeś do niej?

– Powiedziałem, że była do ciebie bardzo podobna. – Uważał, że to dostateczne wytłumaczenie. – Podrzuciono jej ciało z twoim medalionem, a policja stwierdziła, że to ty.

– Jak to podrzuciono jej ciało? Chcesz powiedzieć, że najpierw korzystałeś z jej usług, a potem ją zabiłeś? – Spojrzała na niego lodowato.

– Nie, ja jej nie zabiłem.

– Ale kazałeś to zrobić! – Wstała z krzesła i podeszła do okna.

Wstał z łóżka, wciągnął szybko spodnie i podszedł do niej. Oddychała ciężko.

– Zrobiłem to dla ciebie – powiedział cicho. – Chciałem, żebyś zniknęła, żeby nikt cię nie szukał, Diabło.

– Nie mów do mnie w ten sposób – odsunęła go zdecydowanie. Podeszła do stołu i opierając się o jego blat, wsunęła stopy w ciemne pantofle. – Nie wiem jeszcze, co z tobą zrobię. Ale z pewnością będziesz znakomitym oficerem NKWD. Gratuluję, towarzyszu!

Wyszła, trzaskając drzwiami.

Wiedział, że ją odzyskał. Jego Teufel, Diabeł, szpieg, którego złowił dla Trzeciej Rzeszy w berlińskiej palmiarni, zdesperowana córka niemieckiej Żydówki, która swoimi usługami chciała kupić jej bezpieczeństwo w kraju, gdzie Żydzi mieli niebawem zostać zepchnięci poza margines zdrowego społeczeństwa, polska gdańszczanka, która teraz uciekała od piętna niemieckiej przeszłości miasta, była znowu po tej samej co on stronie. Pomyślał z zadowoleniem, że oto w zburzonym mieście, którego nigdy nie lubił, w środku apokaliptycznej wizji zniszczenia, na którą przygotowywała swoich obywateli nawołująca do walki z bolszewikami niemiecka propaganda, on, Heinrich Auerbach, dawniej Obersturmbannführer gdańskiego gestapo, nareszcie poczuł pełnię osobistego szczęścia, której nigdy wcześniej nie udało mu się osiągnąć. Marianna wróciła, dokumenty, które miały mu zapewnić nietykalność, powędrowały na biurko majora Szygalewa, on sam zaś miał przygotować się do wyjazdu do Moskwy. Nie wagonem towarowym, jednym z tych, którymi za Ural planowano wysłać pozostałych w mieście gdańszczan, ale salonką z wygodami, których brakowało w czasie wojny.

Ubrał się i wyszedł. Przed budynkiem czekał już samochód z kierowcą. Heinrich Auerbach postanowił spełnić obietnicę i zabrać Karola Brodzkiego z Knipröder Weg. Major Szygalew przystał na jego prośbę.

W szeregowym domku, gdzie na piętrze zostawił Karola, było cicho. Wszedł do środka, krzycząc, by nikt nie wystraszył się sowieckiego łazika, którym przyjechał.

– To pan – powiedziała z ulgą Irma. Siedziała przy łóżku, na którym leżał Karol Brodzki. Chłopak nie spał. Miał przymknięte oczy, jego twarz była napuchnięta, na skórze wykwitły krwawe wybroczyny. Nie zareagował, gdy Auerbach potrząsnął nim, chcąc wyrwać dziecko z gorączkowego letargu.

– Od kiedy jest w takim stanie? – zapytał.

– Nie wiem. Od trzech, czterech dni. Zaczął chorować zaraz po tym, jak go pan zostawił. – Irma popatrzyła na niego zaczerwionymi oczami.

– Jesteś sama? Gdzie reszta?

– Ciotka poszła po jedzenie, ale nie wróciła.

– A mały? – Pamiętał, że był jeszcze chłopak. W tym samym co Karol wieku. – Też jest chory?

– Poszedł razem z ciotką.

Heinrich Auerbach wziął chłopca na ręce i krzycząc do Irmy, by poszła za nim, zszedł do samochodu. Kierowca nie mówił po niemiecku, ale domyślił się, że powinni jechać do szpitala. Szybko znaleźli się na Delbrückallee. I Karol, i Irma zostali szybko zabrani przez dyżurującego lekarza na oddzielne sale, gdzie leżeli inni pacjenci, u których stwierdzono już tyfus.

– Pan niech stąd lepiej idzie. Tyfus jest zaraźliwy, a my mamy tutaj coraz więcej chorych – powiedziała pielęgniarka, której twarz wydała mu się znajoma. Ona też zatrzymała na nim dłużej wzrok. – Ober... to znaczy pan Heinrich Auerbach?

Wiedział, że ją zna, nie mógł tylko przypomnieć sobie nazwiska.

– To ja, Johanna Gruber. – Uśmiechnęła się szeroko. – Pamięta mnie pan? Październik czterdziestego trzeciego. Hermanshöferweg w Langfuhr...

Teraz sobie przypomniał. Gorliwa donosicielka, niewierna żona przedsiębiorcy pogrzebowego. Dzięki niej prawie złapał Franza Thiedtkego.

– Tak, przepraszam. Pamiętam, oczywiście. Niezwykle spotkanie! – Rzeczywiście, to paradoksalne, że żona przedsiębiorcy pogrzebowego ratowała innym życie w szpitalu.

– Cieszę się, że pan żyje. I nie złapali pana. – Wskazała na jego cywilne ubranie.

– Tak, nie zdążyłem się ewakuować. – Chciał się jak najszybciej od niej uwolnić, ale szła z nim w stronę wyjścia.

– A wie pan, że Franz Thiedtke wrócił? – powiedziała nagle. – Mam nadzieję, że nie dowie się, że na niego wtedy doniosłam – dodała, ścisząc głos.

– Jak to wrócił? – Heinrich Auerbach zatrzymał się. – Kiedy go pani widziała?

– Widuję go codziennie. Mieszka w swoim mieszkaniu. Na Hermanshöferweg.

Nie pożegnał się Johanną Gruber. Bez słowa wybiegł na Delbrückallee.

ROZDZIAŁ

27

Kiedy skręcili z Johannistal w Hermanshöferweg, samochód zarzucił. Heinrich Auerbach, rzucony nieoczekiwanie na kierowcę, wykorzystał moment i wyciągnął z kabury pistolet, nim żołnierz zdążył zahamować. Zatrzymali się na chodniku, uderzając w parkan. Szamotali się kilka chwil, Rosjanin krzyczał, nie rozumiejąc, że chodzi tylko o broń. W końcu Auerbach uderzył go pięścią w twarz, a gdy tamten chwycił się na nos, z którego buchnęła krew, wyrwał mu się i pobiegł do kamienicy, przed którą się zatrzymali.

Biegał po piętach, kopniakami wyważając drzwi do kolejnych mieszkań. Trzymając w dłoni odbezpieczoną broń, wpadał do salonów, kuchni, łazienek i spiżarni, ogołoconych już z mebli i ostatnich zapasów, które pozostały po nieobecnych lokatorach. Po Indze Schulze, Rosie Ebert, Emmie Pehlke, Clarze Sielmann, Ernie Kluge i Ilsie Scheirich. Ale nie ich szukał w kamienicy przy Hermanshöferweg. Nie wiedział nawet o ich istnieniu, nie interesowały go, nie miał czasu, by zgłębić ich los. Szukał Franza Thiedtkego, człowieka, który prześladował go od sierpnia trzydziestego dziewiątego, który wiedział o jego działaniach, który mógł przeszkodzić w jego planie i którego nienawidził czystą nienawiścią, uczuciem, któremu nie było już nawet potrzebne przypomnienie wspólnej przeszłości. Chciał się go pozbyć wtedy w hotelu w Adlershorst. Chciał wysłać go do Stutthofu. Chciał zabić go w piwnicy domu przy Adolf Hitler Strasse w Gotenhafen, gdzie trafił przez zupełny przypadek. Był przekonany, że mu się to udało. Krótkie pchnięcie nożem, który nosił zawsze za cholewką buta, i radość, że oto pozbył się w końcu tego starego zrędliwego komisarza, zbyt pamiętliwego, jak na swój wiek. Euforia, którą poczuł, chowając nóż za cholewkę, sprawiła, że wybiegł z tamtej piwnicy. Znalazł się na ulicy i wpadł prawie pod nadjeżdżające czołgi, musiał udawać trupa, by czerwonoarmiejcy nie zastrzelili go na miejscu. Ale świadomość, że pozbył się Franza Thiedtkego, dawała mu siłę. Gotów był przeprowadzić plan awaryjny, plan, który ułożył na wypadek, gdyby nie udała mu się ewakuacja z miasta. Mógł wrócić do Danzig, mógł zaryzykować i oddać się w ręce Rosjan. Mógł wszystko. Był spokojny, bo wiedział, że Franz Thiedtke nie żyje.

Tymczasem ten stary liberał, którego za demokratyczne poglądy należało wysłać do obozu, zanim odszedł z policji, zmartwychwstał, podniósł się z rzuconego na ziemię siennika i dalej go prześladował. Choć Auerbach wiedział, że przedostanie się z Gotenhafen do Danzig jeszcze kilka dni temu było właściwie niemożliwe, Thiedtkemu jakoś udało się wrócić do Langfuhr i jakby nigdy nic zamieszkać we własnym mieszkaniu. Auerbach był przekonany, że Thiedtke wrócił po to, by go odnaleźć, by zemścić się i zburzyć to, co sobie w nowym porządku świata próbował zbudować. Był wściekły, czuł, że całe jego ciało trzęsie się, miał ochotę wystrzelać cały magazynek radzieckiej tetetki, mierząc choćby do pustych ścian.

Kiedy dotarł na strych, miał wrażenie, że usłyszał ciche skrzypnięcie. Zanim otworzył drzwi, przywarł do ściany, by Thiedtke, jeśli był w środku, nie mógł do niego strzelić.

– Wiem, że tam jesteś! – krzyknął, czekając na schodach. – Thiedtke, wyłaź! Drugi raz już nie uciekniesz!

Ale na strychu było pusto. Zawiasy w otwieranych drzwiach zazgrzytały głośno. Kiedy znalazł się w środku, rozejrzał się, mrużąc oczy, bo w pomieszczeniu, do którego światło dochodziło tylko przez małe okienka w dachu, panował półmrok. Podeszedł do jednego z okien i wyjrzał na ulicę. Czerwonoarmiejec oglądał przód samochodu, którym wjechał w parkan. Poza tym nic się nie działo. Podeszedł do drugiego okna, ale dach wydał mu się z tej strony zbyt stromy. Gdyby stary Thiedtke chciał uciekać przez to okno, spadłby natychmiast na ziemię.

Zaklął głośno i zszedł na dół.

Sowiecki żołnierz na jego widok zaczął krzyczeć po rosyjsku. Na dźwięk jego głosu w jednym z okien naprzeciwko mignął cień, który szybko cofnął się w głąb mieszkania. Auerbach nie słuchał już krzyków Rosjanina. Rzucił się do kamienicy, w której zobaczył niewyraźną twarz, i znowu wbiegał do cudzych mieszkań, szukając Franza Thiedtkego. Kilka sypialni sprawiało wrażenie nieopuszczonych. Otwarta szafa, niepościelone łóżko. Zaglądał pod materace, odsuwał wiszące na wieszakach ubrania. Ale nigdzie nikogo nie było. W końcu wyrzwał przez okno i zorientował się, że jest w mieszkaniu, w którym widział cień. Wrzeszcząc nazwisko emerytowanego komisarza, otwierał kolejne pokoje, aż trafił do pustej kuchni. Zza drzwi prowadzących do komórki usłyszał szelest. Podszedł cicho i otworzył szybko drzwi, jednocześnie celując w ciemne wnętrze. Ale zamiast głosu Franza Thiedtkego, usłyszał kobiecy krzyk. Stara kobieta o pomarszczonej twarzy i podkrążonych oczach prosiła, by jej nie zabijał.

Patrzył na nią chwilę zaskoczony, po czym opuścił tetetkę i wyszedł z mieszkania. Rosyjski żołnierz na jego widok znowu zaczął krzyczeć, grożąc mu pięściami. Auerbach oddał mu bez słowa pistolet. Gdy tylko żołnierz odzyskał broń, rzucił się na niego i przystawiając mu lufę do skroni, pchnął na fotel kierowcy. Auerbach uderzył się boleśnie w skroń o twarde koło kierownicy. W tym samym momencie poczuł zatraskujące się na jego przegubach kajdanki.

* * *

Franz Thiedtke ostrożnie zsunął się z dachu, stopami szukając krawędzi okienka, którym wydostał się na zewnątrz. Choć dachówki były śliskie, a ostre końce tych, które uszkodziły wybuchy w czasie bombardowania, raniły mu palce, udało mu się wśliznąć do środka. Nie utrzymał się na nogach, upadł na deski strychu i chwilę odzyskiwał równowagę. Łapał gwałtownie powietrze, dopiero po chwili otarł z czoła pot. Pomyślał, że brak mu już siły na podobne wyczyny. Własna fizyczność coraz częściej go zawodziła.

Podszedł do okienka, które wychodziło na ulicę, i wyrzwał. Cofnął się szybko – samochód wbity w parkan ciągle tam był. Wstrzymał oddech, bo radziecki żołnierz stał sam. Patrzył jednak na kamienicę stojącą po drugiej stronie, Franz pomyślał więc, że Auerbach może szukać go po sąsiedzku. Miał rację. Po kilku minutach Obersturmbannführer pojawił się w drzwiach budynku. Szedł w stronę swojego kierowcy, w wyciągniętej dłoni trzymał pistolet, ale Franz zorientował się, że nie mierzy do niego, a trzyma broń lufą w swoją stronę. Rosjanin zaczął wykrzykiwać coś w jego stronę. Na ulicy było cicho i głos odbijał się od ścian stojących przy niej budynków, lecz Franz nie rozumiał rosyjskiego. Żołnierz wyrwał Auerbachowi pistolet, a potem kilkoma uderzeniami powalił go na fotel kierowcy. Zakutego w kajdanki rzucił na tylne siedzenie i po chwili samochód odjechał. Franz odetchnął.

Zorientował się, że na ulicy coś się dzieje, gdy usłyszał dochodzący zza okna hałas. Sowiecki łązik wjechał w parkan wokół posesji, na której stała jego kamienica. Wyrzwał przez okno i zobaczył cywila szamoczącego się z radzieckim żołnierzem. Kiedy cywil, wymachując pistoletem, biegł w stronę wejścia, rozpoznał w nim Obersturmbannführera. Nie miał czasu zastanawiać się, czy to tylko złudzenie, opętanie myślą o Auerbachu, którego był w stanie widzieć w każdym napotkanym mężczyźnie, czy rzeczywiście gestapowiec trafił na Hermanshöferweg. Słyszał zbliżające się kroki. W ostatnim momencie udało mu się umknąć na strych. Przez małe okienko wspiął się na dach i ledwo utrzymując się na wąskim gzymsie, przeczekał moment, w którym Auerbach znalazł się na strychu. Wstrzymał oddech, czując go tuż koło siebie. Obersturmbannführer zbliżył się do okienka, ale nie wyrzwał. Cofnął się, zaklął, potem trzasnęły drzwi i odgłos kroków rozpląnął się w ciszy panującej w kamienicy. Franz odczekał jeszcze chwilę, tyle, ile w stanie były go utrzymać na gzymsie słabnące nogi, po czym wsunął się do wnętrza.

Nie mylił się więc. Auerbach wrócił do Danzigu. I tak jak mówili mężczyźni w katedrze, postanowił, że nie będzie pokutował za grzechy. Franz nieraz widział takich jak on, zbyt tchórzliwych, by wziąć odpowiedzialność za czyny, które popełnili. Działali w ciemności, kryli się w grupie albo, jak Auerbach, zastawiając się ideologią, załatwiali sprawy cudzymi rękami. Kiedy przychodził czas na karę, zaprzeczali rzeczywistości, błagali o litość albo sprzedawali siebie i innych, byle tylko nie było kary. Czuł wobec Auerbacha obrzydzenie, niemal fizyczny wstręt. Kiedyś uważał go za zwykłego mordercę. Teraz był zdrajcą. Franz, pracując w policji kryminalnej, przez całe życie miał do czynienia z mordercami. Wyrobił sobie nawet teorię, że morderca kryje się w każdym, nawet najszlachetniejszym

człowieku. Potrzebuje tylko impulsu, który pozwoliłby mu na ujawnienie się, na wyjście z cienia, na niezależne zaistnienie. Spotykał seryjnych morderców, którzy pozwolili, by zawładnął ich życiem niepodzielnie, tłamsząc wszelkie pozostałe elementy osobowości. Ale w swoich śledztwach natrafiał też na zazdrosnych kochanków, zawiedzione wdowy, zdesperowanych pracowników, oszukanych mężów, zdradzone żony, którzy ukrytemu w sobie mordercy pozwolili wyjść z cienia ich przykładowego, uporządkowanego życia tylko raz, na tyle jednak skutecznie, by przejął nad nimi kontrolę. Tak, do morderców był przyzwyczajony, do zdrajców nie. Choć nie wierzył w system nazistów, nie godził się na całkowite przejęcie przez państwo życia swoich obywateli i kreowanie nowej religii, która kazała im wierzyć w przyszłość nowego człowieka, choć był przekonany, że brak demokracji doprowadzi w końcu do tego, co teraz działo się wokół, to nie potrafił zaakceptować łatwego wyrzeczenia się idei, które całkiem niedawno nosiło się na sztandarach. Bo w zdradzie nie chodziło przecież o to, w co się wierzy, ale o to, w jaki sposób się z tego rezygnuje.

ROZDZIAŁ

28

Franz Thiedtke wiedział już, że na Hermanshöferweg nie jest bezpieczny i nie może zostać w swoim mieszkaniu. Zastanawiał się, jak Auerbach mógł się dowiedzieć, że on wrócił do Danzig, ale postanowił, że nie będzie zaprzętać sobie głowy tym, na co i tak nie potrafi znaleźć odpowiedzi. Ważniejsze teraz było odnalezienie Auerbacha, uprzedzenie jego ruchu, szybkie działanie, które dałoby przewagę. Zdawał sobie sprawę, że zaprzestanie zgłaszania się każdego ranka do pracy sprawiłoby, że nie dostałby nawet tej porcji jedzenia, która teraz przysługiwała mu dzięki pomocy w odgruzowywaniu tego kawałka Langfuhr, które rozciągało się tuż za Hermanshöferweg, a błąkanie się po mieście bez innych Niemców pracujących na ulicach skończyłoby się kolejnym spotkaniem z ekipą radzieckich łapaczy. Postanowił jednak zaryzykować. Uznał, że najważniejszy jest czas.

Zszedł do swojego mieszkania, wcisnął resztkę chleba do kieszeni marynarki i poszedł na posterunek milicji. Ciągle było dość wcześnie, by otrzymać przydział do pracy. Z grupą podobnych sobie starszych mężczyzn i kobiet o zniszczonych, wciąż przerażonych twarzach dotarł do hali sportowej. Kiedyś gromadziły się tu tłumy głodne słów gauleitera Forstera i jego berlińskich gości, którzy odwiedzali miasto, nawołując do oddania głosów na swoją partię, by Danzig stał się równie brunatny jak cała Trzecia Rzesza. Teraz trzeba było uprzętnąć tory tramwajowe, by mógł ruszyć tramwaj linii numer pięć, który kiedyś woził pasażerów prawie na samo lotnisko.

Wśród pracujących dostrzegł dwóch mężczyzn młodszych od innych, choć ukrywali swój wiek pod brudnym zarostem. Po południu udało mu się do nich zbliżyć i kiedy zauważył, że strażnicy siedzący na zwałowisku gruzu uprzętniętego z torów palą papierosy i rozmawiają, nie zwracając uwagi na pracujących Niemców, zaczepił jednego z nich.

– Potrzebna mi broń – powiedział.

Tamten spojrział na niego podejrzliwie i nie oderwał się od pracy.

– Potrzebna mi broń – powtórzył Franz. – Pilnie!

– Zostaw mnie, człowieku! – warknął mężczyzna i odwrócił się do niego plecami.

– Nazywam się Franz Thiedtke, jestem emerytowanym komisarzem policji gdańskiej. To nie jest prowokacja!

Mężczyzna nie zareagował. Obok pojawił się jego towarzysz.

– Czego on chce? – zapytał, wskazując Franza.

– Niczego. To prowokator – odpowiedział mężczyzna. – Albo wariat. – Obrzucił Franza pogardliwym spojrzeniem i wrócił do pracy.

– Nie jestem prowokatorem – powtórzył Franz, zwracając się teraz do drugiego z nieznajomych. – Jestem Franz Thiedtke, emerytowany komisarz gdańskiej policji. Potrzebuję broni, wszystko jedno jakiej.

– Franz Thiedtke? – Mężczyzna przyjrzał mu się uważniej. – Z Prezydium Policji przy Karenwall?

– Tak.

– Ty szmato! – Nieznajomy rzucił się na niego, okładając pięściami. – To za mojego brata! Przez ciebie trafił za kratki! Pięć lat przesiedział!

Nadbiegli strażnicy. Odciągnęli mężczyznę, który wyrywając się, odgrażał się dalej. Strażnicy próbowali go uspokoić, ale mężczyzna szamotał się z nimi, chcąc wyswobodzić się z uścisku i znowu rzucić na komisarza. Ten leżał na oczyszczonych już torach, z bólu nie mogąc podnieść się po upadku. Dotykał dłonią twarzy, sprawdzając, czy nie ma na palcach krwi. Kiedy podniósł się z trudem, zauważył, że resztkę chleba, którą zabrał z mieszkania,

wypadła mu z kieszeni i rozsypała na torach. Zebrał go szybko i włożył z powrotem do marynarki. Nieznajomy wciąż próbował wyrwać się milicjantom. W końcu jeden z nich wyciągnął pistolet i celując w niebo, wystrzelił. Pracujący ludzie rzucili się w popłochu na ziemię, kilka kobiet zaczęło krzyczeć. Tylko szarpiący się dotąd nieznajomy zamilkł. Strażnicy odciągnęli go na bok, pokrzykując na pozostałych, by wracali do pracy.

Franz z trudem mógł się poruszać. Otarł pot z czoła i oddychał ciężko. Jeden z milicjantów podszedł do niego.

– Dobrze? – zapytał łamaną niemiecką.

– Tak, dobrze – stęknął Franz, masując bolące zębra.

– To praca teraz. – Milicjant wskazał tory tramwajowe. – Zaraz.

Franz kiwnął głową i z trudem przyłączył się do pozostałych.

– Naprawdę jesteś komisarzem policji? – Kiedy próbował markować pracę, bo z każdym ruchem tracił oddech i wysiłek przyprowadził go o zawroty głowy, pozostały z dwójki młodszych mężczyzn zbliżył się do niego.

– Teraz chcesz rozmawiać? – Nie spojrzał nawet w jego stronę.

– Mój kolega strasznie się wkurzył. Przykro mi. – Tamten przybrał pojednawczy ton.

– Nie szkodzi. – Franz wzruszył ramionami, ale odwrócił się od niego.

– Chcesz broń?

– Co?

– Mówiłeś wcześniej, że chcesz broń.

– Nie. Nic takiego nie mówiłem.

– Ja wiem, gdzie można ją zdobyć.

– Tak? – Teraz Franz wyprostował się i spojrzał nieznajomemu prosto w oczy. – To dlaczego sam jej nie masz?

Patrzyli na siebie długą chwilę.

– Gdzie można ją zdobyć? – zapytał w końcu Franz.

– To będzie kosztować – odpowiedział tamten, prostując się.

– Nie mam pieniędzy.

– Pieniądze nie mają żadnej wartości.

– Jedzenia też nie mam.

– Na pewno jest coś, czym mógłbyś zapłacić.

– Mam tylko to, co na sobie.

– Byłeś komisarzem policji? To może masz ciekawe informacje?

– Przeszedłem na emeryturę w trzydziestym dziewiątym. Nic nie wiem.

– To chcesz broń za darmo? Wszystko ma swoją cenę, człowieku! Zwłaszcza w dzisiejszych czasach.

– Jedyne, co mam, to swoje życie.

– Życie? Akurat ono nie ma dzisiaj żadnej wartości. – Mężczyzna wzruszył ramionami i odwrócił się, by odejść.

– A jakie informacje miałyby wartość? – zatrzymał go pytaniem Franz.

– Na przykład takie, które przydałyby się po powrocie do Rzeszy – mówił powoli mężczyzna. – Na przykład w rozmowie z Amerykańcami.

Franz zastanowił się chwilę.

– Na przykład o oficerach gestapo, którzy przeszli na stronę bolszewików?

Mężczyzna splunął przez zęby.

– Tak, o takich skurwysynach też.

* * *

Dwupiętrowy dom z rzędem drewnianych werand stał prawie pod lasem na samym końcu Opitzstrasse. Kolonia ubogich kamienic, które przetrwały walki, była zupełnie cicha, gdy Franz Thiedtke dotarł do niej już po godzinie policyjnej. Wydawało mu się, że w kilku oknach widział migoczące światło świecy, ale potem dochodził do wniosku,

że to tylko złudne wrażenie. Szedł, błędząc w ciemnościach, ale dopiero kiedy zapadł zmrok, odważył się wyjść z cmentarza, na którym ukrył się, odłączając od kolumny wracającej do centrum Langfuhr po pracy przy hali sportowej. Słyszał, że na gdańskich cmentarzach ukrywało się dużo ludzi, zwłaszcza gdy do miasta wkraczali Sowieci. Konieczność chowania się za nagrobkami zmarłych wydawała mu się odrażająca, ale teraz sam postanowił wykorzystać okazję i skryć się na cmentarzu, rozciągającym się naprzeciwko hali. Tutaj doczekał zmroku, a gdy wokół zrobiło się zupełnie cicho, wyszedł ostrożnie na ulicę i poszedł w stronę Opitzstrasse. Kilka razy musiał ukrywać się w zakamarkach parkanów i murów, bo z Langfuhr jechało kilka sowieckich ciężarówek. Śpiew żołnierzy siedzących na jednej z nich rozbrzmiewał nad niemieckimi cmentarzami ciągnącymi się w stronę Danzig, na długo nim światła samochodu oświetliły ulicę.

Zapukał cicho kilka razy, tak jak nauczył go Kurt Gatz, Oberleutnant 103 pułku artylerii 4 Dywizji Pancerniej Wehrmachtu. Pułk walczył w okolicach Nenkau, nim po ataku Rosjan nie rozproszył się po okolicznych lasach. Nikt nie wierzył słowom Sowietów, gdy przez rozstawione na otaczających Danzig wzgórzach megafony wzywali, by nie ginąć za tych, którzy wojnę wywołali. „Nic złego was nie spotka, to nie wy rozpętaliście tę wojnę, karani będą tylko dowódcy, u nas dostaniecie ciepły posiłek, po ustaniu działań wojennych będziecie mogli bezpiecznie powrócić do waszych domów” – krzyczały po niemiecku rosyjskie megafony, ale żołnierze i tak wiedzieli, że nie można się poddawać. Dopóki z Neufahrwasser odpływały niemieckie statki, które tak jak Bernard Essberger zabierały na pokład żołnierzy wycofujących się na zachód, ci, którzy pozostali, czuli, że mają drogę ucieczki. Kiedy dotarła do nich wiadomość, że przy Olivathor od sowieckich katusz zginął generał Betzel, a dwa dni później na Bischofsbergu pojawiła się biała flaga, nadzieja zniknęła. Kiedy upadło Westerplatte, miejsce, w którym to wszystko się zaczęło, było wiadomo, że jedynym rozwiązaniem jest ucieczka. Oberleutnant zrzucił mundur, ale nie zamierzał się poddawać. Trafił jednak na sowieckich łapaczy i znalazł się w Langfuhr. Broda dodała mu lat, więc czekał teraz na transport do Rzeszy, bo wszyscy pozostali w mieście Niemcy mówili, że niebawem wyrzucą ich z Danzig.

Drzwi uchyliły się cicho, ale szpara była tak wąska, że nie zdołał dostrzec osoby stojącej po drugiej stronie.

– Przysyła mnie Kurt Gatz. Słowik. – Franz nie zdążył dowiedzieć się, skąd to dziwne przezwisko Oberleutnanta.

Drzwi uchyliły się szerzej.

– Ja po prowiant – dodał.

Kiedy drzwi otworzyły się na oścież, wciągnęła go do środka całkowita ciemność. Ktoś trzymał go za ramię, trzasnęły drzwi prowadzące na podwórko, potem zaskrzypiały kolejne i tylko mocny uścisk sprawił, że nie spadł ze schodów, którymi schodzili do piwnicy. Dopiero tutaj rozbłysła zapałka i mrok rozjaśnił wąty płomień z karbidowej lampki.

Franz stał naprzeciwko mężczyzny, który mógł mieć trzydzieści pięć, najwyżej czterdzieści lat. Był wysoki i dobrze zbudowany, poczuł się przy nim niczym karłowaciejącą starzec. Westchnął głęboko.

– Nazywam się... – zaczął, ale tamten uciszył go podniesioną ręką.

– Nie interesuje mnie to – powiedział. Głos też miał potężny. – Chcesz prowiant?

– Tak, Oberleutnant Gatz mówił, że mogę się tutaj zgłosić.

Mężczyzna wskazał leżące na podłodze skrzynki, na których usiedli.

– Co masz w zamian? – zapytał.

– Myślę, że zaciekał was informacja o oficerze gdańskiego gestapo.

– Słucham.

– Przed wojną pracowałem w Abwehrze, potem przeniósł się do SD. Przysłali go z Berlina do Danzig. Całą wojnę tutaj spędził. Przed wojną miał romans ze swoją agentką, Żydówką. Potem, kiedy weszły w życie ustawy rasowe, przestał się z nią spotykać, ale tuż przed wybuchem wojny pomógł jej uciec z miasta. W tym celu zamordował gdańską prostytutkę, której ciało podrzucił jako ciało tamtej.

– Skąd o tym wiesz?

– Prowadziłem śledztwo w tej sprawie.

– Załatwiasz swoje porachunki?

– Nie. Skądże! Ten oficer przeszedł teraz na stronę bolszewików. Sądzę, że przekazał im dokumenty na temat działalności gdańskiego gestapo i niemieckich agentów, którzy działali na Pomorzu.

– Jak się nazywa?

– Heinrich Auerbach. Obersturmbannführer Auerbach.

– Skąd o tym wiesz?

– Widziałem go, jak jechał sowieckim autem. Słyszałem też, co mówili więźniowie, którzy byli z nim w jednej celi na Schiesstange.

Mężczyzna wstał ze skrzynki i podniósł kilka desek z podłogi. Pod nimi krył się przykryty starymi szmatami skład broni. Wśród dziewięciomilimetrowych mauserów, maszynowych bergmanów i cięższych samopowtarzalnych karabinów kaliber 7,92 Franz znalazł lekkiego walthera, którego w policji kryminalnej używali od 1931. Ujął go w dłoń. Pistolet ułożył się idealnie. Sprawnym ruchem wyjął pusty magazynek. Spojrzał na mężczyznę, który odsunął pojedynczą deskę i spod podłogi wyjął naboje. Franz sześć z nich załadował do magazynku, resztę wrzucił do kieszeni, w której trzymał chleb.

– Możesz tu przenocować do jutra – powiedział mężczyzna. Włożył pojedynczą deskę, ukrywającą magazyn z nabojami, szmatami zakrył skład broni, który zniknął pod podłogą, postawił na nim swoją skrzynkę i rzucił Franzowi kawałek cuchnącego smarem koca. – Ale rano będziesz musiał iść w swoją stronę. Nie mam tu pensjonatu.

ROZDZIAŁ

29

Grube żyły na szyi majora Szygalewa nabrzmiały tak, że zdawało się, iż zaraz przebiją skórę. Po twarzy, która poczerwieniała z wściekłości, spływała ciężka kropla potu. Sierżant Czupajew, który stojąc sztywno przed Szygalewem, raportował mu przebieg zdarzenia w czasie wyjazdu z Niemcem, pomyślał, że grube nozdrza majora unoszą się niczym chrapy wzburzonego konia lub nozdrza byka, który przygotowuje się do ataku. Sierżant Czupajew pochodził ze wsi pod Czelabińskiem i zawsze porównywał ludzi do zwierząt, sądząc zresztą, że te są od ludzi o niebo lepsze. W niebo sierżant jednak nie wierzył.

– Dlaczego tam z nim pojechaliście? – ryknął Szygalew. – Mówiłem, że pozwalam tylko jechać po dzieciaka! A nie urządzić sobie wycieczki po mieście, Czupajew!

– Dzieciak był chory, towarzyszu majorze. Nie mogłem nie zawieźć go do szpitala. – Sierżant postanowił bronić swojego postępowania. Niemiec nie uciekł, a on zachował się właściwie. Tak uważał.

– A co ciebie obchodzi jakieś szkopskie dziecko, Czupajew?! Miałeś pojechać i wrócić!

– To było polskie dziecko, towarzyszu majorze!

– Polskie? To było dziecko z tego szkopskiego miasta! Siedziało ze szkopami i szkop chciał je uratować!

– Ale Niemiec mówił...

– Mnie nie obchodzi, co mówił Niemiec, Czupajew! Był rozkaz pojechać po dziecko i wrócić! A nie jeździć do szpitala, a potem włóczyć się po mieście!

– Ale ja myślałem, że...

– Ty, Czupajew, nie jesteś od myślenia! Mówiłem to już nieraz! To, że cię wziąłem i nie musisz walczyć na pierwszej linii, nie znaczy, że możesz sobie myśleć, co chcesz! I robić, co ci się podoba! Rozumiesz?

– Tak jest, towarzyszu majorze!

– Ja mogę cię jeszcze wysłać na front, żebyś własną piersią walczył o pokój, Czupajew!

– Ale, towarzyszu majorze, ja...

– Ja mogę cię wysłać do pilnowania tych szkopskich szumowin, jak trafią tam, gdzie ich miejsce! Nie będziesz miał lepiej niż oni! – Szygalew podniósł się zza biurka. Z każdym słowem czerwieniał jeszcze bardziej, a żyły na jego szyi wydawały się pulsować własnym życiem. – A wiesz, co my z nimi zrobimy, Czupajew!

– Tak jest, towarzyszu majorze! – Sierżant postanowił jednak wypełnić rozkaz i rzeczywiście zaprzestać myślenia. Wiedział, że słowa majora nie są tylko ostrzeżeniem, przestrogą dla niskiego rangą żołnierza, a jego złość może zamienić się w całkiem realne konsekwencje. Tak było z Paszą Uwarowem, którego major Szygalew miał do pomocy, zanim wyrzucił go za defetyzm. Pasza zginął na froncie, a major Szygalew nawet nie zainteresował się zawiadomieniem o jego śmierci.

– Ja mogę załatwić ci taki przydział, że już do mamusi nie wrócisz, Czupajew! Myślisz, że wojna się kończy i zaraz pójdziesz do cywila? Ja mogę ci znacznie wydłużyć czas służby, Czupajew! – Szygalew krążył po pokoju, nachylając się nad sierżantem raz z jednej, raz z drugiej strony. Jednak Czupajew czuł, że złość majora słabła. – Załatwię ci takie miejsce, w którym myślenie będzie całkowicie niepotrzebne! Oduczą cię tam myślenia, filozofie niedouczony! Zajmiesz się prawdziwą żołnierską robotą, a nie wożeniem szkopów po szkopskim mieście!

– Tak jest, towarzyszu majorze!

– Czy ty wiesz, co mogło się wydarzyć? On mógł zabrać ci broń i uciec, a wiesz, że to ważny człowiek, cenny dla nas. Mógł ci skopać ten twój dumny tyłek, zabrać samochód i odjechać w siną dal! A on ma dla nas dużą wartość, Czupajew! A szczególnie dla mnie i przez to dla ciebie. Rozumiesz, co mówię?

– Tak, towarzyszu majorze!

Major Szygalew opadł ciężko na krzesło za biurkiem. Jego szyja wyglądała już prawie normalnie, choć czoło było wciąż mokre. Duże krople potu zatrzymywały się na gęstych brwiach.

– No, dobrze przynajmniej, że z nim tu wróciliście – powiedział spokojniej oficer. – I że oddał wam broń. Swoją drogą, tak sam z siebie oddał?

– Tak, towarzyszu majorze! Najpierw wyrwał mi broń, a potem oddał.

– I wtedy go zakuliście w kajdanki?

– Tak. I przywiozłem natychmiast tutaj.

– Dobrze, Czupajew. A nie mówił, kogo z tą bronią tak szukał?

– Nie, towarzyszu majorze. Myślał przecież, że ja nie rozumiem po niemiecku.

– No właśnie! Może myślał, że nie rozumiecie i mówił do siebie!

– Nie, kiedy go zakulem w kajdanki i wiozłem z powrotem, tylko przeklinał. Ale nic poza tym nie mówił.

– A wcześniej?

– Też nie. Pokazywał tylko, że musimy jechać najpierw do szpitala, a potem do tego domu na... nie pamiętam, jak nazywa się ta ulica. Pokazywał mi na migi, jak jechać.

– Na migi, na migi! Czupajew! Żadnego pożytku z ciebie nie ma! – ryknął znowu Szygalew, a sierżant w napięciu obserwował żyły na jego szyi. – Po co ja ciebie mam?! Chyba tylko po to, żebyś nie musiał walczyć na prawdziwym froncie, tam, gdzie giną prawdziwi żołnierze!

– Ale front ideologiczny jest przecież równie ważny – zaprotestował Czupajew. – Sam towarzysz major to powtarza.

– Czupajew! Ty nie przesadzaj! Bo jeszcze dziś wylądujesz tam, gdzie szkopy ciągle mają siłę z nami walczyć!

– Tak jest, towarzyszu majorze!

– A teraz won mi stąd! Nie chce mi się już oglądać tej twojej myślącej gęby! I sprowadź tu tego szkopa! Natychmiast!

Kiedy za sierżantem Czupajewem zamknęły się drzwi, major Szygalew otworzył z impetem szufladę biurka, wyjął machorkę i papier i ciągle trzęsąc się ze złości, rozsypał tytoń na papierze. Zrolował go ostrożnie, ale papier rozszedł się z jednej strony, a machorka rozsypała się na blacie. Major zaklął. Strzepywał właśnie machorkę we wnętrze dłoni, bo nie chciał, by tytoń poszedł na zmarnowanie, gdy w drzwiach znowu stanął Czupajew. Za nim wszedł Heinrich Auerbach. Major gestem wskazał sierżantowi, by rozkuł kajdanki i wyszedł.

Gdy Czupajew zniknął za drzwiami, major Szygalew rozciągnął się na krześle za biurkiem, wsunął do ust papierosa, zapalił, wciągnął dym głęboko do płuc, a potem bez słowa obserwował tańczące smugi wydobywające się z jego wnętrza. Minęła długa męcząca chwila, zanim skierował wzrok na Auerbacha. Niemiec stał przed nim w milczeniu, już nie tak pewny, jak kilka minut wcześniej, gdy wchodził do gabinetu po Hauptsturmführerze Weckmannie.

Rozległo się ciche pukanie i do pokoju weszła Marianna. Wpatrywała się intensywnie w majora, starannie omijając wzrokiem Auerbacha. Usiadła obok Szygalewa i skupiła uwagę na końcówkach swoich splecionych na kolanach palców.

– Zapytajcie go, dlaczego zachował się w ten sposób – powiedział major.

Marianna przetłumaczyła, nie patrząc na Niemca.

– Powiedz mu, że musiałem zawieźć do szpitala tego chłopaka, bo miał tyfus. Jak byśmy go przywieźli tutaj, to zaraziłoby się wielu ludzi. A w szpitalu może mu pomogą – odpowiedział Auerbach, zwracając się do Marianny.

– Nie pytam o szpital. – Szygalew był zniecierpliwiony. – Dlaczego kazał mojemu sierżantowi jechać... w nieznanne miejsce, potem zabrał mu broń i biegał po domach?

– W szpitalu dowiedziałem się, że w Langfuhr przebywa mój wróg. To morderca, który uciekł dwa lata temu, po tym jak zamordował mojego przyjaciela. To nazista, ale może podawać się za liberała, a nawet socjalistę. Zrobi wszystko, żeby uniknąć kary i zbiec przed sprawiedliwością – mówił Heinrich Auerbach, a Marianna niemal równolegle tłumaczyła. – Kiedy dowiedziałem się od jego sąsiadki, która jest pielęgniarką w szpitalu przy Delbrückallee, że ukrywa się w swoim mieszkaniu przy Hermannshöferweg, musiałem tam natychmiast jechać i spróbować go znaleźć.

– Ale go tam nie było.

– Nie, nie było.

– Zapytaj go, czy zdaje sobie sprawę, że to, co zrobił, może unieważnić całe nasze porozumienie – zwrócił się do Marianny major Szygalew, nie spuszczać wzroku z Auerbacha.

– Tak, oczywiście – odpowiedział Obersturmbannführer, gdy Marianna przetłumaczyła. – Ale kiedy dowiedziałem się, że on jest w mieście, musiałem tam jechać. On zabił mojego przyjaciela.

– Jak nazywa się ten człowiek?

– Franz Thiedtke. Przed wojną był funkcjonariuszem Kripo, podwładnym Rudolfa Trögera. Jego teczka jest wśród akt, które wam przekazałem.

– Macie przypuszczenia, gdzie ten... no, ten Franz może teraz być?

– Zapewne będzie starał się mnie znaleźć.

– Dlaczego tak sądzicie?

– Wie, że ja wiem o tym, że on jest mordercą. Będzie chciał mnie zlikwidować, żeby ukryć swoją winę. I wszelkie inne przewinienia, które ma na swoim sumieniu.

– On był kimś ważnym w gdańskich strukturach?

– Tak, majorze! Do wybuchu wojny pracował w Prezydium Policji przy Karenwall jako podwładny doktora Trögera. Potem się wycofał, ale to były tylko pozory. Był lojalnym członkiem partii. Wszystko jest w aktach. No, a w czterdziestym trzecim zamordował mojego przyjaciela, niewinnego człowieka, który stanął na jego drodze.

– Dlaczego nie poniósł kary?

– Majorze, on był zaufanym człowiekiem władz partii w Danzigu, komisarzem policji. Nie mogłem z nim walczyć samodzielnie.

Major Szygalew przyjrzał się uważnie Auerbachowi. Zwinął jeszcze jednego papierosa i przywołał zza drzwi Czupajewa, który bez słowa zabrał gestapowca z powrotem do celi.

– Znacie tego Franza Thiedtkego? – zapytał, odwracając się w stronę Marianny. Kobieta siedziała sztywno, wpatrując się w drzwi, za którymi zniknął Niemiec.

– Nie, nie znam, towarzyszu Szygalew. – Miał wrażenie, że swoim pytaniem wytrącił ją na chwilę z równowagi. Poprawiła niewidoczną fałdę na spódnicy i spojrzała na niego wzrokiem pozbawionym wyrazu.

– A możecie dowiedzieć się czegoś na jego temat?

– Towarzyszu majorze, nie bardzo wiem jak...

– Wypytajcie tego Auerbacha. Przecież dobrze go znacie, prawda? No, nie krępujcie się.

W jej oczach pojawił się strach, może nienawiść, ale szybko się opanowała.

– No, towarzyszeko, widziano, jak wychodził z waszego prywatnego pokoju. – Uśmiechnął się Rosjanin.

Marianna milczała.

– Nie denerwujcie się tak. – Major Szygalew wstał i poklepał ją uspokajająco po ramieniu. – On jest dla nas cenny. Dla mnie jest cenny i dla was też, jak sądzę. Przypilnujcie, żeby nie robił więcej takich niemądrych rzeczy. Chciałbym go jeszcze dobrze wykorzystać. Nie mogę pozwolić, żeby przez swój porywczy charakter zaprzepścił naszą obiecującą współpracę – zniżył głos, by nadać mu bardziej przyjacielski ton. – Dowiedzcie się czegoś o tym komisarzu, a ja się nim zajmę, żeby nasz niemiecki przyjaciel nie zwracał już sobie nim głowy. Rozumiemy się, towarzyszeko Walewicz? No, a teraz możecie iść.

ROZDZIAŁ

30

Żeby życie miało sens. Tego zawsze pragnął, w zbrodniach, które badał, doszukując się logiki i prawdy o ludzkich losach. Ścieżki życia krzyżowały się, splatały i rozplatały jak bluszcz, który piął się po kamienicach na Hermanshöferweg. Nie lubił, gdy los dopadał kogoś przypadkiem, gdy ginął zabłąkany przechodzień, człowiek, który skręcił w niewłaściwą przecznicę, lub kucharka, której wyjątkowo zabrakło kartofli na supkę. Nie lubił, gdy w prosektorium trafiał na zwłoki strażnika, który zamienił się na zmiany z kolegą, gdy zamiast ojca ginęło dziecko albo gdy na miejscu włamania miało być pusto, a jednak ktoś nie wyszedł, został, zmienił zdanie, tym samym zmieniając cały układ swojego przeznaczenia.

Badając zbrodnie popełnione we Freie Stadt Danzig, składał odłamki wiedzy dostępnej policjantom, okruchy zeznań i własne skojarzenia, luźne myśli, które przychodziły w najmniej przewidywalnych momentach. Gdy golił się rano przed wyjściem do prezydium przy Karenwall, gdy kupował z Waltraud świeże ryby od handlarek z Bohnsack albo gdy z ust Krupkego wypływały niekończące się bezładne tyrady, w których padało jednak jedno słowo, niepozorne, lecz uruchamiające cały proces asocjacji faktów na pierwszy rzut oka zupełnie do siebie niepasujących, w efekcie jednak prowadzących do rozwiązania kolejnej zagadki. Zwykle proces ten był nieoczekiwany, dokonywał się poza świadomym rozumowaniem, na podobieństwo nagłego przebłysku. Jakby w mózgu nagle starły się informacje dotąd znane, lecz zupełnie ze sobą niepowiązane.

Potem przychodził etap analizy i sprawdzania przeczuć i olśnień. Długie godziny nad Motlau, spędzane na małym drewnianym krzeselku, które w niedzielny poranek rozkładał na nabrzeżu na Speiserinsel, nie przynosiły rozbłysków wyższej świadomości. Sprzyjały za to łączeniu faktów i przeczuć, bo mógł wtedy przyjrzeć się z każdej strony wszystkim możliwym ich kombinacjom. Zawsze nosił przy sobie mały notes, w którym zapisywał wszystko, co przemknęło mu przez myśl, łapiąc słowa, by nie uleciały. Wierzył w swoją pamięć, ale czasem na papierze rzeczy stawały się bardziej klarowne, a życie sprawiało jednak wrażenie sensownego. Sensu właśnie poszukiwał intensywnie w samotne wieczory, gdy w jego pokoju w prezydium gdańskiej policji długo nie gasło światło, choć wszyscy dawno opuścili już majestatyczny budynek przy Karenwall. Rozkładał na biurku akta sprawy, rozrysowywał kolejne etapy działań prowadzących do zbrodni, zapisywał nazwiska zamieszanych w sprawę i łączył to ze sobą we wszystkich możliwych konfiguracjach. Z pewnością na każde morderstwo poświęcał więcej czasu niż inni komisarze kryminalni, stąd więc brała się jego skuteczność, choć w Danzig mówiono, że ma po prostu talent do rozwiązywania skomplikowanych spraw.

A on zawsze chciał dotrzeć do sensu, do jednoznacznej prawdy, która upewniała go, że życie nie jest tylko chaosem, nieuporządkowanym zbiorem wydarzeń, które niczym kostka w dominie inicjowały kolejne działania. Chciał upewnić się w przekonaniu, że wszystko dzieje się w jakimś celu. Nie zawsze dostrzegalnym od razu, ale jednak istniejącym gdzieś pod warstwą wydarzeń i słów. Dlatego ulubionym pytaniem, które stawiał sobie w czasie pracy, było proste, choć wielu irytujące: dlaczego. Nie zaczynał od pytania, kto zabił. Bo to motyw zwykle implikował sprawcę. Odpowiedź na pytanie dlaczego zazwyczaj od razu niosła za sobą rozwiązanie zagadki.

Wojna odebrała mu poczucie sensowności. Wiarę w to, że niekonsekwencje losu są tylko przypadkiem, wyjątkiem w misternym planie złożonej maszyny, którą tworzyła ludzkość. Obserwował, jak konsekwencję i logikę działania zastępują zwierzęce instynkty, które prowadziły do prostego działania opartego na akcji i reakcji. Pytanie o przeznaczenie wydawało się co prawda jeszcze bardziej gnębiące, ale odpowiedź była coraz mętniejsza. Przeznaczenie zdawało się mieć teraz twarz nie tarotowego głupca, który nie wie, co czeka go na końcu drogi,

a jungowskiego trickstera, który obala społeczne normy i działając wbrew obowiązującemu dotąd porządkowi, formuje świat od nowa niczym wszechogarniający bóg-demon. Bo jaki sens był w upadku hanzeatyckiej metropolii, której ruiny dymiły nad mętными wodami Motlau, pełnej śniętych ryb, martwych ciał i bezużytecznych sprzętów domowych? Jaki sens miała śmierć Stefana Kamińskiego, który przeżył obóz, uciekł z transportu i trafił do piwnicy domu przy Adolf Hitler Strasse w Gotenhafen? Jaki sens miało spotkanie Guderiana i Kriwoszeina w Brześciu? Stworzone dla własnych obywateli Dachau i podlegających akcji ewakuacyjnej Auschwitz? Jaki sens tkwił w tym wszystkim, na co godzono się w ciągu ostatnich trzynastu lat? Gdzie w tym wszystkim była logika świata? Zdrowy rozsądek? Sumienie? Spokój duszy, gdy przychodzi jej koniec.

Franz Thiedtke nie wierzył już w nic. A właściwie wierzył tylko w samego siebie. I jeszcze w to, co czuł od Heleny. Choć ona sama zdawała się powoli rozpylić w morzu otaczających go ruin, ludzkich zwłok i zwierzęcych truchł. Stawała się bardziej nawiedzającą go we śnie zjawą niż realnym bytem, pociesycielką sumienia, zapewnieniem, że walther w jego kieszeni jest przejawem dawnej logiki, bo przecież chodzi o karę, której nie byłoby bez winy. Dzięki Helenie mógł poczuć się w morzu zgłiszcz i umierania jak ostatni człowiek, który zachował w sobie pytanie o sensowność świata. Ostatni, który posiadał prawo do wymierzania sprawiedliwości. Ostatni, który mógł uratować świat przed ostatecznym zatraceniem. „Potem ujrzałem anioła, zstępującego z nieba, który miał klucz od Czeluści i wielki łańcuch w ręce. I pochwyił Smoka, Węża starodawnego, którym jest diabeł i szatan, i związał go na tysiąc lat. I wtrącił go do Czeluści, i zamknął, i pieczęć nad nim położył, by już nie zwodził narodów, aż tysiąc lat się dopełni” – powtarzał w myślach, czując pod palcami zimną lułę pistoletu ukrytego w kieszeni spodni.

Wiedział, że musi znaleźć Heinricha Auerbacha. Potem naciśnie tylko spust walthera i wróci do Heleny. I zapomni o wszystkim, co wydarzyło się od dnia, gdy na peronie dworca w Danzig po raz pierwszy stanął Albert Forster, Goebbels przemawiał do gdańszczan na Heumarkt, a ulicami miasta przechodziły kolumny z pochodniami, prezydent policji Helmut Froböss zamykał opozycyjne gazety, a w Norymberdze ogłaszano zwycięstwo wiary, choć należało mówić raczej o opętaniu.

Franz Thiedtke myślał o losie i przeznaczeniu, podążając wczesnym rankiem z Opitzstrasse do Langfuhr, by zgłosić się jak zawsze do pracy w punkcie, gdzie polski milicjant kierował niemieckich mieszkańców do pracy przy porządkowaniu dzielnicy. Musiał zadbać, by jego nazwisko znowu znalazło się na liście, choć czasem zadawał sobie pytanie, czy miało to jakiegokolwiek znaczenie. Życie nie miało przecież wartości, a los pozbawiony był sensu. W każdej chwili mógł natrafić na łapaczy, którzy wywiozą go tam, gdzie będą chcieli, albo zastrzelą, jeśli nie spodoba im się jego twarz. I wcale nie będą mieli wyrzutów sumienia, bo jego życie stanie się tylko kolejnym elementem w dochodzeniu własnej sprawiedliwości i odzyskiwaniu ludzkiej godności, której pozbawili ich w ciągu ostatnich lat posługujący się, jak on, językiem niemieckim. Choć wcale nie czuł się elementem upadłej dyktatury, wiedział, że odpowiedzialność zbiorowa nie zadaje pytań i nie podważa wyroków, które wydają dotychczas gnębieni. Bo teraz to oni mają rację.

– Franz Thiedtke – powiedział, gdy dotarł w końcu na miejsce. Otarł rękawem pot z czoła i pomyślał, że sensu z pewnością nie ma w przemijaniu.

Chłopak, który sprawdzał listę Niemców z okolicy zobowiązanych do zgłaszania się na prowizorycznej komendzie, przebiegał oczami spis nazwisk. Nie czekając na pozwolenie, Franz odwrócił się, by dołączyć do tych, którzy szykowali się już do wyjścia, zbici w grupę pod drzewem kilka metrów dalej.

– Hej, Thiedtke! – Usłyszał natychmiast głos chłopaka.

Zawrócił, żeby dowiedzieć się, o co chodzi. Chłopak mówił coś po polsku, wtrącał kilka źle wymawianych niemieckich słów i stukał palcem w kartkę. Franz wzruszył ramionami i powiedział powoli, że nie rozumie. Wskazał grupę Niemców, którzy zaopatrzeni w łopaty formowali się w kolumnę, by zaraz wymaszerować z ogrodu willi przy Jaschkäntalerweg, ale chłopak pokręcił przecząco głową i znowu postukał palcem w listę.

– Chcę iść do pracy – powtórzył Franz, widząc, że niemiecka kolumna opuszcza ogród pod nadzorem dwóch chłopaków z biało-czerwonymi opaskami na ramieniu. – Człowieku, o co chodzi? – Zaczął się niecierpliwić. W odpowiedzi Polak zawałał kogoś, nie spuszczać go z oczu.

Z zaparkowanego obok samochodu, radzieckiego łazika przykrytego brudną plandeką, wysiadła młoda kobieta. Choć miała na sobie tylko prosty szary kostium, wśród ludzi w brudnych podartych ubraniach wydawała się niemoralnie szykowna. Podeszła nieśpiesznie do milicjanta, który wyrzucał w jej stronę potok świszczących słów. Szeleszczące polskie głoski świdrowały Franzowi zmęczony mózg, jednak to nie słuch, a wzrok obezwładnił nagle jego szare komórki. Stojąca przed nim kobieta nie zwracała na niego uwagi, przeglądając papiery, które podał jej chłopak. Ale emerytowany komisarz nie mógł oderwać od niej wzroku. Przyglądał się jej regularnym rysom, wysoko zarysowanym brwiom, policzkom, które były bardziej zapadnięte niż kiedyś, ale dodawały jej twarzy duchowej ascezy, której wcześniej brakowało, krótko obciętym, lecz starannie ułożonym blond włosom, które okalały twarz niemal pozbawioną makijażu. Twarz była blada i pozbawiona dawnego blasku, dlatego przez chwilę nie był pewien, czy pamięć go nie zmyliła, czy kobieta, którą miał przed sobą, była rzeczywiście tą, za którą ją wziął. Przypomniał sobie zwłoki znalezione na molo w Glettkau. Niemal poczuł tamten słony wiatr, który nie był w stanie przepędzić smrodu rozkładającego się ciała. Nieruchome oko wpatrywało się w niego uporczywie, aż poczuł zmieszanie, jakby kobieta wyłowiona z morza milcząco prosiła o znalezienie swego prześladowcy. Kobieta, która stała teraz naprzeciwko niego, nie spoglądała w jego stronę. Zachowywała się, jakby był zupełnie niewidzialny lub przezroczysty i nie miała pojęcia, że jej pojawienie się wywołało tak wielkie emocje u nieznanego człowieka. Przebiegła wzrokiem po dokumencie, który trzymała w dłoni, po czym oddała go chłopakowi i wymieniła z nim jeszcze kilka zdań.

Franz Thiedtke po pierwszym niedowierzaniu, które zastąpiła ekscytacja, teraz poczuł zadowolenie, wzrastające poczucie szczęścia, choć nie wiedział, czy bardziej cieszy go to, że Marianna Walewicz przeżyła wojnę, czy to, że miał rację, bo kobieta, którą w sierpniu trzydziestego dziewiątego wyłowili z wody dwaj chłopcy z Hitlerjugend, była podrzuconym przez Auerbacha sobowtórem, słowa Lotte Meier zaś były prawdziwe. Pomyślał, że oto zamyka w końcu sprawę topielicy z Glettkau. Jego ostatnia sprawa wreszcie zyskuje swój finał. Będzie mógł przejść w końcu na spokojną emeryturę i z rozrzewnieniem wspominać wyłącznie chlubne chwile z własnej przeszłości. Teraz należało jeszcze ująć sprawcę.

– Panie Thiedtke – zwróciła się do niego nieoczekiwanie Marianna Walewicz. – Tu jest nakaz dla pana. Ma się pan zgłosić w obozie przejściowym dla Niemców. Zostanie pan zarejestrowany, poddany badaniu lekarskiemu, a potem odesłany do Niemiec. Rozumie pan?

W pierwszej chwili nie zrozumiał. A może nie słuchał, wpatrzony wciąż w jej twarz.

– Zabiorą pana do obozu i odeślą do Niemiec – powtórzyła Marianna Walewicz z lekkim zniecierpliwieniem.

– Nie. – Chciał jej powiedzieć, kim jest, chciał, żeby dowiedziała się tego, że ją zna, że cieszy się z tego spotkania, że to da mu spokój, którego nie mógł odnaleźć od czasu, gdy pochylił się nad martwą kobietą leżącą na molo. Ale zaprotestował tylko bez przekonania: – Odeślą? Ale ja nie mam tam nikogo.

– Panie Thiedtke, tu jest dokument, zgodnie z którym on – wskazała na chłopaka, który przyglądał się im, siedząc za swoim kiwajacym się przy każdym poruszeniu stołem – ma pana dostarczyć do obozu przejściowego. Słyszał pan o Arbeitslager Narvik w Langfuhr?

Skinął głową.

– Ale ja nie znam się na pracy w stoczni. – Wiedział, że w czasie wojny w Narwiku trzymano więźniów, którzy pracowali w Danziger Werft.

– Teraz to będzie obóz przejściowy. Tak jak powiedziałam. Proszę stanąć tutaj – kobieta wskazała miejsce za plecami chłopaka, który przyglądając się im, obgryzał paznokcie – i poczekać. On zabierze pana do Narwiku. – Odwróciła się i chciała odejść.

– Ale ja nie chcę wyjeżdżać z Danzig! – krzyknął w jej stronę.

Zatrzymała się i odwróciła.

– Ja mam żonę. Polkę. Ona jest w Gdingen. Nie chcę jechać do Niemiec – wyrzucał z siebie szybko. W końcu słowa Marianny dotarły do niego wraz z całym sensem, które w sobie zawierały.

– Panie Thiedtke, lepiej niech pan stąd wyjeżdża. Jak chcą pana wysiedlić, niech pan nie czeka.

– Nie! Proszę zrozumieć!

Nie słuchała go już. Odwróciła się i zmierzała w stronę samochodu.

– Pani Marianno! – zawołał.

Zatrzymała się natychmiast. Jej twarz zrobiła się jeszcze bledsza. Podeszła do Franza Thiedtkego z zaciekawieniem, za którym kryła się złość.

– Skąd pan wie, jak mam na imię?

– Jestem emerytowanym komisarzem policji. Prowadziłem sprawę, w której pani była ofiarą morderstwa.

Cofnęła się o krok. Przyglądała mu się chwilę w milczeniu.

– Nie wiem, o czym pan mówi – powiedziała w końcu. – Proszę przygotować się do wyjścia do Arbeitslager Narvik. Żegnam.

Patrzył, jak oddala się w stronę łązika. Wsiadła do wnętrza, a kiedy samochód odjeżdżał, odwróciła głowę tak, by go nie widzieć.

ROZDZIAŁ

31

– Franz, obudź się. – Kobięcy głos powoli przedostawał się do jego świadomości. Słowa były z początku niezrozumiałe, miał wrażenie, że ktoś wypowiada je zbyt wolno i za cicho. Dopiero po chwili rozszyfrował ich znaczenie, jakby każda sylaba była elementem układanki, którą należało poskładać, by nabrała jakiegokolwiek sensu.

– Franz, słyszysz mnie? Otwórz oczy. Proszę cię, Franz.

Powieki były ciężkie. Gdy je unosił, miał wrażenie, że skrzypią jak nienaoliwione drzwi, których nikt dawno nie używał. Pomyślał, że on także dawno nie używał swoich powiek, skoro teraz nie może ich po prostu otworzyć. Świat był rozmyty. Światło go oślepiło.

– Franz, tak! Obudź się! To ja, Helena!

Powieki nabrały sprawności. By obronić się przed światłem, mrugał nimi nerwowo. W końcu dostrzegł nad sobą zarys sylwetki, postać, która rozmywała się w otaczającym ją blasku. Przystłonił oczy ręką, sztywną i ciężką. Z trudem, ale w końcu udało mu się ją unieść. Obraz powoli nabrał ostrości. Po długiej chwili zobaczył nad sobą twarz Heleny. Okolona kręconymi włosami, które ułożyła starannie, wydała mu się nienaturalnie jasna, jakby blask, który go oślepił, przeświecił ją jak twarze na zepsutej błonie fotograficznej.

Chciał coś powiedzieć, ale z jego ust dobiegł tylko chrapliwy warkot.

– Cicho, cicho! – Helena położyła dłoń na jego policzku. Dłoń była chłodna, on był rozpalony. Miał wrażenie, że skóra go parzy. Twarz była tak napięta, że bał się, by nie popękała.

– Franz, jesteś chory – mówiła Helena. Jej głos uspokajał go. Zamknął oczy i chciał tylko, by nie przestawała, by mówiła dalej, spokojnie i cicho. – Ale to nie ma znaczenia. Najważniejsze jest to, że cię znalazłam, i teraz wszystko będzie już do brze. Nie bój się! Zajmę się tobą, Franz. Zabiorę cię do Gdyni. Wyzdrowiejesz. Zostawimy to przekłętą miasto. Nic tu już nie ma. Zostały tylko wypalone mury. Nie ma życia. A w Gdyni będzie dobrze. Zapomnisz o wszystkim, dojdiesz do siebie, będziemy żyli tak, jak to sobie obiecywaliśmy. Pamiętasz? Spokojnie, normalnie. Codziennie obiad zjedzony wspólnie przy stole nakrytym obrusem, a w niedzielę spacer po plaży.

Napięta, rozpalona skóra nie pozwoliła mu się uśmiechnąć, ale po omacku odszukał dłoń Heleny. Ścisnął ją mocno, jakby ten ucisk miał sprawić, że rzeczywiście już nigdy więcej się nie rozdziela.

– Co... co się... stało? – Mówienie okazało się prawie niemożliwe. Język był opuchnięty i zeszywniały. Miał wrażenie, że ktoś nasypał mu do ust mokrego, nadmorskiego piasku.

– Masz tyfus. Ale nie bój się. Wyleczę cię z tego. Zabiorę cię z tego miejsca. Pozwolili mi. Tu mam dokument. Popatrz!

Unosił powieki. Helena przysunęła blisko jego twarzy zapisaną kartkę papieru, ale nie był w stanie rozróżnić liter.

– Rozmawiałam z komendantem obozu. Wyjaśniłam mu wszystko. Powiedziałam, że zabieram cię do Gdyni, że jestem Polką, że ty nie masz nic wspólnego w tym, co działo się w Gdańsku, i ja mogę to poświadczyć. I zrobię to, jeśli będą robić weryfikację, bo jesteś najszlachetniejszym człowiekiem, jakiego znam, i nie ma znaczenia, że jesteś Niemcem, bo przecież nie wszyscy Niemcy są źli. To wszystko mu powiedziałam, a on, chociaż Rosjanin, pokiwał głową i zrozumiał. I zgodził się, żeby nie wysyłali cię do Niemiec. Powiedziałam, że ty nikogo w Niemczech nie masz, że masz tylko mnie, a ja jestem tutaj, w Gdyni. I on zrozumiał, Franz. Słyszysz? Zrozumiał. Jestem taka szczęśliwa!

Ścisnął jej dłoń.

– Teraz musisz dojść do siebie. Jesteś słaby, ale chciałabym zabrać cię stąd od razu. To nie jest miejsce dla chorego. Oni nie mają tutaj warunków, żeby cię leczyć. W Gdańsku jest epidemia tyfusu, a oni nad nią nie panują. A ja, wiesz, wróciłam do szpitala. Przyjęli mnie z powrotem do pracy. Znowu jestem lekarzem, Franz! Zabiorę cię stąd i umieszczę w moim szpitalu. Pamiętasz szpital w Gdyni? Pamiętasz, jak się tam poznaliśmy?

Pamiętał, oczywiście, że pamiętał. Leżał na szpitalnym łóżku, a ona się nim zajęła. Ich losy splotły się wtedy ze sobą nieoczekiwanie, choć nie myślał, że czeka go jeszcze coś takiego.

– Do Gdyni wracają ludzie, którzy mieszkali w niej przed wojną. Mają wrócić siostry, które założyły szpital. Wiesz, nawet znajomi sąsiedzi wrócili – mówiła Helena, a on chłonał łapczywie jej głos, bo miał wrażenie, że jego dźwięk łagodzi ból rozlewający się po całym ciele. – Wywieźli ich w trzydziestym dziewiątym. Nie sądziłam, że jeszcze ich zobaczę. Okazało się, że całą wojnę mieszkali na wsi pod Radomiem, w Generalnej Guberni. Wspaniale, prawda? Poznasz ich. To cudowni ludzie. Pomagają mi, bo nie jest mi łatwo. Ale wiem, że to się zaraz skończy. Wyzdrowiejesz, wrócisz do domu.

Dom. Kiedyś nie był najważniejszy. Po prostu był, a on wiedział, że zawsze czeka w nim Waltraud. Nigdy o tym nie rozmawiali, ale po prostu tak było. On mógł poświęcić się pracy, mógł biegać po całym Danzigu, tropiąc morderców i gwałcicieli, a ona zajmowała się wszystkim, co wiązało się z ich codziennością. Gdy przekraczał próg mieszkania przy Kohlenmarkt, całe zło, które towarzyszyło mu dzień po dniu przez te wszystkie lata pracy w prezydium przy Karenwall, pozostawiał za sobą i zamieniając buty o zdartych o miejski bruk zelówkach na domowe kapcie, mógł zagłębić się w fotel i rozkoszować spokojem, o który dbała Waltraud. Wtedy tego nie doceniał. Traktował, jak coś zupełnie zwyczajnego, element życiowej rutyny, w której każdy ma swoje obowiązki i nie przekracza wyznaczającej je granicy. Nigdy nie zastanawiał się, czy Waltraud była zadowolona, nigdy nie pytał, czy jest z nim szczęśliwa. Teraz poczuł głęboki smutek na myśl o tym, że Waltraud może wcale nie była z tego zadowolona, a on nigdy nie będzie już mógł jej o to zapytać. Strachem przejęła go myśl, że Waltraud mogła uznać życie, które z nim spędziła, za zmarnowane.

Przeszył go dreszcz. Rozpalone ciało nagle zlodowaciało. Zaczął się trząść.

Może Waltraud rzeczywiście nie była szczęśliwa. Może nie zauważył, że praca zabrała go jej, a on nawet się nad tym nie zastanowił. Nie zatrzymał, nie pomyślał. Kochał Waltraud, zawsze uważał, że jest najważniejsza, że ich życie jest idealne, choć nigdy o tym nie rozmawiali. Wiedział, że Waltraud chciała mieć dziecko. Nigdy się nie udało i o tym też nie mówili. Pomyślał teraz, że mimo porozumienia, które mieli, mimo zgody, która zawsze panowała w ich domu, nie rozmawiali o wielu rzeczach, o których być może Waltraud myślała, gdy on zapuszczał się w brudne zaułki Ohry czy Neufahrwasser, by zdobyć kolejną pochwałę z ust przełożonych i przeczytać o sobie w „Danziger Neueste Nachrichten”. Na myśl o tym, że Waltraud mogła być nieszczęśliwa, poczuł, że gardło, suche i opuchnięte, zaciska się jeszcze bardziej. Z trudem łapał powietrze. Ale, pomyślał, teraz była Helena. Z nią mógł naprawić tamte błędy, mógł zrobić to, czego nie zrobił, będąc mężem Waltraud. Chciał od razu zapytać, czy przez te wszystkie miesiące tułaczki, gdy nie byli pewni kolejnego dnia, bo choć nikt ich nie gonił, nie mogli czuć się bezpiecznie, ona nie żałowała decyzji, która z pokoju w Oxhöft zaprowadziła ją na kaszubską wieś, żuławskie równiny i podłe gdańskie przedmieścia, gdzie zatrzymywali się na kilka dni lub tygodni, by potem wędrować dalej. Chciał dowiedzieć się, czy choć przez chwilę czuła się przy nim szczęśliwa. Czy był wart tego, co zrobiła, ukrywając go, gdy stracił pamięć, wierząc mu, choć nie musiała, a potem porzucając w miarę bezpieczne życie w Gotenhafen, by uciekać razem z nim. Czy nie przeklinała w milczeniu tamtego dnia, gdy znalazł się na łóżku szpitala przy Litzmannplatz, a ona odkryła, że ktoś próbował go zabić. To jej zawdzięczał utraconą w hotelu w Adlershorst pamięć i pewność, że nie był mordercą Aloisa Richtera. Choć ta pewność kosztowała ich kolejne miesiące ukrywania się, dzięki niej mógł być pewien, że jest tym, za kogo sam siebie uważał.

Chciał o to wszystko zapytać, ale język odmówił mu posłuszeństwa. Miał wrażenie, że rozrósł się w ustach, napęczniał, zabrał całą przestrzeń, uniemożliwiając formowanie zgłosek, sylab i wreszcie całych wyrazów. Mięśnie twarzy zwiotczały. Z gardła wydobył się niezrozumiały bulgot.

– Spokojnie, Franz! – Poczuł rękę Heleny na swoim ramieniu. Opał na twardą pryczę. Dygotał z zimna. Okryła go. Szorstkie włosie koca podrapało go w policzek. Miał wrażenie, że skóra krwawi, ale chłodna dłoń Heleny otarła

krewni. – Zaraz cię stąd zabiorę – powiedziała. – Znajomy sąsiada załatwił transport. Ktoś pożyczył nam samochód. Sąsiad jest tu ze mną. Został na zewnątrz, nie pozwolili mu wejść do baraku. Ale czeka. Zabierzemy cię do Gdyni, do szpitala. Zobaczysz, Franz, jeszcze wszystko się ułoży. Zobaczysz.

Jej słowa powoli rozplynęły się w jego głowie. Zdążył jeszcze pomyśleć, że twarda prycza zrobiła się nagle wygodna, i ukołysany głosem Heleny, usnął.

ROZDZIAŁ

32

Heinrich Auerbach stał przed Szygalewem. Patrzył na majora, który rozparty za biurkiem nie zwracał na niego uwagi, i myślał o tym, że sowiecki oficer wzbudza w nim coraz większą odrazę. Polak, który podawał się za Rosjanina, z Armią Czerwoną wyzwalał miasto, które Polacy uważali za swoje, a które teraz, nim stało się rzeczywiście polskie, już oddawali w ręce Sowietów, wydał mu się godnym pogardy konformistą, choć wcześniej uznał, że są do siebie podobni. Przede wszystkim nie podobało mu się to, że Szygalew mimo tego, iż zaakceptował warunki ich porozumienia, ciągle pokazywał mu swoją wyższość, każdym gestem podkreślając dezaprobatę wobec niemieckiego oficera. Obersturmbannführer Auerbach nie znosił, gdy major wzywał go do siebie, po czym w milczeniu kazał mu stać przed swoim znużonym obliczem. Sam robił to kiedyś z krnąbrnymi podwładnymi i więźniami, których należało złamać bez fizycznej przemocy, dlatego teraz doprowadzało go to do szału. Choć wiedział, że nie powinien tego pokazywać. Zaciśkał pięści, w milczeniu znosząc zniewagę. Nie wymagał psychicznego nacisku, nie trzeba go było doprowadzać do wściekłości. Sam zgłosił się do Sowietów, sam oddał się w ich ręce i wskazał skrzynię z dokumentami, które Szygalew mógł teraz czytać każdego wieczora do poduszki. Chciał współpracować i nikt nie musiał traktować go w ten sposób, nawet Szygalew. Poza tym major ciągle trzymał go w ocalałym budynku przy Neugarten, a on źle znosił areszt, który zachowywał pozory wolności, w rzeczywistości go ubezwłasnowalniając.

Ciszę przerwało głośnie pukanie. Do pokoju weszła Marianna. Miała na sobie tę samą białą bluzkę, w której widział ją trzy dni wcześniej, gdy wślizgnęła się do jego pokoju. Rozmawiali cały wieczór, a on czuł, że ta rozmowa, chyba najszczerza, jaką kiedykolwiek odbyli, przyniosła mu nieoczekiwaną ulgę. Opowiedział jej o tęsknocie, którą odczuwał przez te wszystkie lata, gdy się nie widzieli, że pogrzebał ją razem z tamtą prostytutką z Hakelwerku, bo nie sądził, że jeszcze kiedykolwiek się spotkają, mówił o tym, jak dusił się w Danzig, choć służba tutaj dała mu możliwości, których nie miałby pewnie w żadnym innym niemieckim mieście, bo przed wybuchem wojny Danzig pod cienką warstwą interesów robionych w nadmorskim porcie skrywał siatkę działających z impetem szpiegów, a szpiegostwo było przecież jego żywiołem. Opowiedział jej o tym, co robił w czasie wojny, choć kiedy pozbyli się z miasta Polaków, nad Motlau powiało nudą. Zastraszanie niemieckich obywateli i inwigilacja tych, którzy stawali się przedmiotem donosów własnych sąsiadów, była daleko mniej interesująca niż walka z polskim wywiadem i preparowanie informacji, które przekazywali Polakom ludzie tacy jak ona. W końcu postanowił też opowiedzieć o Franzu Thiedtkem, choć Marianna wydawała się już zmęczona i nie miała większej ochoty wysłuchiwać jego historii. Ale on poczuł potrzebę, by powrócić do tamtych wydarzeń i usprawiedliwić się przed nią z zajścia, które do wściekłości doprowadziło majora Szygalewa. Chciał, żeby go zrozumiała. Chciał, żeby wiedziała, że robi to także dla niej, że chce, by Franz Thiedtke zniknął w końcu z jego życia, by mogli to życie wspólnie ułożyć, teraz, kiedy znowu się spotkali. Franz Thiedtke wiedział o nim wszystko. To go drażniło, nie dawało spokoju, nie pozwalało spokojnie zasnąć, zwłaszcza teraz, kiedy wiedział, że znowu jest niedaleko. Był przekonany, że emerytowany komisarz spróbuje go odszukać i zniszczyć jego plan przejścia na drugą stronę, bezbolesnego pozbycia się przeszłości, strzepnięcia z siebie tego, co wiązało się z jego służbą dla Rzeszy. Domyślał się, że Franz Thiedtke był w Danzig, bo dokładnie wiedział, że cios, który Heinrich Auerbach zadał komuś w tamtej piwnicy w Gotenhafen, był przeznaczony dla niego. Zwykle nie zastanawiał się nad przeznaczeniem. Nie wierzył, że gdzieś poza ludzkim postrzeganiem świata zapisane są jego losy. Zawsze uważał samego siebie za twórcę wydarzeń, za kreatora, który w zaciszu własnego gabinetu tworzył scenariusze, wcielane potem w życie. Doszedł do takiej perfekcji, że ludzi, którzy stawali

się elementami jego planów, zaczął postrzegać wyłącznie jako marionetki, odgrywające role w jego teatrze. I tylko Franz Thiedtke burzył mu to poczucie własnej wszechmocy. To także doprowadzało go do irytacji.

Opowiedział to wszystko Mariannie, która z trudem odganiając sen, położyła w końcu głowę na jego kolanach i w milczeniu słuchała jego opowieści. Kiedy skończył, już spała. On także w końcu usnął, czując ulgę, której nie potrafił zdefiniować, a jednak miał wrażenie, że stał się znowu tak niewinnie czysty, jak wówczas, gdy spotkał Mariannę po raz pierwszy.

Kiedy obudził się nad ranem, był sam. Kolejne dwa dni upłynęły mu na przesłuchaniach u majora Szygalewa, który słowem nie wrócił już do jego eskapady na Hermanshöferweg. Długie godziny spędzali nad dokumentami, które Auerbach przekazał mu w skrzyni ukrytej w schowku w piwnicy. Ich rozmowy tłumaczył jednak jakiś nieznyany mężczyzna, który mówił po niemiecku z silnym słowiańskim akcentem. Szygalew nie zareagował, gdy zapytał, co stało się z Marianną.

A teraz pojawiła się w dawnym gabinecie Hauptsturmführera Weckmanna. Usiadła obok majora i uśmiechnęła się do Heinricha Auerbacha jakoś tak nieśmiało, tym uśmiechem przywołując tamten wieczór sprzed trzech dni, gdy poczuł taką bliskość, jakiej nie zaznał z żadnym innym człowiekiem w swoim życiu. Uśmiech jednak szybko znikł z jej twarzy, ustępując miejsca skupionej obojętności, w jaką zwykle przyoblekała ją, tłumacząc.

– Byliście w ciągu ostatnich dni bardzo pomocni – odezwał się major Szygalew, podnosząc wzrok znad dokumentów, które leżały na biurku przed nim.

Marianna zaczęła tłumaczyć.

– Wszystko to, co mówiliście, jest prawdą, więc doceniam wasze prawdziwe zaangażowanie w naszą sprawę. Doceniamy też wasze doświadczenie w trudnej sztuce walki poza frontem. Wasza orientacja w tej materii, wyszkolenie i wasz instynkt, który osobiście podziwiam, z pewnością będą nam przydatne także po zakończeniu wojny. To jest już kwestia dni, oczywiście, ale walka o słuszną sprawę nie zakończy się wraz z kapitulacją Trzeciej Rzeszy i pojmaniem niemieckiego dyktatora. Walka o pokój to długa i mozolna droga, a ludzie tacy jak wy będą nam w tej drodze bardzo pomocni. Dlatego w porozumieniu z moimi przełożonymi postanowiliśmy, że wyślemy was do Moskwy. Tam was przeszkolimy, popracujemy nad waszym światopoglądem, a potem z pewnością będziecie mogli być przydatni do naszej walki o pokój.

Auerbach przełknął ślinę. Poczuł, że zaschło mu w gardle.

– Nie, nie bójcie się. – Szygalew uśmiechnął się uspokajająco. – Nie wysyłamy was tam, gdzie pojedą ci, którzy byli winni tego, co działo się przez lata wojny. Faszyci. Naziści. Ci, którzy nie zrozumieli, jak wy, co jest słuszne. Wyślemy was do Moskwy na szkolenie ideologiczne, wy wyjaśnicie nam jeszcze kilka spraw i opowiecie o kilku ludziach, a potem zadamy o waszą przyszłość. Żebyście nie czuli się zagubieni, pojedzie z wami nasza tłumaczka. – Odwrócił się do Marianny, która zaczerwieniła się lekko. – Myślę, towarzyszeko Walewicz, że należy zacząć też lekcje rosyjskiego – powiedział do niej ciszej, a ona kiwnęła nieznacznie głową i nie patrząc na Heinricha Auerbacha, przetłumaczyła szybko:

– Będę uczyć cię rosyjskiego. Nie bój się. On mówi prawdę.

– Szykujcie się do podróży – major zwrócił się ponownie do Auerbacha. – No i idźcie już stąd. Nie mogę patrzeć, jak tak przede mną stoicie. – Machnął ręką w stronę drzwi, odpowiadając go bez wojskowej etykiety.

Heinrich Auerbach usłyszał otwierające się za jego plecami drzwi. Marianna podniosła się z krzesła. Szygalew także uniósł się zza biurka i uściśnął jej dłoń, mocno i zdecydowanie. Coś powiedział, ale Auerbach nie zrozumiał. Ona chyba krótko podziękowała, po czym skierowała się w stronę wyjścia. Podążył za nią.

– Towarzyszeko Marianno. – Głos Szygalewa zatrzymał ich w progu. – Tym Franzem Thiedtkem nie trzeba się już przejmować. Wysłaliśmy go do obozu przejściowego. Niebawem znajdzie się w pociągu na wschód. Przetłumaczcie mu to, kiedy stąd wyjdziecie.

Auerbach nie zrozumiał, czekał na tłumaczenie, ale Marianna skinęła tylko głową i wyszła na korytarz. Ruszył za nią. Zatrzymali się dopiero na schodach. Powtórzyła mu słowa majora.

– Wyślą go do Sowietów? – Auerbach poczuł zadowolenie, bo zemsta mogła okazać się jeszcze bardziej okrutna niż ta, którą on sam dla Franza Thiedtkego zaplanował. – Na Syberię?

Marianna kiwnęła potakująco głową.

– Do łagru – powiedziała i odwróciwszy się, ruszyła dalej.

Wziął głęboki oddech i uśmiechnął się do siebie. Znowu poczuł sympatię do Szygalewa. Major postanowił wyręczyć go w załatwieniu osobistych porachunków.

– Gdzie on teraz jest? – zapytał, gdy dotarli na ostatnie piętro, do jego pokoiku, niby celi, z której Szygalew zabronił mu się ruszać bez swojego pozwolenia.

– Kto? – Marianna zamknęła za nimi drzwi i popatrzyła na niego, nie rozumiejąc. – A! Mówisz o tym policjancie? – Wzruszyła ramionami.

Podeszła do okna i otworzyła je szeroko. Oparłszy się o ścianę, zapaliła papierosa. Przyglądał się jej, gdy bez słowa podążyła wzrokiem za unoszącymi się w powietrzu smugami dymu, które splatały się i rozplatały, tańcząc leniwie nad ruinami szpitala diakonisek, nad wypalonym szkieletem Senatu, nad Silberhütte i zdewastowanym parkiem, gdzie na przekór otaczającej je apokalipsie drzewa puszczały pierwsze pąki. Choć w mieście skończyły się pożary, a pozostali w Danzigu mieszkańcy powracali powoli do swoich domów, nad Kohlenmarkt i Altstädtischer Graben, nad Brandgasse i Häkergasse, Nonnenhof i Schäfererei, mimo że część z nich przestała już istnieć, ciągle unosił się odór spalenizny, ten swędzący opar, który wgrzyzał się w stojące jeszcze ściany kamienic i nie pozwalał o sobie zapomnieć ich przesiąkniętym smrodem strachu i umierania lokatorów.

– Cieszę się, że stąd wyjedziemy – powiedziała cicho Marianna. W jej głosie był smutek, ale łagodny, spokojny, pozbawiony nostalgii, którą zwykle niosło ze sobą rozstanie.

– Nigdy nie lubiłem Danzigu. – Heinrich Auerbach usiadł na pościelonym starannie łóżku. Rozejrzał się po pokoju, ale stwierdził, że oprócz kilku sztuk ubrań, które dostał, gdy postanowił oddać się w ręce Rosjan, nie miał nic, co mógłby zabrać ze sobą w podróż.

– A ja kochałam to miasto – odrzekła Marianna. – Wiem, że dla ciebie to niepotrzebne sentymenty. Słabość, której nienawidzisz. Ale nic na to nie poradzę.

Wstał z łóżka i podeszedł do niej. Próbował ją objąć, ale odsunęła jego ramię i odwróciła się od niego.

– Ty nie jesteś słaba – powiedział. – Jesteś najsilniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek poznałem. Dobrze o tym wiesz.

Wyrzuciła niedopałek na ulicę i zamknęła okno.

– Nie, Heinrich. – Spojrzała mu prosto w oczy. W jej spojrzeniu było coś wyzywającego, jakby chciała go teraz sprowokować, sprawić, by zdecydował się, czy odejść, nie porzucając swoich przekonań, czy zostać, mimo że to, co miała mu do zaoferowania, nie było tak idealne, jak mu się wydawało. – Nie jestem silna. Jestem słaba, bardzo słaba – powiedziała. – I jestem zmęczona. Nie mam już siły na to, by odgrywać rolę, którą kiedyś sama stworzyłam. Spójrz – wskazała okno – spójrz na to miasto. Już go nie ma. I nie ma tamtej Marianny. Jestem ja. Cieszę się, że stąd wyjedziemy, bo tamta Marianna zostanie tutaj. Uwolnię się od niej. Zbuduję sobie nowe życie. I chcę, żebyś się zastanowił, czy chcesz być jego częścią.

– Szygalew powiedział, że pojedziemy do Moskwy razem.

– Nie o to chodzi, Heinrich.

Długą chwilę przyglądał się jej w milczeniu. Ale mimo słów, które właśnie wypowiedziała, pomyślał, że tamta Marianna wcale nie odeszła. Nie zniknęła pod ruinami domu przy Breitgasse. Widział to w jej spojrzeniu, w zmarszczce, która przecinała jej czoło, w każdym napiętym mięśniu twarzy, rzeczywiście zmęczonej i poznaczonej zarysowującą się powoli siatką drobnych zmarszczek, ale wciąż tą samą twarzą Marianny Walewicz, którą spotkał w berlińskim ogrodzie nad *Paphiopedilum stonei*.

– Gdzie jest Franz Thiedtke? – zapytał nieoczekiwanie, a ona zamrugła ze zdziwienia oczami.

– W obozie przejściowym w Langfuhr – odpowiedziała.

– Pojedziemy tam teraz. – Jego głos był stanowczy. Wziął ją mocno za rękę i pociągnął w kierunku drzwi. – Powiedz temu pomagierowi Szygalewa, żeby nas tam zawiózł.

– Ale po co? – Próbowała wyzwolić się z uścisku, ale Auerbach nie puszczał jej dłoni. Ześlizgiwała się niemal po stopniach kamiennych schodów, nie mogąc za nim nadążyć. Wreszcie na chwilę się zatrzymał.

– Jeśli chcesz, żebym zostawił dawnego Heinricha Auerbacha tutaj, w Danzig, to zabierz mnie do Franza Thiedtkego – powiedział twardo.

ROZDZIAŁ

33

– Jak to nie ma go tutaj? Co pan opowiada? – Strażnik stojący przy bramie prowadzącej na teren obozu mówił po niemiecku i Heinrich Auerbach mógł rozmawiać z nim bez tłumacza. – Przecież był rozkaz, żeby doprowadzić go właśnie tutaj. Z punktu w Langfuhr został zabrany już trzy dni temu. Trzy dni idzie się tutaj z Jäschkentalerweg?

Kiedy jechali do obozu, Marianna opowiedziała mu o swoim spotkaniu z Franzem Thiedtkem w punkcie milicyjnym w Langfuhr. Trzy dni temu rano.

– A pan właściwie to kto jest? – Na podniesiony głos Auerbacha strażnik zareagował krzykiem. Ujął mocniej karabin, który wcześniej podskakiwał mu na plecach, przewieszony niedbale przez ramię, i kierując lufę w jego stronę, dodawał sobie ważności.

– Chcę rozmawiać z komendantem obozu – zażądał Auerbach, szybko uznawszy, że strażnik nie jest odpowiednią osobą do tego, by wdawać się z nim w jakiegokolwiek dyskusje.

– Nie ma komendanta.

– A kiedy będzie?

– Nie będzie.

– To kto prowadzi ten obóz?

– Tu nie ma komendanta. To nie faszystowski Konzentrationslager, ale obóz przesiedleńczy. Tu ja decyduję. Jak się nie podoba, to zaraz możemy zaprosić do środka. Wkrótce wysyłamy pierwszy transport.

Auerbach zacisnął pięści. Marianna obserwowała całe zajście z wojskowego łazika, którym Czupajew przywiózł ich do obozu. Teraz postanowiła włączyć się w rozmowę, wysiadła z auta i podeszła do strażnika, odsuwając Niemca na bok delikatnie, ale stanowczo.

– Widzicie sierżanta? – Wskazała na Czupajewa, siedzącego za kierownicą. – To adiutant majora Szygalewa. Major nie ma czasu, żeby tutaj przyjeżdżać, ale wysłał swojego adiutanta, mnie, bo jestem jego tłumaczką, i tego towarzysza – spojrzała na Auerbacha – żebyśmy zajęli się sprawą, która bardzo zaprzęta jego głowę. Myślę, że nie będzie zadowolony, jeśli wrócimy do niego z niczym.

– A skąd ja mam wiedzieć, że to jest prawda? Nie macie żadnego dokumentu. – Strażnik nie dawał za wygraną.

– Majora Szygalewa na pewno znacie. Można do niego zadzwonić.

Strażnik podrapał się w głowę. Jednak nim zdążył cokolwiek powiedzieć, z głośnym trzaskiem otworzyły się drzwi najbliższego baraku i ze środka wystawił głowę radziecki oficer. Widząc zamieszanie przy bramie, wyszedł z baraku, po drodze poprawiając spodnie.

– Co tu się dzieje? – zapytał po rosyjsku.

Auerbach miał wrażenie, że mimo odległości, która dzieliła go od oficera, poczuł od niego mocną woń przetrawionego alkoholu.

Strażnik odpowiedział szybko. Auerbach z potoku niezrozumiałych słów wyłowił tylko znajome nazwisko Szygalewa. Oficer popatrzył na niego, na Mariannę i na Czupajewa w łaziku, po czym krzyknął:

– Odkrywaj!

Strażnik podniósł szybko bramę i weszli do środka. Marianna poszła pierwsza. Auerbach pomyślał, że z pewnością nie jest słaba.

Oficer zaprowadził ich do baraku, gdzie znajdowało się jego biuro. Szafa na dokumenty, kilka krzeseł i biurko, pod którym stały ustawione w równym szeregu puste butelki.

Marianna zdążyła powiedzieć Auerbachowi, by w czasie rozmowy siedział cicho, patrzył więc bez słowa na skacowanego oficera, który mówił coś po rosyjsku. Zadała kilka pytań, pokiwała głową, po czym wstała i podała mu rękę. Auerbach uczynił to samo i po kilku zaledwie minutach wyszli z baraku. Odprowadzani przez strażnika spojrzeniem pełnym nieskrywanej nienawiści, minęli bramę i wsiedli do samochodu.

– Z powrotem? – zapytał Czupajew. Marianna skinęła głową. Samochód ruszył z głośnym warkotem skrzyni biegów. Minęli tabliczkę z napisem Arbeitslager Narvik I, która pozostała po niemieckich poprzednikach, i pojechali w stronę tego, co kiedyś stanowiło centrum miasta.

– Teraz nic nie mów – Marianna powiedziała po niemiecku, patrząc we wsteczne lustro. Heinrich Auerbach siedział na tylnym siedzeniu. – Wyjaśnię ci wszystko, kiedy dojedziemy z powrotem.

Jechali więc w milczeniu dawną Paul Benecke Weg i dalej, wzdłuż linii tramwaju numer osiem, choć w mieście nie było teraz publicznego transportu, a tramwaje usuwano powoli z ulic, gdzie służyły jako przeszkody na drodze zdobywczej armii. Minęli stojące wzdłuż brukowanej ulicy piętrowe domy z czerwonej cegły, wybudowane dla pracowników stoczni zgodnie z ideą kapitalistycznego paternalizmu, który wyznawał jej założyciel, Ferdinand Schichau. Budynki sprawiały wrażenie opuszczonych, w wybitych oknach łopotały nieśpiesznie nadpalone firanki.

Musieli zatrzymać się koło bramy prowadzącej na teren stoczni, by przepuścić ciężarówki wyjeżdżające jedna za drugą pomiędzy hal, w których jeszcze kilka miesięcy wcześniej z dostarczanych z Gotenhafen kadłubów i dieslowskich silników, produkowanych w macierzystej stoczni w Elbing, składano walczące w Kriegsmarine u-booty. Bez słowa patrzyli na sunący wolno konwój, na załadowane na samochody maszyny, niedokładnie przykryte brezentowymi plandekami, na zdemontowane fragmenty urządzeń, które znad Tote Weichsel ruszały w drogę, wiodącą przez przeorane gąsienicami czołgów drogi Prus Wschodnich i Kurlandii, by w końcu dotrzeć nad Nową.

Heinrich Auerbach pomyślał, że jest mu to już obojętne, bo nie odczuwa złości wobec tego, że urzędzenia opatrzone wygrawerowaną nazwą stoczni z Danzig staną w halach produkcyjnych w Leningradzie, by tam mogły powstawać kolejne sowieckie łodzie, na których potomkowie komandora Aleksandra Iwanowicza Marinesko mogliby ścigać następne statki odpływające od kolejnych trawionych wojną brzegów, unosząc na swoich pokładach tych, którzy tę wojnę wywołali. Było mu obojętne, czy znowu zginą tysiące albo miliony, bo fakt, że kolejna wojna wybuchnie, wydawał mu się przesądzony, choć ta jeszcze się nie zakończyła. Patrzył na czerwonoarmiejca, który chorągiewką trzymaną w dłoni kierował konwój w stronę ruin Danzig, i myślał, że znaczenie ma już dla niego jedynie Marianna i to, by pozostałe mu do przeżycia lata spędzić z nią, nie szukać, nie czekać, nie rozmyślać i spekulować, a nosić w sobie to ostateczne przekonanie, że ona jest z nim, że bez względu na to, co wydarzy się wokół, ona zawsze będzie obok. Flaga, której będzie oddawał hołd, przywódca, w imię którego będzie walczył, idee, których będzie bronił, cała ideologia, którą wypełniano mu życie, odkąd opuścił Bad Reichenhall, przestały być istotne. Chodziło tylko o Mariannę. Dlatego musiał być pewien, że Franz Thiedtke zniknął raz na zawsze, ostatecznie i nieodwracalnie, a on, Heinrich Auerbach lub jakkolwiek dane mu będzie się nazywać, nie będzie musiał się już obawiać, że emerytowany policjant z Prezydium Policji przy Karenwall w Danzig, jak duch przybywający z nieistniejącego świata, znowu pojawi się w jego życiu w sposób tyleż nieoczekiwany, co irytujący.

Patrzył na radziecki konwój i zastanawiał się, co oficer z obozu powiedział Mariannie. Czyżby Franz Thiedtke już ruszył w swoją ostatnią podróż, załadowany do jadącego na wschód wagonu, którym Sowietcy wywozili w głąb Rosji niemieckich jeńców, tych, którzy inaczej niż on, nie rozumieli, że świat właśnie się zmienił? Przymykał oczy i widział bydlęcy wagon, w którym Franz Thiedtke podążył tam, gdzie on dawno próbował go wysłać. W niebyt. To było miejsce, które zirytowany jego działalnością wyznaczył mu już w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku.

– Uciekł?!

Kiedy usłyszał słowa Marianny, omal nie stracił przytomności.

– Franz Thiedtke został zabrany z punktu milicyjnego w Langfuhr, ale w drodze do obozu Narvik, gdzie organizowano punkt przejściowy dla niemieckich mieszkańców Gdańska, uciekł. Obezwałdnął strażnika i zniknął – powiedziała Marianna, gdy zamknęli za sobą drzwi jego pokoju.

– To jest stary, zniedołężniały człowiek! – Auerbach miał wrażenie, że złość zalewa mu oczy, pali przełyk i rozsadza żołądek. – Jak on mógł uciec młodemu odkarmionemu na ruskich puszkach milicjantowi?! No, powiedz! Jak?!

Miał ochotę roztrzaskać o podłogę krzesło stojące przy stole, miał ochotę uderzyć pięścią w drewniane drzwi, tak mocno, by pięść znalazła się po ich drugiej stronie. Miał ochotę wyć ze złości i wybiec z odbezpieczonym pistoletem na ulicę, by znaleźć Franza Thiedtkego i zakończyć wreszcie ten ogłupiający taniec, który trwał od miesiący. Już niemal to zrobił, już niemal nacisnął dłońią na klamkę, gdy zatrzymał go mocny uścisk Marianny.

– Heini, uspokój się! – powiedziała twardo.

Nie odpowiedział, czując, że pulsująca z wściekłości krew rozsadza mu tętnice. Przypomniał sobie, że nie ma broni. I puścił klamkę.

– Uciekł, ale daleko nie zajdzie. – Głos Marianny był zdecydowany. – Komendant powiedział, że wyglądał na chorego, że daleko nie ucieknie, bo nie będzie miał siły. W Gdańsku jest epidemia tyfusu. Tutaj, u nas w areszcie, po sąsiedzku, ludzie padają jeden za drugim. Widziałeś zresztą, co dzieje się w szpitalu. A jeśli Franz Thiedtke w ogóle przeżyje, to wkrótce zacznie się akcja wysiedleńcza. Wszyscy Niemcy, ci, którzy tutaj zostali, będą wywiezieni. Wszystkich sprawdzą, policzą i wyprawią do Niemiec. Albo do Rosji. Jego wywiozą do Rosji, tak czy inaczej. Jeśli przeżyje. Skończ więc z tym ściganiem go, bo wyjeżdżamy do Moskwy. Ale nie w wagonie towarowym, a z wygodami. Słyszysz? Ogarnij siebie, ogarnij swoje życie i daj spokój przeszłości. Rozumiesz, Heini?

Oddychał płytko i ciężko. Był wściekły. Chciał powiedzieć Mariannie, że nic nie rozumie, że on musi być pewien, bo już nieraz miał pozbyć się komisarza emeryta, a ten wciąż mu się wymykał i wciąż powracał. A on chciał przecież tylko tego, by mogli w spokoju zacząć to nowe życie, choćby wiele kilometrów stąd.

Marianna uśmiechnęła się. Zmarszczka, która przecinała jej czoło tuż nad brwiami, gdy była skupiona albo się denerwowała, zniknęła.

– No, proszę cię – powiedziała łagodnie. – Daj już spokój przeszłości. – I pocałowała go w usta.

ROZDZIAŁ

34

Obudził go tępy ból. Rozchodził się od kolana w stronę stopy, obezwładniał i pozbawiał tchu. Przedostawał się do świadomości powoli, sączył do mózgu bez pośpiechu, ale nieubłaganie. Rzeczywistość powracała do niego niemal leniwie, choć ból od razu był bardzo realny. Strząsał sen z powiek, jak poranny wiatr strząsa krople rosy ze świeżej trawy, odganiał go niczym uciążliwą muchę, która nie chce dać za wygraną i uparcie krąży nad głową. Jednak jego oczy otworzyły się niezależnie od reszty tkwiącego w sennym bezruchu ciała.

Słońce oślepiało. Świeciło prosto w twarz, choć nie czuł jego ciepła. Przysłonił oczy dłonią, ale blask ciągle pozbawiał go ostrości widzenia. Gdzieś blisko z hałasem potoczył się kawałek cegły. Rozbił się o inne cegły. Głuchy trzask odbił się echem od resztek ścian. Po chwili zrobiło się cicho.

Uniósł się na łokciach i rozejrzał wokół.

Nad sobą miał błękitne niebo, pozbawione chmur, choć zimne, tak jak bywa tylko niebo nad chłodnym północnym morzem. Słońce zalewało wnętrze budynku, z którego pozostał fronton i prowadzące donikąd schody, szerokie, z kutą balustradą, na której trwały jeszcze nadpalone resztki drewnianej poręczy. Wokół piętrzyły się cegły, kawałki malowanych stropów, które pozbawione ścian rozbiły się o popękane posadzki, fragmenty kolumn, które niegdyś te sufity podtrzymywały, osamotnione futryny bez drzwi, części mebli niedorzecznie rozrzucone wśród ceglanych resztek. Całość pokrywał szklany pył, mieniące się w słońcu kawałeczki szyb, które wypadły z okien i oprószyły to składowisko uśmierconych przedmiotów, nadając mu nierzeczywisty charakter. Ponad resztkami frontonu wznosiło się boczne skrzydło budynku. Neorenesansowa fasada z czerwonej cegły kryła dwa wypalone piętra pozbawione dachu.

Usiadł ostrożnie i obejrzał kolano. Spod rozerwanej nogawki widać było posiniałą skórę, której strzępki zasklepiała zakrzepła krew. Rana ciągnęła się od kolana prawie do kostki, a spod brudnych skrzepów wykwitwały sączące się powoli ropnie. Kostka była opuchnięta, a stopa ledwie mieściła się w bucie. Miał wrażenie, że najmniejszy ruch sprawiał, iż ból się wzmagał.

Nie mógł przypomnieć sobie, jak się zranił. Nie mógł przywołać z pamięci, jak znalazł się w tym miejscu. Nie wiedział, co się z nim stało i kiedy znalazł się w opustoszałych ruinach. Ciągle czuł to błogie poczucie spokoju, jakie dała mu bliskość Heleny, ciągle słyszał jej głos, czuł na twarzy dotyk jej ręki, teraz tak nierzeczywisty i odległy. Ale wokół było pusto, a on nie wiedział, co stało się z obozową pryczą i transportem, o którym mówiła Helena. Oglądał ranę na łydce i zastanawiał się, co się stało.

Pomyślał, że musi wydostać się z ruin. Chciał zorientować się, gdzie się jest. Miał nadzieję, że to pomoże mu przywołać wydarzenia z całkiem niedawnej przeszłości, bo znowu musiał zmagać się z pamięcią, która odmówiła mu posłuszeństwa. Znowu, bo doskonale pamiętał jesień czterdziestego trzeciego, gdy nie mógł przypomnieć sobie czegokolwiek z własnej przeszłości, a zwłaszcza tego, jak znalazł się w pokoju hotelowym w Adlershorst razem z nieznanym sobie nieboszczykiem. Ale wtedy nie pamiętał nic, nie był w stanie przywołać żadnego faktu z własnej przeszłości, ani dalszej, ani tej najbliższej, w której wydarzyło się morderstwo. W głowie miał kompletną pustkę, nie poznawał znajomych sobie osób i czuł się tak, jakby dopiero pojawił się na świecie, którego zresztą nie potrafił zrozumieć. Teraz pamiętał wszystko, nie był tylko w stanie przypomnieć sobie, jak zranił sobie nogę i trafił na tę kupę wypalonych cegieł, na której właśnie siedział.

Kiedy się z nich z trudem podnosił, głuchy chrzęst kilku spadających ceglanych kawałków odbił się głuchym echem od otaczających go fragmentów ścian. Zastygł w bezruchu, aż hałas ucichł. Potem zsunął się ostrożnie

w stronę wyjścia i zaciskając zęby, bo rozrywający ból dawał o sobie znać przy każdym nieudolnym kroku, wyszedł przed fronton, stojący obok zniszczonego, ale zachowanego bocznego skrzydła. Nieco dalej biegła ulica, a po jej drugiej stronie znajdowały się kolejne wypalone ruiny. Rozejrzał się i nagle przez głowę przebiegła mu myśl, że budynek, w którym się znalazł, to ruiny gdańskiego Senatu, wypalony symbol zrujnowanego miasta, wstydliwie opuszczony przez swoich lokatorów, którzy uciekli, nim pożar strawił jego wnętrze.

Był przy Neugarten, w centrum władzy Wolnego Miasta. Zupełnie sam, rozglądał się wokół.

– Hej, człowieku! – Usłyszał nagle głos, który dochodził z obramowanego kolumnami bocznego wejścia. Odwrócił się. W osmolonej ciemności mignęła niewyraźnie sylwetka mężczyzny. – Hej, nie stój tak na środku! – znowu zawołał nieznajomy.

Franz Thiedtke pociągnął za sobą zranioną nogę i poszedł w jego stronę.

– Wejdz tu albo idź stąd! – powiedział człowiek, który wystawił głowę z wnętrza zrujnowanej, ale ciągle istniejącej części budynku. Jego twarz była równie czarna, jak wypalone ściany, a kiedy pocierał policzek dłonią, poczerniały także i jego palce.

Franz wszedł do wnętrza. W budynku unosił się smród spalenizny, który niemal odbierał zdolność oddychania.

Nieznajomy dotykał spalonych ścian i sprzętów, które pozostały, zdrapywał z nich sadzę i sprawdzał, czy pod jej grubą warstwą jest coś godnego uwagi, coś, co mógłby wcisnąć do kieszeni.

– Co tu robisz? – Franz właściwie nie musiał zadawać tego pytania. – Szaber jest nielegalny!

– Tak? – Mężczyzna podszedł do niego i zbliżył twarz do twarzy komisarza. Gdy się odezwał, Franz poczuł smród zepsutych zębów. – To donieś na mnie, kolego! – Nieznajomy roześmiał się, po czym wrócił do oględzin korytarza. – Tu już sam szaber. A ja zabieram, co jeszcze zostało z naszego drogiego Danzig. Nie pojedzie na wschód, ale ze mną, do naszej ojczyzny. Heimat, drogi kolego! Heimat! Zaraz nas wszystkich tam pociągami wywiozą, a tu zrobią sobie Polskę, tak jak tego zawsze chcieli! I z naszego Danzig zostanie tylko to, co my tu sobie zabierzemy. Rozumiesz? – Roześmiał się. – Ruski są już w Berlinie! Więc weź sobie coś na pamiątkę i nie zwracaj mi głowy!

Franz odwrócił się i po kilku ceglach zsunął się ostrożnie z powrotem na podwórze.

– Tylko nie chodź tak po ulicy, bo cię zwiną, ojczulku! I trafisz do Narwiku! – krzyknął za nim mężczyzna, po czym zniknął we wnętrzu spalonego Senatu.

Franz powłókł się w stronę ulicy. Idąc, sięgnął za pasek spodni, ale nie odnalazł tam tego, co znaleźć miał nadzieję. Pochylił się i pomacał zdrową nogę. Znowu nic. Walther tkwił w zakrwawionej skarpecie. Nie mógł sobie przypomnieć, jak się tam znalazł, ale doskonale pamiętał piwnicę przy Opitzstrasse. Ból, który przeszywał nogę, sprawił, że nie czuł nic poza nim samym, a rozerwana skóra powoli stawała się martwa. Wyjął broń i schował ją za pasek, by była pod ręką. Na krótką chwilę zatrzymał wzrok na swoich dłoniach, które pokrywały czerwone wybroczyny.

A więc to wszystko były tylko majaki, pomyślał, widzenia zaburzonej świadomości, wytwory choroby, która postanowiła i po niego sięgnąć. Nie było Heleny, nie było powrotu do Gdingen, nie było tamtej obietnicy, która ukołysała go do spokojnego snu. Nie było nawet snu, tylko senne koszmary wywołane chorobą, która zaczęła trawić jego wnętrze.

Z trudem szedł przez podwórze Senatu Wolnego Miasta. Dawny reprezentacyjny podjazd był zdewastowany. Zadbany kiedyś klomb z małą sadzawką pośrodku zasypały gruzy budowli. Po dawnym majestacie nie pozostało nawet wspomnienie.

I wtedy przypomniał sobie o Mariannie, którą spotkał w ogrodzie willi przy Jäschkentaler Weg, o strażniku, który miał go odprowadzić do obozu Narwik, bo ktoś upomniał się o niego, o Franza Thiedtkego z Hermannshoferweg, ktoś, kto wiedział, że jest w mieście, nie uciekł, nie wsiadł na pokład Wilhelma Gustloff, nie ukrył się w kaszubskiej chacie ani u żuławskiego bauera. Przypomniał sobie długi marsz i chwilę nieuwagi polskiego chłopaka, który prowadził go do Arbeitslager Narvik, gdzie do niedawna trzymano jeńców pracujących w Danziger Werft, a który teraz Rosjanie zamieniali w obóz dla Niemców. Takie toczące się koło historii, wie pan, powiedział chłopak. Franz

Thiedtke był jednym z pierwszych, którzy mieli zająć miejsce po Anglikach i Francuzach, Rosjanach i Polakach; oni już wyruszyli w drogę do domu. Ich prycze zajmowali Niemcy, gdańszczanie, ci, którzy zmieniali nazwiska z polskich na niemieckie i wierzyli w potęgę tysiącletniej Rzeszy. Franz miał być jednym z nich. Ale uciekł. Swoim waltherem z Opitzstrasse ogłuszył polskiego chłopaka, który częstował go w drodze do obozu radzieckimi papierosami, i zostawiwszy go nieprzytomnego koło wiaduktu przy Schwarzerweg zbiegł, kierując się wzdłuż nasypu kolejowego w stronę Danzig. Nogę rozerwał mu drut kolczasty, na który wpadł, chcąc ukryć się przed sowieckim patrolem. Wbity w ciało pociągnął za sobą, bo nie miał czasu, by się z niego wyplątać, i kolce wbiły się w mięso, rozrywając je na krwawe strzępki. Stracił nawet przytomność. Nie wiedział, ile czasu leżał z tymi kolcami wbitymi w łydkę. Ale kiedy się obudził, miał wrażenie, że to nie nogę ma zmasakrowaną, a twarz, bo czuł, że nabrzmiała tak, jakby zaraz miała popękać i rozpaść się na kawałki. Oczy mu łzawiły, a czaszkę rozsadał ból, wiedział jednak, że musi dotrzeć na Neugarten, musi dostać się do zabudowań, z których będzie mógł śledzić to, co dzieło się po drugiej stronie, był bowiem pewien, że właśnie tam znajdzie Heinricha Auerbacha.

Teraz pomyślał, że musi jak najszybciej zająć dobre miejsce do obserwacji. Wyszedł na ulicę i nie zatrzymywany przez nikogo, choć przejechało kilka wojskowych ciężarówek, a pod budynek, gdzie kiedyś urzędował Heinrich Auerbach, podjechał sowiecki łazik, poszedł w stronę szpitala diakonisek. Był pewien, że w jednym z radzieckich aut dostrzeże dawnego Obersturmbannführera, wciąż dość młodego i dość zdeterminowanego, by bez względu na to, kto rządzi światem, w którym przyszło mu żyć, przetrwać, a nawet odnieść sukces. Mimo gorączki, mimo nogi, w którą wżerała się już zapewne gangrena, mimo wybroczyn na skórze i tyfusu, który przetaczał się przez wątrobę i nerki, postanowił, że zakończy szmatławie życie gestapowca, nawet jeśli sam nie ma już przed sobą przyszłości. Chęć, by w końcu dokonać zemsty, a może raczej dopełnić sprawiedliwości, bo tak to przecież widział, okazała się silniejsza niż ból w nodze i rozwijająca się choroba.

Słabnące siły i coraz płytszy oddech rzuciły go na przewrócone szpitalne łóżko, jednak myśl, że zabije Heinricha Auerbacha napęliła go taką euforią, iż żaden fizyczny ból nie mógł go powstrzymać.

ROZDZIAŁ

35

Nie wiedział, ile czasu przespał, wciśnięty między ścianę a powyginane szpitalne meble. Budził się i zasypiał, gorączka znów powróciła. W snach widział Heinricha Auerbacha, który stał nad nim w mundurze gestapo, zadowolony i pewny siebie, tak jak pamiętał go z Karenwall, choć wtedy nie znał go dobrze i nie przypuszczał, że jeszcze kiedyś się spotkają. Potem we śnie do Auerbacha dołączały Marianna i Helena, by wspólnie debatować nad jego, Franza Thiedtkego, przyszłością. Nie mógł brać udziału w tej dyskusji, bo każda próba wypowiedzenia jakiegokolwiek słowa we własnej obronie kończyła się tylko niewyraźnym bulgotem wydobywającym się z jego gardła, a każdy ruch – kopniakiem zadany przez Auerbacha, który przerywał na chwilę rozmowę i robił zamach butem tak wypastowanym, że Franz miał wrażenie, iż w jego skórzanej powierzchni może dostrzec swoje odbicie. Potem się budził, rozglądał nieprzytomnym wzrokiem wokół i nie potrafiąc odpowiedzieć sobie na pytanie, gdzie jest, znowu zapadał w sen.

Kiedy odzyskał w końcu przytomność, a brudna i cuchnąca rzeczywistość wokół stała się znowu bardzo realna, podniósł się z podłogi i podpierając się łokciami, wciągnął na parapet.

Był poranek, wczesny i chyba zimny, choć nie czuł chłodu, bo ciało paliło go tak, że ledwo mógł znieść na sobie ubranie. Po przeciwnej stronie nic się nie działo i w końcu zaczął obawiać się, że majaki wrócą, zanim uda mu się wysłedzić Heinricha Auerbacha. Sięgnął za pasek spodni, które teraz wisiały na nim, zupełnie jakby ubranie nagle zwiększyło się o kilka rozmiarów, a on wyglądał w nim jak cyrkowy klaun, potykający się o nogawki własnych spodni. Wyjął pistolet, przeładował i odbezpieczył. Postanowił czekać.

Minęły trzy kwadransy, może godzina. Na ulicy pojawili się niemieccy robotnicy, którzy przyszli porządkować gruzy. Pod wejście do budynku naprzeciwko podjechał łazik, Franz miał wrażenie, że rozpoznał kierowcę. W drzwiach pojawił się radziecki oficer, za nim wyszła Marianna, a na końcu Auerbach. Miał na sobie cywilne ubranie, ale Franz był pewien, że to on.

Strzelił. Nie prosto w niego, ale nieco ponad jego głową. Tak, by wszyscy stojący w jego pobliżu upadli na ziemię. Marianna z oficerem skryli się za samochodem, jego kierowca schronił się pod deską rozdzielczą. Z budynku wypadło kilku uzbrojonych żołnierzy, którzy zaczęli mierzyć w szpital diakonisek, wskazany przez leżącego na chodniku Auerbacha.

Znowu strzelił. Tym razem kula uderzyła tuż koło Obersturmbannführera. Gdyby ręka mu nie zadrżała, trafiłby. Chciał najpierw go zranić, przestraszyć. Jednak Auerbach odskoczył, kryjąc się za stertą zebranego z ulicy gruzu.

– Auerbach! – krzyknął Franz, nie wychylając się z kryjówki. – To ja, Franz Thiedtke! W końcu cię złapałem!

Żołnierze zaczęli strzelać w stronę, z której dobiegał głos, słaby i drżący, ale ulica nie była tak szeroka, by nie mogli go usłyszeć.

Kiedy się wychylił, zobaczył, że Auerbach krzyczy w stronę sowieckiego oficera, który pociągnął Mariannę i popchnął ją w kierunku drzwi wejściowych, jednocześnie wydając rozkaz żołnierzom. Strzały ucichły. Marianna i oficer zniknęli za ciężkimi drzwiami, które zamknęły się z głośnym hukiem.

Auerbach wyszedł ze swej kryjówki i unosząc ręce nad głowę, ruszył w stronę szpitala diakonisek.

– Thiedtke! – Komisarz usłyszał swoje nazwisko, ukryty za murem. Wychylił się ostrożnie. Auerbach przecinał ulicę, spoglądając w puste okna szpitala. – Boisz się teraz? Pokaż się! – krzyknął. – Zakończmy tę sprawę! Nie jestem uzbrojony! No, pokaż się!

Franz wychylił się, nie na tyle jednak, by Auerbach go dostrzegł, i wymierzył w niego. Pociągnął za spust, ale rozległ się tylko głuchy huk. Obersturmbannführer nadal szedł w jego stronę. Strzelił jeszcze raz i znowu nic. Ale Auerbach już go dostrzegł. Opuścił ręce i sięgnawszy po ukryty pod marynarką pistolet, błyskawicznie wystrzelił. Pocisk minął Franza o kilka centymetrów.

Komisarz wsunął walthera do kieszeni i ciągnąc za sobą rozplataną nogę, ruszył w głąb szpitala. Czuł niemal oddech Auerbacha na swoich plecach, a dobrze zdawał sobie sprawę, że ze ślepyimi nabojami jest wobec niego bezbronny. Potraçał porozrzucane w nieładzie, pozostałe po ewakuacji szpitalne sprzęty, a hałas odbijał się od ścian pokrytych smugami dymu po pożarach, które wypaliły w czasie walk wewnątrz budynku. W korytarzu trafił na schody prowadzące do piwnicy. Choć schodząc do niej, pograżał się w zupełnej ciemności, pomyślał, że tu powinien być bezpieczny. Auerbach zapewne nie zdecyduje się zejść w ten mrok bez latarki, pomyślał.

Kiedy zszedł na dół, miał wrażenie, że zanurza się w wielkim zbiorniku ciemności, która otoczyła go niczym woda we wzburzonym morzu. Posuwał się teraz powoli, przesuując palcami po chropowatych ścianach. Szukał drogi, choć pomyślał, że właśnie zszedł do własnego grobu, w którym przyjdzie mu już pozostać. Wokół było zupełnie ciemno. Nie słyszał nic prócz własnego oddechu. Przyzwyczał się nawet do bólu nogi, którą ciągnął za sobą, trzymając nogawkę spodni.

Uspokoił się nieco. Wydawało się, że Auerbach pozostał tam, na powierzchni, zdjęty strachem przed ciemną czeluścią, do której zszedł Franz Thiedtke. Jednak teraz, kiedy pozostawił go za sobą, emerytowany komisarz był na siebie wściekły, bo zamiast strzelić do Auerbacha od razu, postanowił, że Obersturmbannführer gdańskiego gestapo, człowiek, który chciał pozbawić go życia, a teraz swoje ratował kolaboracją z Sowietami, dowie się najpierw, że to on, Franz Thiedtke, odnalazł go i właśnie zadaje mu karę, wymierza sprawiedliwość, zabiera nadzieję na odwrócenie przeznaczenia, bo przeznaczeniem Heinricha Auerbacha nie powinna być ciepła posada w nowym świecie, a stryżczek należący do świata, który właśnie runął. Był wściekły, że tak spała swój plan, w ostatnim momencie zawiódł sam siebie, unicestwił zemstę, która nie miała już zapewnić mu spokojnego życia, a raczej, wiedział to, spokojne umieranie.

Ale nie chciał umierać w ciemnej wilgotnej piwnicy szpitala diakonisek przy Neugarten. Dlatego posuwał się dalej, aż trafił na metalowe drzwiczki. Chciał je wyważyć, ale stały opór. Odnalazł klamkę, która z głuchym łoskotem otworzyła drzwi. Z drugiej strony poczuł podmuch świeżego powietrza. Po kilku minutach zobaczył przed sobą mały punkt jasnego światła. Miał przed sobą wyjście, choć nie był pewien, czy otwór będzie dość duży, by mógł się przez niego wydostać.

Kiedy do niego dotarł, dostrzegł, że ma przed sobą zasypane gruzem schody. Otwór rzeczywiście był wąski, ale ocenił, że jeśli nie spowoduje lawiny cegieł zsuwających się pod jego ciężarem w dół, cegły leżące wyżej nie poruszą się i uda mu się wyjść na powierzchnię. Położył się na gruzowisku i zaczął się powoli wczołgiwać na górę. Każde dotknięcie rany pozbawiało go tchu, ale po trwających wieczność minutach udało mu się dotrzeć do wylotu. Zobaczył przed sobą kępki trawy i pomyślał, że trafił do leżącego na tyłach szpitala ogrodu. Wyczołgując się z piwnicy, myślał o okrzęjnej drodze, którą ominie Neugarten, i postanowił, że pozostawi zemstę na Auerbachu, zapomni o nim, przestanie żyć myślą o jego śmierci, a jeśli uda mu się dotrzeć przed własnym końcem do Gdingen, to może jeszcze zdąży pożegnać się z Heleną.

Kiedy wydobył spod gruzu chorą nogę, opadł na ziemię zmęczony. Oddychał ciężko. Miał wrażenie, że powietrze nie jest w stanie wypełnić mu całych płuc. I wtedy dobiegł go charakterystyczny dźwięk, ciche, metaliczne uderzenie, gdy pistolet staje się gotowy do strzału.

– No i jednak się spotkaliśmy, komisarzy Thiedtke! – Heinrich Auerbach stał niedaleko. Jego sylwetka odcinała się wyraźnie od czerwonych cegieł małej kapliczki, wybudowanej na tyłach szpitala. – Nie udało mi się w czterdziestym trzecim, ale uda mi się teraz. – Roześmiał się. – Nie trzeba było mnie szukać, komisarzy! Trzeba było siedzieć cicho do końca wojny. Gdybym nie wiedział, że to nie pana zabiłem w schronie w Gotenhafen, też bym pana nie szukał. Jakbym nie szukał, tobym nie znalazł. A potem może byśmy już nie mieli okazji się ze sobą spotkać. A może mielibyśmy... ale pod innymi nazwiskami, a to byłoby już zupełnie co innego, prawda? – Mierzył do Franza,

który leżał kilka metrów przed nim. – A teraz ja wsiądę w wygodną salonkę i pojedę do Moskwy po swoje nowe życie, pan zaś, komisarzu, wyruszy w swoją ostatnią drogę. No, jak się to panu podoba?

W tym momencie rozległ się huk, ale nabój, który Franz Thiedtke wystrzelił w stronę Heinricha Auerbacha ponownie okazał się ślepy. Minęły ułamki sekund, gdy rozległ się drugi strzał i Franz poczuł, że jego płuca robią się jeszcze płytsze, że powietrze dociera tylko do ich szczytów, a potem cofa się, pozostawiając za sobą próżnię, która wypełnia jego ciało. I wtedy zrozumiał, że nie uda mu się już obejść okrężną drogą posterunku NKWD w dawnym budynku gestapo, nie uda mu się dotrzeć do Gdingen i spotkać z Heleną, nie uda mu się już powiedzieć jej tego, czego nie powiedział Waltraud. Zrozumiał, że to właśnie jest koniec. I wiedział już, że to zło zwycięża, nie dobro, oszustwo, a nie uczciwość. Tak było zawsze i będzie. Uświadomił to sobie teraz, gdy z palców u nóg odpływała mu krew, gdy tracił czucie w dłoniach, gdy wzrok zasnuwała coraz większa mgła, a odgłosy tego świata stawały się coraz bardziej odległe. I wtedy, gdy ciało było już nieciałem, gdy robiło się coraz lżejsze i coraz mniej materialne, choć myśli ciągle przepływały wyraźnie jak słowa, których nie wypowiadały usta, wtedy właśnie zrozumiał, że umiera, że oto nadszedł ten moment, którego doświadczyło tylu przed nim, moment, który w ostatnich latach stał się tak powszechny, że niemal trywialny, bo ci, którzy pozostali, wmawiając sobie, że mają nad nim władzę, uczynili z niego masową rozrywkę, sposób na – zabawne, czyż nie? – zabijanie czasu.

A kiedy tak leżąc na gruzach szpitala, który prowadziły protestanckie diakonisy, pogrzebane już pod jego gruzami razem pacjentami nie dość dobrymi, by dostać przepustkę do ewakuacji, Franz Thiedtke umierał, na jego bladej twarzy wykwitł uśmiech, bo zrozumiał, że odchodzi, a tamten zostaje, że on, który życie poświęcił na przywracanie ładu we wszechświecie, znika, a ten, który ten ład burzy, nie poniesie za to żadnej kary. I dlatego Franz Thiedtke w ostatnim momencie swojego życia, życia, które powinno przewinąć mu się teraz przed oczami, jak mówią ci, którzy byli po tamtej stronie, ale wrócili, zaczął się śmiać, najpierw cicho i na swój sposób nieśmiało, bo przecież nie wypada śmiać się, kiedy człowiek oddaje ostatnie tchnienie, a potem coraz głośniejsze i coraz bardziej odważnie. A z nim śmiała się jego dusza, która już wydostała się z ciała, choć ono jeszcze nie całkiem umarło. I śmiała się śmierć – kostucha, która stała obok. Gdyby nie kosa, o którą oparła swoje grzechoczące z uciechy kości, z pewnością upadłaby z rozbawienia na resztki cegieł, leżących wokół. Bo oto odchodził Franz Thiedtke, człowiek, który nie wierzył już w Boga, a który szedł teraz na spotkanie z nim, a szatan razem ze swoim blondwłosym diabłem zostawał, nietknięty przez kosę roześmianej kostuchy. Odchodził człowiek, który wierzył w prawo, choć na jego oczach prawo rozpadło się w rękach tych, którzy uznali, że mogą na nowo je ustanowić. Odchodził emerytowany komisarz z prezydium gdańskiej policji, który całe życie ścigał morderców i gwałcicieli, choć nie mógł ich wszystkich wyłapać, bo odradzali się wciąż na nowo, jak to już jest z mordercami, oszustami i złodziejami. Jego ciało leżące na potłuczonych ceglach stawało się coraz mniejsze i coraz bardziej niepozorne, a Heinrich Auerbach, nie widząc ani rozbawionej duszy Franza Thiedtkego, ani śmiejącej się obok tej duszy śmierci, patrzył na te karłujące szczątki i też się uśmiechał, choć śmiech Franza przeszył go mroźnym dreszczem. Heinrich Auerbach uśmiechał się jednak tak zwyczajnie, po ludzku, bo wiedział, że jego kłopoty się skończyły.

I tak to się właśnie skończyło. Koło kaplicy na tyłach szpitala, którego już nie było, bo nie było ani Neugarten, ani Jopengasse, nie było Artushof, z którego pozostały tylko kikuty wypalonych ścian, ani Speicherinsel, której drewniane pomosty zapadły się w zimne wody Motlau. Po Motlau nie płynęły już barki z Polski ani holowniki z Danzig, które pozostawiały za sobą ciemną smugę na nadbałtyckim niebie. Choć ciemne smugi ciągle unosiły się nad miastem, świadcząc o wciąż dopalających się jego resztkach. Tak kończyło się miasto i tak kończył się Franz Thiedtke. A potem ujrzał anioła, „zstępującego z nieba, który miał klucz od Czeluści i wielki łańcuch w ręce, choć anioł nie pochwycił Smoka, którym jest diabeł i szatan”, i nie związał go na tysiąc lat. Zabrał tylko ze sobą emerytowanego komisarza z Karenwall, zabrał przed oblicze tego, w którego komisarz nie wierzył, wprost sprzed szpitalnej kapliczki, na której ktoś kiedyś napisał: „Es ist vollbracht”. I tak to się właśnie dopełniło.

* * *

W powieści wykorzystano fragmenty Biblii Tysiąclecia.

OFICYNKA ZAPRASZA WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW DOBREJ LITERATURY!

Znajdziecie Państwo u nas książki interesujące, wciągające, służące wybornej zabawie intelektualnej, poszerzające wiedzę i zaspokajające ciekawość świata, książki, których lektura stanie się dla Państwa przyjemnością i które sprawią, że zawsze będziecie chcieli do nas wracać, by w dobrej atmosferze z jednej strony delektować się warsztatem znakomitych pisarzy, poznawać siłę ich wyobraźni i pasję twórczą, a z drugiej korzystać z wiedzy autorów literatury humanistycznej.

POLECAMY



Księgarnia Oficynki www.oficynka.pl

e-mail: oficynka@oficynka.pl

tel. 510 043 387



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

SPIS TREŚCI:

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © Oficynka & Izabela Żukowska, Gdańsk 2020

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie drugie w języku polskim, Gdańsk 2020

Redakcja: zespół

Korekta: Marta Stochmiałek

Projekt okładki: Studio Karandasz

Zdjęcia na okładce:

© Pixabay; Nattapol_Sritongcom / Adobe Stock

ISBN 978-83-66899-28-5



www.oficynka.pl

email: oficynka@oficynka.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek